



KADROWCY

JAK ZNISZCZYLI POLSKI KOŚCIÓŁ

kard. Stanisław Dziwisz i abp Józef Kowalczyk

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299

ISSN 1509 3115

38 >

9 771509 311102

Basen Artystyczny • ul. Marii Konopnickiej 6
17 i 18 września 2021 piątek i sobota • 19:00

Warszawska
OPERA
Kameralna



BASEN ARTYSTYCZNY

RONALD
HARWOOD

NOWY SEZON

KWARTET



REŻYSERIA:

GRZEGORZ CHRAPKIEWICZ

OLGA BOŃCZYK • ALICJA WĘGORZEWSKA

MACIEJ MIECZNIKOWSKI • RYSZARD MINKIEWICZ

SCENOGRAFIA: WOJCIECH STEFANIAK • KOSTIUMY: NATASHA PAVLUCHENKO • ŚWIATŁO: BOGUMIŁ PALEWICZ

BILETY I REPERTUAR DOSTĘPNE: OPERAKAMERALNA.PL

• KASA TEATRU WOK • AL. SOLIDARNOŚCI 76B • 00-145 WARSZAWA • TEL. +48 22 831 22 40

60
Warszawska
— Opera
Kameralna



Mazowsze.
serce Polski

Bilety²⁴

WEJŚCIÓWKI

eBilet.pl

METROMEDIA

eprasa.pl 4f4debff12



Od stanu wyjątkowego do...

znowu mają sukces. Który to już raz udaje się dojnej zmianie prosty numer z propagandową sztuczką. Najczęściej grają strachem. Demonizują zagrożenie uchodźcami i większość Polaków gotowa jest się chować pod parasol rzekomych obrońców. Pomysłowość tej władzy w wymyślaniu kolejnych wrogów wydaje się niewyczerpana. Ma ona przy tym poparcie sporych grup Polaków. Skąd to się bierze? Z ciężkiej pracy ośrodków badań, analityków, specjalistów od promocji. Badają dosłownie wszystko. Na użytek wewnątrzpartyjny. Kosztuje krocie, bo robią to nieźli fachowcy.

Żadna władza przed PiS nie korzystała z ich usług na tak ogromną skalę. I nie prowadziła polityki, kierując się wyłącznie wynikami sondaży. Po wyborach z 2015 r. mamy władzę, która decyzje podejmuje dopiero po dokładnym przestudiowaniu możliwej reakcji społeczeństwa. A przede wszystkim własnego elektoratu. Tu nic nie może się wymknąć spod partyjnej kontroli. Nie liczą się względy merytoryczne, racja stanu czy długofalowy interes państwa. Ważne jest tylko to, żeby większość Polaków była za. A gdy są kontrowersje, władza się wycofuje. Zawsze.

Tak można rządzić długo. Bo liczy się tylko to, co teraz. Decyzje są więc z krótkim terminem ważności. A skoro

tak, trzeba je przykrywać kolejnymi pomysłami. Głównie propagandowymi. I tak doszliśmy do stanu wyjątkowego. Kolejnej operacji propagandowej. Skutecznie odwracając uwagę obywateli wkurzonych na inflację, coraz większe wydatki na niby-bezpłatną służbę zdrowia i szkoły, które trzeba wspomagać korepetycjami. I kumoterstwo dojnej zmiany, bez żenady włączającej wszędzie, gdzie jest jakaś łatwa kasa za niby-robotę.

Mamy zatem farsę o zagrożeniu, jakie dopadnie Polskę, jeśli nie wprowadzimy stanu wyjątkowego. Politycy z ponurymi minami straszą ludzi. Wiedzą, co robią. A to, że argumenty wzajemnie się wykluczają, interesuje tylko mądrzejszych. Ciemny lud ma słuchać i kupić oczywiste brednie. Bo jak to jest? Czy nasze liczne służby strzegące granicy sprawnie sobie radzą, jak mówią ich przełożeni? Czy jednak nie i gromadki imigrantów z kobietami i dziećmi skutecznie ich omijają?

Łatwość, z jaką wprowadzono stan wyjątkowy, po raz pierwszy od 1989 r., i to bez sensownych powodów, jest ponurą wróżbą na przyszłość. Skoro udało się PiS raz, to za drugim razem może stan wyjątkowy mocno rozszerzyć i wydłużyć. Wtedy strach będzie bardziej uzasadniony niż ten przed trzydziestką uchodźców w Usnarzu Górnym.

BAKOWSKI



NIE PRZEGAP!

Co poniedziałek na naszym kanale na YouTube i na Facebooku

kolejne rozmowy z **prof. Joanną Schiller-Walicką** o testamentie politycznym **prof. Andrzeja Walickiego**



YouTube



CYTAT TYGODNIA

MICHAEL SPRINGMANN,
amerykański dyplomata,
były pracownik Departamentu Stanu

Obecni talibowie to ludzie, którzy wyrastają z formacji mudżahedinów, których Amerykanie rekrutowali do walki ze Związkiem Radzieckim.

„Myśl Polska”

W NUMERZE

KOŚCIÓŁ

8 Kadrowcy

Jak zniszczyli polski Kościół

KRAJ

11 Ukryta inflacja

Prawda o wzroście cen

13 Okno dla agenta

Co się działo w Karpaczu

14 Narewka nie chce lockdownu

Katastrofa turystyczna na Podlasiu

16 Ratownicy mówią: dość

Gorsze dzieci ochrony zdrowia

20 Pandemia obnażyła, jak bardzo nie ufamy rządowi, politykom, ale też lekarzom

– rozmowa

z dr. hab. Michałem Wróblewskim

24 By gry nie stały się nałogiem

Niebezpieczne, ale i pożyteczne

28 Poprawczak na harcerskim szlaku

Drużyna? Dlaczego nie

30 Fotorekordzista

Złapani na radar

HISTORIA

32 Prymas – polityk

Rola kard. Wyszyńskiego

35 Zbąszyń, czyli wyciąganie wniosków z historii

36 Jak wychować nazistę

Eugenika i propaganda

ZAGRANICA

40 Nowa twarz Ameryki

Populacja coraz bardziej zróżnicowana

42 Greckie wyspy na drodze do ekologii

Projekty przyjazne dla klimatu

KULTURA

44 Chadzał w Polskę

Wiesław Gołas (1930-2021)

48 Wydawcy polecają. Biografie

51 Kulturalia

66 Choryskop

ZWIERZĘTA

52 Jesienny gość

Piękny jak kobczyk

OBSERWACJE

54 UL inspiracji

Pasjonaci uniwersytetu ludowego

TECHNOLOGIE

58 Zielone kołowanie na lotniskach

Oszczędności dzięki polskiemu systemowi

FELIETONY I KOMENTARZE

3 Jerzy Domański

Od stanu wyjątkowego do...

19 Jan Widacki

Atak odparty

23 Andrzej Romanowski

Tryptyk o sensie III. Pokolenie

27 Roman Kurkiewicz

Hierarchia potrzeb,
piramida fundamentalisty

31 Tomasz Jastrun

Wyjątkowe straszenie

47 Wojciech Kuczok

Wielka ucieczka



RATOWNICY MÓWIĄ: DOŚĆ

Gorsze dzieci ochrony zdrowia

16
KRAJ

44

KULTURA

CHADZAŁ W POLSKĘ

Wiesław Gołas
(1930-2021)



52

ZWIERZĘTA



JESIENNY GOŚĆ

Piękny jak kobczyk

Projekt okładki: Daria Słowińska-Kettner

FOT. MAREK LASZYK/REPORTER



✉ Amnezja narodu emigrantów

Artykuł red. Roberta Walenciaka „Amnezja narodu emigrantów” (PRZEGŁĄD nr 36) jest bardzo pouczającym przypomnieniem tego, co robili Polacy w czasie emigracji w latach 80. A nie była to pierwsza



emigracja Polaków na Zachód. Po każdym powstaniu setki Polaków uciekały za granicę. To były zupełnie inne emigracje niż ta w latach 80. Nie za chlebem – tylko przed represjami ze strony zaborców. W latach 80. tysiące Polaków emigrowały na Zachód za chlebem. Nie byli zostawiani

bez pomocy. A już na pewno mieli co jeść – zachowywali się tak, jak autor artykułu to przedstawia. Było ich wszędzie pełno. W wielu wypadkach można było się wstydzić za to, co robili. Teraz musimy się wstydzić tego, co robi pisowski rząd – upadła nie tylko imigracja, ale także żołnierzy, straż graniczną, policjantów, zmuszając ich rozkazami do nieludzkiego postępowania. Autor artykułu stwierdza przykry fakt, że Polacy nie uważają, by byli coś komuś winni. Naprawdę nie są winni? A niezależnie od tego człowieczeństwo powinno w nich wołać o pomoc dla głodnych, zmarzniętych i chorych ludzi. Rząd nie radzi sobie z uszczelnieniem granic, bo nie ma w nim ludzi, którzy potrafią to zrobić inaczej niż zasiekami.

Elżbieta Więckiewicz-Kwiatkowska

✉ Syndrom sztokholmski — odmiana edu

Najlepsi nauczyciele odchodzą, nawet nie z własnej woli. Są często zagrożeniem dla tych najłabszych, najbardziej sfrustrowanych... Ci najłabsi mają jednak aspiracje do bycia dyrektorami. Manipulacją, intrygą, donosicielstwem, skandalem obyczajowym dochodzą do władzy. To właśnie ci najłabsi stopują zapaleńców, opierają swoje rządy na konfliktach. Wystarczy zaaranżować skandal, mieć wejście w urządzenie i już dostaje się stołek. Jest społeczne przyzwolenie na model siłowy. Albo jesteś panem, albo masz pana. Nie praca, zaangażowanie i pasja tworzą kulturę współpracy, to intryga i przemoc tworzą kulturę rywalizacji. Chcemy tworzyć sprawiedliwą edukację w niesprawiedliwej społeczności, obojętnej, zastraszonej, tolerującej przemocowe zachowanie.

Agnieszka

f Kościół się doigrał

Przed Polkami jeszcze długa droga, szkoda, że tak mało jest artykułów o ruchu irlandzkim. A jest między nami wiele podobieństw: katolicki kraj rodzinny i hegemonia Kościoła. W jego rękach grunty, szkoły, domy opieki. Na przykład Sinéad O'Connor była u magdalenek, później w szkole Waterford z mniejszym rygiorem, tam zaczęła karierę. I wreszcie w 1992 r. podała w programie na żywo zdjęcia Jana Pawła II w akcie sprzeciwu wobec molestowania dzieci w Kościele, co praktycznie jej karierę zakończyło. Jak widać, nawet pogardzany w Polsce tzw. zgniły

kompromis może być krokiem naprzód. Niewiarygodne – to tak niedawno, lata 60., zakazy, obostrzenia praw, edukacja. Świetna rozmowa z Ailbhe Smyth. Daje nadzieję.

Ula Makles



ZDJĘCIE TYGODNIA



Członek sił talibskich celuje w uczestników antypakistańskiego protestu. Kabul, 7 września.



PYTANIE TYGODNIA

Co dopisać do listy lektur szkolnych, a co skreślić?

PROF. ZDZISŁAW JERZY ADAMCZYK,
historyk literatury i wydawca

Upomniałbym się o przywrócenie zbiorowej pamięci Władysława Broniewskiego, patrioty żarliwego, acz niepokornego, przede wszystkim jednak wielkiego poety. Przecież to on napisał: „Nie wiem, co to poezja, nie wiem, po co i na co. Wiem, że czasami ludzie czytają wiersze i płaczą”. Kto po polsku celniej ujął istotę i sens istnienia poezji? Broniewski jest autorem wierszy prostych, czystych i zwyczajnych jak kromka chleba. To on napisał „Bagnet na broń”, „Żołnierza polskiego” i „Słońce września”, to on jest autorem nowych polskich trenów poświęconych córce. Przez kolejnych POPiS-owskich ormowców „rzucanych na odcinek” oświaty został z listy lektur, a więc i z tradycji literackiej, usunięty. Czy dlatego, że w roku 1949 napisał „Słowo o Stalinie”? Przypomnijmy, że prawdę o zbrodniach Stalina ujawniono dopiero siedem lat później. Czy dlatego, że był konsekwentnie lewicowy? Na oświecenie decydentów w sprawie lektur nie ma co liczyć; posłuszne toto poleceniom lub oczekiwaniom partyjnych szefów, za to niezbyt kumate. Może Lewica zawalczyłaby o Broniewskiego?

ANETA KORYCIŃSKA,
nauczycielka, redaktorka i podcasterka (Baba od polskiego)

Nowa podstawa programowa jest śmieszno-straszna. Nauczanie o jedynej słusznej religii i poetach narodu, np. Janie Pawle II i kard. Wyszyńskim, wydaje mi się w obecnej sytuacji nietrafionym pomysłem. Osoby uczniowskie, z którymi mam kontakt, od lat mówią o tym, że chcą poznać punkt widzenia osób uchodźczych, dyskryminowanych, nieheteronormatywnych i neuroatypowych oraz

czytać pisarki. Dlatego dodałabym do kanonu romantyków Narcyzę Żmichowską, do poezji XX w. Annę Świrszczyńską, a ze współczesnych pisarek Wiolettę Grzegorzewską. Brak mi także reinterpretacji tekstów starożytnych, więc nie wyobrażam sobie omawiania „Odysei” bez przeczytania „Penelopiady” Margaret Atwood czy „Króla mrówek” Zbigniewa Herberta. Literatura i tak jest punktem wyjścia do dyskusji o współczesnym świecie, więc czas zdjęć autorów z piedestałów i pokazać, że byli i są tylko ludźmi.

DR MICHAŁ ZAJĄC,
bibliotekoznawca, UW

Ze względu na przeładowanie programu to postulat utopijny, ale jestem za podziałem tekstów na lektury obowiązkowe, towarzyszące lekcjom historii literatury, oraz często „wentylowaną” listę tytułów służących promocji czytania dla przyjemności, składającą się z pozycji aktualnie atrakcyjnych (niekoniecznie o najwyższej wartości literackiej). W części historycznej (do 1945 r.) tej pierwszej grupy nie ruszałbym niczego – irytują mnie zarzuty, że „teksty są trudne, dzieci się męczą i nic nie rozumieją”. Nie padają one w odniesieniu do trygonometrii, która jest niepożądana w życiu 99% ludzi, a zabiera uczniom dużo czasu. Z częścią współczesną mam kłopot, jednak z pewnością oddzieliłbym literaturę od religii. Teksty papieża, księży czy biskupów mogą być na lekcjach religii omawiane w dowolnie szerokim zakresie. I jeszcze jedno: bardzo mnie zmartwiło usunięcie z listy lektur „Sposobu na Elfa” Marcina Pałasa. To bardzo dobra powieść, odwołująca się do ważnych dla dzieci tematów, a jednocześnie niosąca ciepłe przesłanie. Duża szkoda.

Not. Michał Sobczyk

KADROWCY

Jak zniszczyli polski Kościół

Kornel Pauliński

Polski Kościół od pontyfikatu Jana Pawła II bezwzględnie opiera się na zasadzie „kadry decydują o wszystkim”. Zapowiedzią takiego kursu było już namaszczenie przez kard. Stefana Wyszyńskiego na swojego następcę biskupa bez właściwości, własnego sekretarza – Józefa Glempa. Ale on przynajmniej sprawiał wrażenie wierzącego i pobożnego. Potem było już tylko gorzej, nudniej i bezbarwniej. Dwóch nijakich ludzi, Józef Kowalczyk i Stanisław Dziwisz, zostało więc kościelnymi kadrowcami

Polski Kościół od pontyfikatu Jana Pawła II bezwzględnie opiera się na zasadzie „kadry decydują o wszystkim”.

40-milionowego kraju w środku Europy na prawie pięć dekad. Sami w sobie bierni, ale wierni, do dreptali do szczytów kościelnej kariery, jeden jako nuncjusz, prymas, arcybiskup gnieźnieński, drugi – kardynał i metropolita krakowski. Przez cały ten czas zasilali Kościół podobnymi sobie. Kowalczyk wyświęcił osobiście 12 biskupów, w konsekracji kolejnych 10 brał udział, a do 80% wszystkich nominacji się poczuwał. W tej masie biskupiej nikt się niczym nie wyróżniał, niczego nie podważał, nie krytykował, nie zadawał pytań, nie pisał ważnych książek, nie głosił znaczących kazań, nie zabierał głosu, kiedy należało, a kiedy zabierał, to nie było czego słuchać ani o czym myśleć; pomnażał majątek i wpływy, a gdy trzeba było, milczał lub krętał się i umywał ręce. Mówi o tym wprost ks. prof. Andrzej Kobyliński: „Polski episkopat ma twarz prymasa



Kard. Dziwisz znany był jako „kapciowy” polskiego papieża.

Kowalczyka (był prymasem w latach 2010-2014 – przyp. red.). I przez kilka najbliższych dziesięcioleci jego ludzie będą mianować nowe pokolenia podobnych sobie biskupów”.

Przez dekady podsuwali papieżowi kandydatury, potem papiery do podpisu, a on podpisywał i nie pytał. Kościół jest w kryzysie, coraz mniej osób w Polsce można nazwać wierzącymi i praktykującymi. Wskaźniki są bezlitosne – tak źle jeszcze nie było, dzieciaki masowo wypisują się z religii, powołań nie ma, tylko majątek i ambicje polityczne rosną. Wygląda na to, że nadchodzi czas

na wypicie piwa, którego nawarzyli „kapciowy” z nuncjuszem.

Podobnie jak to było w USA, Irlandii, Chile, katalizatorem możliwych radykalnych zmian takiego stanu rzeczy może być wątek ukrywania pedofilii przez hierarchów, a także ich osobista odpowiedzialność za podobne czyny. W USA całe diecezje bankrutowały, gdy zasądzano odszkodowania dla skrzywdzonych. A kiedy chodzi o majątek i pieniądze Kościoła – żarty się kończą.

Watykan rzutem na taśmę, tuż przed zgonem 97-letniego kard. Henryka Gulbinowicza w 2020 r., zakomunikował, że odebrano mu prawo do nabożeństwa pogrzebowego w katedrze i pochówku w katedrze. Czy do Gulbinowicza dotarło, co mu odczytano przy łóżku szpitalnym? Nie wiadomo, był już w fatalnym stanie. A było to wydarzenie bez precedensu, pierwszy

taki wyrok kanoniczny na polskiego biskupa. Gulbinowicz zaś jest ważny w tej historii od samego początku aż do dzisiaj.

W czerwcu br. przybył do Polski specjalny wystannik papieża Franciszka kard. Angelo Bagnasco, emerytowany arcybiskup Genui, były przewodniczący Konferencji Episkopatu Włoch. Nuncjatura w Warszawie w oficjalnym komunikacie przyznała, że „celem wizyty była weryfikacja sygnalizowanych zaniedbań kard. Dziwisza”. W październiku do Rzymu na wezwanie papieża pojedzie cały episkopat Polski. I choć sam episkopat w oficjalnym komunikacie zapewnia, że „podstawowym celem wizyty *ad limina Apostolorum*

jest umocnienie jedności między biskupami a Katedrą św. Piotra”, wiadomo, że krytyczny raport na temat działań polskich hierarchów przygotował dla Franciszka nuncjusz abp Salvatore Pennacchio. Standardowo biskupi mają pół roku na przygotowanie się do takiej wizyty i do złożenia wyjaśnień. Tym razem dostali o połowę mniej czasu.

W powietrzu wisi scenariusz chilijski: przed trzema laty, po krytycznym raporcie papieskiego wysłannika, Franciszek wezwał do Rzymu cały episkopat i wówczas wszyscy biskupi, co do jednego, podali się do dymisji – biorąc odpowiedzialność za zaniedbania.

Polski kontekst tuszowania przestępstw i nadużyć o charakterze seksualnym wobec dzieci ma w sobie bombę z opóźnionym zapłonem. To odpowiedzialność najbliższych współpracowników Jana Pawła II oraz, co już dzisiaj bezsprzeczne, jego samego – świętego Jana Pawła II. Wśród hierarchów ponoszących główną odpowiedzialność za proceder ukrywania przestępstw i przestępców w sutannach są dwaj najbliżsi Janowi Pawłowi II ludzie Kościoła: kard. Dziwisz i były nuncjusz apostolski Kowalczyk. Abp Kowalczyk od miesięcy jakby zapadł się pod ziemię, jest nieuchwytny i nieobecny. Najprawdopodobniej zaszył się w swoim luksusowym watykańskim mieszkaniu. Kiedy wcześniej trwała watykańska procedura przeciw abp. Józefowi Wesołowskiemu, który został wydany ze stanu kapłańskiego za wykorzystywanie



Abp Kowalczyk od miesięcy jakby zapadł się pod ziemię.

trafił do szpitala, „nie chciał zaogniać sytuacji” – a „duchownym jest się wiecznie”.

Tym razem wygląda jednak na to, że wielkimi krokami nadchodzi kres kardynalsko-biskupiej kamaryli Dziwisza/Kowalczyka.

Dwóch nijakich ludzi, Józef Kowalczyk i Stanisław Dziwisz, zostało kościelnymi kadrowcami 40-milionowego kraju.

Jak wygląda początek takich nieśłychanych karier jak te Głódzia, Kowalczyka, Dziwisza? Dobrze być sekretarzem jakiegoś biskupa czy kardynała albo jego kierowcą (Głódź woził Gulbinowicza), mieć odpowiednich kolegów na studiach (Kowalczyk studiował razem z Głodziem) oraz wspólnego patrona, który wyśle za granicę na dalszą edukację. Tak Głódź z Kowalczykiem wyładowali w Rzymie, a po chwili dołączył do ekipy Dziwisz, „kapiowy” polskiego papieża. I już się nie rozstali, mając decydujący głos we wszystkich sprawach kadrowych polskiego Kościoła. Do dziś.

Kowalczyk, wówczas szeregowy ksiądz, dostał od Jana Pawła II zadanie stworzenia sekcji polskiej watykańskiego Sekretariatu Stanu. Do pomocy wziął sobie ks. Tadeusza Rakoczego, który został w 2021 r. ukarany zakazem udziału w celebracjach i spotkaniach publicznych za zaniechania w sprawach pedofilskich. O wszystkich kwestiach

personalnych decydował w latach 1978-1989 Kowalczyk (nuncjatury wówczas w Polsce nie było), który podsuwał papiery do podpisu Dziwiszowi, a ten przedkładał je papieżowi Polakowi. Kiedy w 1989 r. papież mianował Kowalczyka nuncjuszem w Polsce, ten błyskawicznie podsunął kandydaturę Głódzia na biskupa polowego, a Rakoczemu

pomógł zostać biskupem i papież wydzielił z istniejących diecezji dodatkową: bielsko-żywiecką. Nie pierwszy ani nie ostatni raz, takie są kulisy powstawania nowych diecezji – kolega potrzebuje mieć swoją, jest przecież biskupem. To się ją powołuje do istnienia.

Przez prawie 40 lat Józef Kowalczyk, posiłkując się bardzo często sugestiami personalnymi Gulbinowicza, zabiskupił Polskę. Wśród takich zasufLOWANYCH nominatów znaleźli się m.in.: bp Jan Tyrawa, ukarany w tym roku przez Watykan za tuszowanie przestępstw pedofilskich; bp Stefan Regmunt, który po zakazie publicznych wystąpień afiszował się podczas pielgrzymki na Jasną Górę organizowanej przez Radio Maryję; bp Edward Janiak z diecezji kaliskiej, również ukarany za tuszowanie przypadków pedofilii.

Kowalczyk, równie sprawnie i skutecznie jak podsuwał przez Dziwisza papiery z nominacjami, nie dopuszczał do adresata korespondencji, która informowała o nieprawidłowościach w polskim Kościele. Dość wspomnieć tu o dwóch sztandarowych sprawach: abp. Stanisława Wielgusa, mianowanego metropolitą warszawskim, którego oskarżono o współpracę ze Służbą Bezpieczeństwa, i abp. Juliusza Paetza. Dokumenty w sprawie Wielgusa Kowalczyk zataił, a kiedy podejrzenia się potwierdziły, papież Benedykt XVI przyjął rezygnację Wielgusa w dniu ingresu. Jednak dużo bardziej skandalicznym działaniem było to wszystko, co Kowalczyk zrobił przy okazji ciągnących się

Ks. prof. Alfred Wierzbicki:
„Kościół jest tak zniszczony, że można zapytać, czy jest w nim jeszcze chrześcijaństwo”.

nieletnich w Dominikanie, zdążył on umrzeć w ukryciu w Watykanie, zanim jego wyrok się uprawomocnił. Pochowano go później w Czorsztynie – pochodził z pobliskiej wsi. Uroczystościom przewodził bp Jan Szkodoń, uczestniczyło w nich kilkunastu duchownych i kilkaset osób. Tamten wyrok się nie uprawomocnił, bo Watykan, kiedy Wesołowski

► latami afer o charakterze nadużyć seksualnych (wobec kleryków) abp. Paetza. Współodpowiedzialny za ukrywanie skandali seksualnych Paetza jest także abp Marek Jędraszewski, jeden z jastrzębi polskiego fundamentalistycznego Kościoła, obecnie metropolita krakowski, wcześniej, za czasów Paetza, biskup pomocniczy w Poznaniu.

Osoby usiłujące doprowadzić do wyjaśnienia afery Paetza często poddawane były naciskom i pozbawiane głosu. Przykładem jest choćby historia byłego wykładowcy poznańskiego seminarium duchownego ks. prof. Tomasza Węclawskiego, który w efekcie odszedł ze stanu duchownego i został pracownikiem naukowym Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu.

Wśród nielicznych duchownych i publicystów mających odwagę komentować ten węzeł gordyjski związany na szyi polskiego Kościoła, są tacy, którzy wypowiadają się bardzo mocno. Warto zauważyć choćby konstatację ks. prof. Alfreda Wierzbickiego, z Katedry Etyki na Wydziale Filozofii Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, który w książce „Bóg nie wyklucza” napisał: „Kościół jest tak zniszczony, że można zapytać, czy jest w nim jeszcze chrześcijaństwo”. Jako jeden z niewielu polskich duchownych zabrał głos przeciw nagonce na środowiska LGBT

Przez prawie 40 lat Józef Kowalczyk, posiłkując się sugestiami personalnymi Gulbinowicza, zabiskupił Polskę.

– wykluczającym słowem płynącym wprost od przedstawicieli polskiego rządu czy jego macierzystej uczelni, z której przecież wywodzi się obecny minister edukacji.

Taka polityka kadrowa musiała się przełożyć na realne działania i politykę uprawianą przez biskupów. Kluczowy jest tu aspekt relacji Kościół-państwo



Jak wygląda początek kariery? Dobrze być sekretarzem biskupa czy kardynała albo jego kierowcą – Głódź woził Gulbinowicza.

i nieustanne zwiększanie znaczenia Kościoła, co można obserwować na przykładzie 20-letniej historii komisji majątkowej, teoretycznie rządowo-kościelnej, praktycznie walczącej o interes KK. Inną próbą ognia była sprawa dopuszczalności aborcji i tutaj działania Kościoła zostały odebrane przez społeczeństwo jako radykalna ingerencja w prywatność i prawa kobiet. Wyrok niezależnego od rządu i władzy Trybunału Konstytucyjnego umocnił to przekonanie. Prof. Rafał Matyja, politolog i historyk, zauważył, że stoimy na progu zmiany ustrojowej, w tym konieczności zredefiniowania stosunków państwo-Kościół. Komentując inne aktywności biskupów (dzieło Kowalczyka/Dziwisza), stwierdził, że „Kościół stał się organizacją toksyczną, poprzez

próby zapewnienia sobie bezkarności w różnych sprawach, także poprzez brak reakcji na zamienianie dyskursu religijnego na mowę nienawiści”.

Ceniony watykanista John L. Allen, analizując pozycję papieża Franciszka w oczach episkopatów, bardzo wysoką miarę nieufności przypisał polskim hierarchom: „W Polsce każdy papież startuje z deficytem zaufania tylko dlatego, że nie jest Janem Pawłem II, a niektórzy Polacy postrzegają Franciszka jako tego, który w niektórych aspektach związa dziedzictwo poprzednika”. Chwilami można było odnieść wrażenie, że dla polskich biskupów projekt papież wyczerpał się wraz z odejściem Jana Pawła II, co by tłumaczyło ten kościelno-ludyczny-pomnikowy wymiar kultu jednostki. Kiedy 20 lutego 2019 r. podczas audiencji w Watykanie papież Franciszek pocałował rękę Marka Lisińskiego, który był molestowany przez księdza jako

dziecko, nie słychać było głosów zrozumienia ze strony polskich biskupów. Ten gest był dla nich za trudny. Być może dlatego też był taki ważny.

Bez wątpliwości została przerwana tama milczenia wokół przewin i przestępstw polskich duchownych i strukturalnej niemocy oczyszczenia się przez sam Kościół z afer pedofilskich i skandali z ich ukrywaniem.

Otworem stoi problem oceny na nowo roli i odpowiedzialności za podobne nadużycia, ale w skali globalnej, Jana Pawła II, dla Polaków wciąż „bohatera wszech czasów”, teraz jeszcze na dodatek świętego. Na świecie, w przeciwieństwie do naszego kraju, nie obowiązywał zakaz krytyki papieża z Polski. Ta fala dotarła już i tutaj i nie da się udawać, że nic się nie stało. Świętość Karola Wojtyły nie wytrzymuje próby konfrontacji z krzywdami dzieci, o których Jan Paweł II wiedział i których sprawców krył, nagradzał i promował, a krytyków uciszał.

Kornel Pauliński

Marek Czarkowski

Ukryta inflacja

Czy GUS i rząd ukrywają prawdę o wzroście cen? Oficjalnie inflacja w Polsce to dziś 5,4%.
Mniej oficjalnie może być nawet 8%!

W latach 60. XX w. słynne było powiedzenie: „Chleb podróżował, ale lokomotywy staniały”. Dziś jest podobnie. Wystarczy wybrać się na lokalne targowisko, by się przekonać, że ceny kilograma jabłek, ziemniaków, pomidorów, marchewki i papryki są o kilka złotych wyższe niż rok temu. Jako powód podaje się zimną wiosnę oraz wzrost cen paliw.

Chleb, który rok temu kosztował w piekarni 4 zł, dziś może kosztować nawet 6 zł. I na tym się nie skończy, gdyż ceny pszenicy wzrosły z 700 zł w połowie 2020 r. do ok. 1 tys. zł na koniec sierpnia, co oznacza, że ceny pieczywa jeszcze pójdą w górę.

W tym roku rekordy biją ceny materiałów budowlanych. W niektórych hurtowniach zwykłe płyty wiórowe zdrożały o 400%! Tona blachy stalowej w połowie 2020 r. kosztowała 2266 zł, a w styczniu 2021 r. aż 3247 zł. Ceny styropianu podskoczyły o 300%, a czas oczekiwania na realizację zamówień wydłużył się w lipcu nawet do trzech tygodni. Cena cegieł silikatowych wzrosła o 200%, co hurtownicy wytłumaczyli pandemią i kłopotami z dostawami niektórych składników do produkcji z Chin.

Wiosną zdrożały nawet części rowerowe, za które trzeba było zapłacić nawet dwa razy tyle co w roku 2020. Jak łatwo się domyślić, winne

były pandemia i wywołane nią przestoje w chińskich fabrykach.

Dziś wielu Polakom coraz trudniej związać koniec z końcem. I nawet 500+ niewiele może pomóc. Bo siła nabywcza złotego spada. Dlatego zaczynają nas drażnić komunikaty Głównego Urzędu Statystycznego i zapewnienia polityków Prawa i Sprawiedliwości, że inflacja jest pod kontrolą.

Według wstępnych szacunków GUS w sierpniu br. ceny liczone w ujęciu rocznym wzrosły o 5,4%. Ostatni raz podobny wynik odnotowano w czerwcu 2001 r., gdy sięgnął on 6,2%. Ale, jak zapewniał w Polskim Radiu 24 wiceminister finansów Piotr Patkowski, „podwyższona inflacja zawsze pojawia się tam, gdzie jest dość dynamiczny wzrost gospodarczy. A ponieważ mamy dynamiczny wzrost gospodarczy spowodowany także odbiciem popandemicznym, to towarzyszy temu inflacja”.

Coś w tym musi być, gdyż nawet eksperci Międzynarodowego

Funduszu Walutowego szacują, że w roku 2021 wzrost PKB w Polsce wyniesie 4,6%. A to bardzo dobry wynik. Ale czy kogoś to przekonuje? A może rządzący oszukują nas, manipulując statystyką?

Nauka czy propaganda?

Problemem są różnice w postrzeganiu rzeczywistości przez konsumentów. Trudno nam uznać, że „Polska rośnie w siłę, a ludzie żyją dostatniej”, jeśli każdego dnia musimy coraz więcej płacić przy kasach sklepowych, na stacjach paliw, w marketach budowlanych.

Główny Urząd Statystyczny i ekonomiści, określając poziom inflacji, posługują się średnią ważoną cen towarów i usług, biorąc pod uwagę tzw. statystyczny koszyk zakupów, czyli listę, którą GUS tworzy na podstawie badań budżetów gospodarstw domowych. Jest na niej ok. 1,5-2 tys. pozycji. Obserwując zmiany cen w owym koszyku, oblicza

Inflacja (łac. *inflatio*, czyli nadęcie) to proces wzrostu przeciętnego poziomu cen w gospodarce. Najczęściej rozumie się przez nią średnie zmiany cen towarów konsumpcyjnych i usług nabywanych przez przeciętne gospodarstwo domowe. Wskaźniki wzrostu cen obliczane są także w rolnictwie, przemyśle, budownictwie, transporcie, imporcie i eksporcie, handlu hurtowym i detalicznym.

Wśród przyczyn inflacji najczęściej wymieniane są:

- nadmierna emisja pieniądza przez bank centralny lub jego kreacja w bankach komercyjnych,
- nagły i niespodziewany wzrost kosztów produkcyjnych, np. wzrost cen surowców energetycznych, takich jak ropa naftowa, gaz ziemny, węgiel kamienny,
- nieźrównoważony budżet państwa,
- wadliwa struktura gospodarki.

Skutki inflacji to:

- spadek siły nabywczej pieniądza krajowego,
- realny spadek wartości zobowiązań i wierzytelności,
- względne zmniejszenie się dochodów osób, których nominalne wynagrodzenie lub otrzymywane świadczenia są

stałe, np. pracowników administracji publicznej, emerytów i rencistów.

Rodzaje inflacji:

deflacja – inflacja ujemna, gdy wysokość cen rok do roku jest niższa,

pełzająca – gdy wzrost cen nie przekracza 5% rocznie, **umiarkowana lub krocząca** – gdy wzrost cen oscyluje w granicach 5-10% rocznie,

galopująca – gdy roczny wzrost cen wyrażany jest w liczbach dwu- lub trzycyfrowych, od 10% w górę,

hiperinflacja – gdy miesięczny wzrost cen przekracza 150%.

Najwyższa inflacja w historii

W roku 1946, w czasie kryzysu ekonomicznego na Węgrzech, miesięczna inflacja wyniosła 41,9 bilarda procent. Oznaczało to, że ceny podwajały się co 15 godzin. Znaczek pocztowy kosztował 20 kwadrylionów pengó (2 z 25 zerami). Gdy w sierpniu 1946 r. węgierski rząd wprowadził nową walutę – forinta – przelicznik z pengó wyniósł 1 do 400 kwadryliardów (4 i 29 zer). Dla porównania ciało człowieka składa się z 5 kwadryliardów atomów.

► się wskaźnik CPI (ang. *consumer price index*).

Trudno sobie wyobrazić, by znalazły się w nim blacha stalowa, pręty zbrojeniowe, styropian czy inne materiały przemysłowo-budowlane. Tymczasem wzrost cen tych produktów ma odbicie w rosnących cenach mieszkań. Podobnie jak wzrost cen pszenicy, żyta czy innych zbóż ostatecznie przełoży się na cenę chleba i pozostałych wyrobów piekarniczych. Wystarczy zmienić listę towarów i usług w koszyku, by uzyskać inny wynik. Wzrost cen w sierpniu br. mógł być zatem wyższy. Nawet o 3%.

– Każdy z nas ma trochę inną strukturę wydatków – zwraca uwagę dr Sławomir Dudek, główny ekonomista Forum Obywatelskiego Rozwoju. – Wzrost cen paliw będzie miał wpływ na budżet osoby, która codziennie korzysta z samochodu. Ktoś korzystający z komunikacji miejskiej tak szybko tego nie dostrzeże, gdyż ceny biletów zmieniają się zazwyczaj raz do roku. Z kolei ktoś, kto planuje budowę domu, zakup działki budowlanej lub mieszkania, na pewno musi uwzględnić znaczny wzrost cen nieruchomości. Wszystko to sprawia, że indywidualnie różnimy się w ocenie inflacji, jej przyczyn i skutków.

Ekonomiści i politycy siłą rzeczy posługują się oficjalnymi danymi, a większość obywateli dostrzega, że żyje im się trochę trudniej, i obawia się przyszłości. Co prawda, nie grozi nam powrót galopującej inflacji z przełomu lat 80. i 90. XX w., gdy ceny miesięcznie rosły o 50%, ale możemy się zmierzyć z galopującą inflacją powyżej 10% rocznie.

Dr Dudek przypomina, że negatywne skutki inflacji częściej dotyczą osoby o niskich dochodach, gdyż zmniejsza się siła nabywcza pieniądza. Dotyczy to części pracowników sfery budżetowej, emerytów, rencistów, osób korzystających z pomocy społecznej. Nie mając możliwości uzupełnienia dochodów, muszą się liczyć ze spadkiem poziomu życia.

INFLACJA GALOPUJE



BO CENY WSTAŁY Z KOLAN...

Dla nich obecny wzrost cen już jest problemem. A to dopiero początek. W przyszłym roku z pewnością będzie gorzej. W jednym z ujawnionych ostatnio rzekomych mejli Mateusza Morawieckiego, które wyciekły z prywatnej skrzynki Michała Dworczyka, premier przyznał, że „budżetowo jesteśmy w strukturalnym deficycie i 70 mld pod kreską, i nie ma możliwości dokładania tam więcej – chyba że kosztem rosnącego zadłużenia czy też unijnej procedury nadmiernego deficytu (to akurat coś, czego powinniśmy

Najprawdopodobniej rząd jeszcze podkreśli inflację, by zapewnić sobie dodatkowe przychody do budżetu z podatków.

się wystrzegać jak ognia, a Komisja i zagraniczni inwestorzy już nam uważnie patrzą na ręce”.

Nie mamy powodów nie wierzyć w szczerą wypowiedź premiera, zwłaszcza że dzielił się tymi przemyśleniami z ludźmi zaufanymi. Co oznacza, że będzie gorzej, niż przypuszczamy. Bo najprawdopodobniej rząd jeszcze podkreśli inflację, by zapewnić sobie dodatkowe przychody do budżetu z podatków. To już się dzieje. Słabnąca siła nabywcza pieniądza sprawia, że konsumenci chcą jak najszybciej pozbyć się gotówki i kupują dobra, których wartość nie maleje. Stąd bum na rynku

nieruchomości. Przy okazji napędzane są te sektory polskiej gospodarki, które produkują dobra trwałe. Gdy bańka spekulacyjna na rynku mieszkaniowym pęknie, stracą ci, którzy zainwestowali. Ale rządu to nie dotyczy.

Naukowcy, mówią o inflacji, potrafią wiele wyjaśnić, lecz dziś jest czas polityków i propagandzistów, którzy próbują minimalizować zagrożenia, wskazując przykład Niemiec, Belgii, Estonii i Litwy, które, będąc w strefie euro, także doświadczają wzrostu cen.

Ostatnio prezes banku Pekao SA Leszek

Skiba przekonywał, że „wyższa inflacja oznacza ożywienie na rynku pracy, na rynku surowcowym zazwyczaj jest oznaką powrotu dobrej koniunktury i gospodarczego optymizmu”. Brzmi to nieźle, lecz nie odpowiada prawdzie.

Inflacja jest groźna

Jeśli rząd i Narodowy Bank Polski niczego nie zrobią, poziom inflacji wkrótce może się zbliżyć do 10%, a nawet przekroczyć tę barierę. Wtedy polskiej gospodarce bardzo

trudno będzie wrócić do wskaźnika 3-4%. Może to trwać latami, konsekwencje zaś okażą się bolesne.

Dr Sławomir Dudek ostrzega, że oczekiwania inflacyjne mogą doprowadzić do uruchomienia spirali wzrostu cen i płac. Z jednej strony, pracownicy będą się domagali podwyżek, tłumacząc to rosnącymi cenami towarów i usług. Z drugiej zaś, producenci towarów, hurtownicy i sprzedawcy, wiedząc o podwyżkach, będą podnosili ceny.

Rodzi się pytanie o zdolność rządzących do opanowania inflacji. Prezes NBP Adam Glapiński w lipcu br. dowodził, że inflacja nie ma

negatywnego wpływu na zasobność portfeli Polaków, gdyż wszystkie wynagrodzenia i świadczenia emerytalne rosną znacząco szybciej. Dotyczy to także tych najmniej zarabiających, bo rośnie także płaca minimalna.

Na początku września prezes Główny Instytut Statystyki zapewniał, że „NBP nie dopuści do utrwalenia wysokiej inflacji”, ale tłumaczył, że obecny wzrost cen jest w bardzo dużym stopniu niezależny od polityki pieniężnej banku centralnego. To efekt silnego wzrostu cen surowców na rynkach światowych, w tym gazu ziemnego, ropy naftowej, metali oraz produktów rolnych. Do tego dochodzi wzrost regulowanych cen prądu związany z unijną polityką klimatyczną i opłat za wywóz śmieci. Wpływ NBP na te czynniki jest żaden. Bank nie jest w stanie ograniczyć negatywnych skutków ich oddziaływania. Po prostu nie ma takich narzędzi.

Można przypuszczać, że na razie NBP i Rada Polityki Pieniężnej ograniczą się do obserwacji, a jeśli zdecydują się na podwyżkę stóp procentowych, będzie ona niewielka.

Oznacza to, że sytuacja robi się groźna. Rząd nie jest zainteresowany walką ze wzrostem cen, bo doraźnie na tym korzysta. Jeszcze wiosną pojawiła się nadwyżka budżetowa. Do końca roku będzie co wydawać. Tak zwany podatek inflacyjny zmniejsza realnie dług publiczny. NBP i Rada Polityki Pieniężnej obsadzona przez Zjednoczoną Prawicę nie zaryzykują działań, które nie byłyby uzgodnione z gabinetem Mateusza Morawieckiego.

Nam pozostaje czekać. I mieć nadzieję, że inflacja nie wyrwie się spod kontroli. Choć można mieć poważne obawy. Pracownicy budżetówki domagają się podwyżek. Podobnie jak część służby zdrowia. Tylko patrzeć, jak o wyższe wynagrodzenie poproszą górnicy i cała branża energetyczna. Sytuacja ekonomiczna tych spółek rok temu była fatalna, a dziś zarabiają one na wzrostach cen węgla i energii elektrycznej. Potem przyjdzie czas na inne branże. A wtedy inflacja na poziomie 5% będzie się wydawała nie zagrożeniem, lecz miłym wspomnieniem dobrych czasów.

Marek Czarkowski
m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

Okno dla agenta

Mamy stan wyjątkowy na granicy z Białorusią, ale jej agent swobodnie przyjechał na Forum Ekonomiczne do Karpacza

Andrzej Kowalski

W ubiegłym tygodniu odbywało się w Karpaczu Forum Ekonomiczne, przeniesione z Krynicy. Impreza nie jest tania, więc zaproszono do udziału premiera, ministrów, szefów spółek. Potrzebni są sponsorzy i współorganizatorzy. Niektórzy przy okazji załapali się na fuchy. Paweł Jabłoński został rzecznikiem forum.

Ponieważ na forum od lat dyskutuje się głównie o sprawach gospodarczych na Wschodzie, zaangażowanie MSZ jest rozsądne i celowe. Chodzi o identyfikację gości z odpowiednich branż i na odpowiednich stanowiskach przez podlegający Jabłońskiemu departament współpracy ekonomicznej i placówki oraz wydanie im wiz, by nie musieli stać w kolejkach, bo to ludzie ważni i zajęci. Listę gości, którym należy wydać wizy, przygotowuje organizator, przekazuje ją do MSZ, a departament konsularny przekazuje ją do realizacji (czyli wydania wiz) wydziałom konsularnym ambasad i konsulatom generalnym. I oto okazało się, że jednym z gości jest esbek Łukaszenki, agent białoruskiego KGB, odpowiedzialny za łamanie opozycjonistów, Jurij Woskriesiński. Kiedyś – podobno – także opozycjonista. Piszę: podobno, ponieważ rzecz jest o służbach i resortach siłowych.

Nasze służby o wizycie esbeka dowiedziały się od białoruskiego dziennikarza Tadeusza Giczana i z profilu społecznosciowego białoruskiego gościa. Szczery obrońcy służb od razu zaczęli snuć fantasmagorie, że to akcja wzorowo przez naszych zaplanowana, mająca na celu wydostanie z więzienia Andżeliki Borys i Andrzeja Poczobuta.

Te opinie uważam za szerzenie typowej dezinformacji w celu przykrycia własnych błędów – dopuszczenia do skandalu, jakim jest wydanie wizy Woskriesińskiemu. Moim zdaniem konsul, który to zrobił, ma tylko dwa sposoby na uratowanie stołka, gdy będą szukać winnego: jeśli wspomniana lista z nazwiskiem pracownika białoruskich służb istnieje, to trzymać ją w pogotowiu lub jeszcze lepiej zapytać o Woskriesińskiego w Centralnym Organie Wizowym i uzyskać stamtąd potwierdzenia, że wizę można wydać. Wiele zależy będzie od tego, kto podpisał listę rekomendującą wydanie wiz: czy wiceminister, czy może dyrektor departamentu. A może po prostu lista była załącznikiem do mejla z niskiego szczebla departamentu konsularnego do placówek?

Paweł Jabłoński zarzeka się, że na liście dziennikarzy Woskriesińskiego nie było. Współorganizator forum Jerzy Marek Nowakowski przypuszcza, że może tam się znalazł jako były opozycjonista. A w Mińsku zwijają się ze śmiechu. Nowakowski zawsze wie, gdzie stoją konfitury. Za czasów AWS był ministrem w kancelarii premiera, za czasów PO ambasadorem na Łotwie i w Armenii, teraz zatrudnił się do organizowania imprez „ku chwale i czci rządu”. Głównym organizatorem corocznego forum jest Zygmunt Berdychowski. Wcale nie sierota po POPiS, raczej bogaty potomek.

I tak wprawdzie mamy zasieki oraz stan wyjątkowy na granicy z Białorusią, ale jej służby korzystają z innych dróg do Polski. Wygodniejszych. Za cały ten bałagan odpowiedzialny jest wielki nauczyciel opozycji, minister spraw wewnętrznych oraz służb tajnych i jawnych Mariusz Kamiński.

■

Zuzanna Muszyńska

Pierwszy weekend września spędzamy w Narewce na skraju Puszczy Białowieskiej. Są żubry i jest sporo mundurowych. Nad głowami latają helikoptery. Wprowadzenie ograniczeń poruszania się w 115 miejscowościach to kolejna po pandemicznych obostrzeniach katastrofa dla podlaskiej branży turystycznej. Osoby, z którymi rozmawiam, są co do tego zgodne, różnią się jedynie w opiniach, kto zawinił.

Białowieża zamyka się w czwartek, 2 września, o czym dowiadujemy się dwa dni wcześniej. Zdeterminowani, by nie rezygnować z puszczańskich części planów urlopowych, siadamy nad mapą terenów, które mają zostać objęte obostrzeniami. O drugiej w nocy jest decyzja: jedziemy. Znaleźliśmy miejsce, skąd powinny nam się udać wyprawy na żubry i na rykowisko jeleni. W dzień dzwoniemy do hotelu i otrzymujemy potwierdzenie, że niezależnie od tego, czy prezydent podpisze rozporządzenie o stanie wyjątkowym, czy nie, Bojarski Gościniec w Narewce przyjmie gości. Prezydent rozporządzenie podpisuje, my pakujemy walizki.

Domniemanie winy

W sobotnie popołudnie w centrum Narewki rozbrzmiewają rytmy festiwalu „Folklor i tożsamość pogranicza”. My na razie zadamawiamy się w hotelu. Gości sporo, parking prawie zapełniony. Wczesna jesień to pora dla miłośników ciszy i kameralnych wycieczek rowerowych po lasach. Obsługa dwoi się i troi, żeby wynagrodzić odwiedzającym hotel i restaurację niespodziewane trudności. Nikt nie jest pewien, co i gdzie wolno robić. Najlepiej posłuchać, co mówią przy sąsiednich stolikach: – Myśleliśmy, że skoro Białowieża zamknięta, to Szlak Dębów Królewskich też nieczynny, ale go dziś przeszliśmy. Nikt nas nie sprawdzał, kasa nieczynna, udało się wejść i zobaczyć prastare drzewa.

Jesteśmy dobrej myśli. Po smacznej obiadokolacji i krótkim odpoczynku wyruszamy w las. Policyjne koguty migają naprzeciw urzędu gminy przy Białowieskiej, na wylocie w kierunku Janowa. Dlaczego tutaj?



NAREWKA nie chce lockdownu

Stan wyjątkowy to kolejna katastrofa dla podlaskiej branży turystycznej

W miejscowości otwartej dla ruchu, z której szosą jest 14,4 km do przygranicznego Starego Masiewa, a w linii prostej ok. 10 km do granicy?

Policjanci przepytują męża, skąd i dokąd jedziemy. Żądają okazania dokumentu tożsamości. Na hasło „wieża widokowa” reaguja bez wia-ry. Przyjechali z Torunia, nie znają terenu. Uspokaja ich dopiero nazwa Kosy Most. Możemy się oddalić, byle nie do Białowieży. W drodze schodzi z nas napięcie, przerzucamy się żartami, co mogłoby nas pogrążyć. Jak łatwo ulec domniemaniu winy w obecności władzy.

Jelenie ryczą na potęgę. Na wieży zebrało się sporo ciekawskich. Schodzimy jako ostatni, maszerujemy do parkingu przez ciemny las. W samochodzie ustalamy, jak będziemy zeznawać. Syn nagrał basowe nawoływania byków, w razie czego użyjemy ich w obronie własnej. Martwimy się niepotrzebnie, nikt nas nie zatrzymuje, chociaż do policji dołączyła straż graniczna.

Idziemy na festiwal, na scenie Dobryje Grajki, mistrzowie muzyki biesiadnej. Publiczność śpiewa „Bietyje rozy”, kołysze się do innych przebojów. Zespół reklamuje na plakatach swój repertuar pieśni białoruskich, rosyjskich i ukraińskich. Kilkaset osób pod sceną zna ich teksty. Atmosfera wspaniała. Kolejny zespół, Czeremszna, to – jak zapowiada wójt – „najlepszy eksport muzyczny Podlasia”. Płyniemy z muzyką, piękną jak cała ta mała ojczyzna wielu wyznań i kultur. Wokół sama dobra energia.

Puszcza trwa

Pani Ludmiła podjeżdża pod hotel kwadrans przed piątą. Będzie naszą przewodniczką po zabielenych szadzią łąkach. Uprzedza, że przeszła już pierwszą kontrolę, kiedy przebijając się z głębi puszczy do Narewki. Zapowiedziała policjantom (z Bydgoszczy), że wróci z gośćmi, taka praca.

Rozglądamy się za żerującymi o świcie żubrami i za policją. Mamy

szczęście – chwilę po piątej spotykamy przed mostkiem samotnego byka. Czujna bestia, zauważa nas i ucieka galopem do lasu. Idziemy dalej przez łąki. – To tereny prywatne, kontraktowane u rolników w celu opieki nad żubrami, program współfinansowany z funduszy unijnych – tłumaczy pani Ludmiła. Cena za wydzierżawienie 1 ha łąk to średnio 2,5 tys. zł – za przygotowanie terenu, zbiór siana i złożenie go luzem na zimę. Kiedy w lesie brakuje pożywienia, zwierzęta wychodzą na otwarte przestrzenie, gdzie powodują szkody w uprawach. Przygotowanie na zimę ok. 100 ha łąk dla białowieskiej populacji ponad 700 żubrów minimalizuje straty. Później zauważę pewien porządek w rozmowach: te same osoby, które skarżą się na „ekspansję żubra”, nie chcą, by władza wpuściła uchodźców. Pani Ludmiła do tej grupy nie należy.

Objedźdamy północne obrzeża puszczy, spotykamy jeszcze stadko żubrów. Kiedy zbliżamy się do Babiej Góry, objętej stanem wyjątkowym, natychmiast zawracamy, ale i tak dostajemy ogon – przez pewien czas słyszymy nad autem warkot helikoptera. Pani Ludmiła martwi się, co będzie dalej. Dzieli się pracą w swojej firmie z innymi przewodnikami, ma za sobą ciężki rok, końcówka tego nie zapowiada się lepiej. Musiała odmówić nam wycieczki do rezerwatu ścisłego. Ta część BPN pozostanie niedostępna dla turystów co najmniej do końca września.

Wszystkie cztery miejscowości w gminie Narewka objęte stanem wyjątkowym zażądały oświetlenia przez całą noc.

Podczas śniadania przy sąsiednim stole rozmawia duża grupa Anglików. Przyjechali z dobrym sprzętem fotograficznym polować na naszą dumę narodową. Tego ranka nie mieli szczęścia. Co ich jeszcze spotka, zanim wrócą na Wyspy? Co opowiedzą o Polsce? Czy przyjedzie na Podlasie dużo takich grup, czy zrezygnują?

Koło południa wybieramy się ponownie do lasu, w to samo miejsce, żeby nie komplikować sytuacji. Stoją tam, gdzie poprzedniego dnia, w trzy radiowozy. Jest groźniej, każą otworzyć bagażnik. Podajemy nazwę Kosy Most. – Kojarzysz? – pyta jeden drugiego. Tak, można jechać. Kiedy

wysiadamy z auta na parking, znów krąży nad lasem helikopter. Zostajemy w dziczy aż do pierwszego ryku jelenia, nie spotkawszy ani jednego człowieka. Puszcza trwa.

Duch czasu

Żał wyjeżdżać. W poniedziałek docieramy w Narewce na jeden z największych żydowskich cmentarzy w okolicy. Społeczność żydowską Niemcy zlikwidowali tutaj w dwóch

Nikt tutaj nie boi się ćwiczeń wojskowych po tamtej stronie granicy, odbywają się przecież od lat.

etapach. Najpierw w pobliskim lesie 15 sierpnia 1941 r. rozstrzelali 282 mężczyzn i chłopców. Kobiety i dzieci trafiły do Kobrynia na Polesiu, skąd wywieziono je do lasu i rozstrzelano w lipcu 1942 r.

W centrum stoi pomnik poświęcony ofiarom hitleryzmu – z listą ponad 30 spacyfikowanych w latach 1941-1944 wiosek. Z ławeczki nieopodal podnosi się dwóch podchmielonych mieszkańców. Bardzo chcą nam opowiedzieć, jak było naprawdę. Wiedzą od starszych o terrorze, jakiemu poddawali okoliczną ludność prawosławną żołnierze „Łupaszki”. Z gminy Narewka pochodziła Danuta Siedzikówna „Inka”. W amfiteatrze, gdzie odbył się sobotni koncert, czczono kilka lat

Masiewo, Nowe Masiewo i Gruszki – zażądały oświetlenia przez całą noc. – To im się teraz należy – tłumaczy sekretarz gminy Jan Chomczuk. – Wzrosną koszty, ale co zrobić.

Władz Narewki nikt dotychczas nie informował o incydentach z uchodźcami. Odczuwają nową sytuację tak samo jak wszyscy w okolicy – policja kontroluje wyjeżdżających pod oknami urzędu, to raz. Są obawy o znaczne straty w branży turystycznej, to dwa. W prowadzonym przez

gminę Ośrodkiem Edukacji Ekologicznej w Siemianówce jedna po drugiej odwołują pobyty grupy szkolne. Powód – zamknięta Białowieża.

Właścicielka Bojarskiego Gościńca, pani Elżbieta, zauważyła zakłócenia w dostępności internetu, które pojawiły się wraz z przybyciem do Narewki służb mundurowych. Przemasza za kłopoty z wi-fi. Wolałaby też, żeby media uspokajały ludzi, zamiast ich nakręcać. O stanie wyjątkowym mówi *lockdown*. – Dźwigaliśmy go na grzbiecie tak długo, a teraz to – skarży się. Co do uchodźców, uważa, że nie stać nas na ich przyjęcie, poza tym boi się ekspansji religii muzułmańskiej w Europie.

W galerii sztuki wita nas pan Mariko, malarz i rzeźbiarz, emerytowany pogranicznik. Jego zdaniem winne wszystkiemu reżimy załatwiają sprawy nad naszymi głowami, a polski rząd zbyt łatwo się ugina. – Trzeba było wpuścić uchodźców, a potem zabezpieczyć polsko-białoruską granicę – uważa. Ale nie zasiekami, na których giną zwierzęta. W ich świecie granice nie istnieją. Dla artysty, który maluje naturę i rzeźbi w lipowym drewnie duchy puszczy, jedyną granicą jest czas. – Żyjemy za krótko, żeby zrozumieć wiele rzeczy – twierdzi.

Pan Mariko poleca odwiedzenie skitu w Odrynkach, jedynej prawosławnej pustelni w Polsce. To dobry wstęp do podróży wzdłuż polskiej Amazonii, jak nazywana jest środkowa Narew na Podlasiu. Będziemy tęsknić za puszcza, a jednak odczuwamy ulgę. Koniec z odpytywaniem się przed wyjściem do lasu: „Masz dowód w plecaku?”. ■

Ratownicy mówią: dość

Przemęczeni, rozgoryczeni, niedoceniani. Fala wypowiedzeń i zwolnień lekarskich wśród ratowników medycznych przybiera na sile

Anna Brzeska

– W całej Polsce złożyli już ok. 1,5 tys. wypowiedzeń – na ok. 14 tys. ratowników udzielających świadczeń zdrowotnych w ramach państwowego systemu ratownictwa medycznego. Ci ludzie najprawdopodobniej od 1 października nie wrócą do pracy, co znaczy, że ok. 10% zespołów nie będzie działać – mówi Bartłomiej Zimoch, ratownik medyczny, prezes zarządu Stowarzyszenia Ratowników Medycznych Pomorza Zachodniego.

To efekt wieloletniego zaniedbywania potrzeb tej kluczowej dla zdrowia publicznego grupy zawodowej. Po protestach, które odbyły się 30 czerwca br. w siedmiu polskich miastach, przyszła kolej na następne – w Warszawie trwają one od 1 września. Ratownicy medyczni żądają podwyżki wynagrodzenia podstawowego do 4972 zł brutto (obecnie, od 1 lipca br., jest to 3772 zł brutto dla ratowników ze średnim wykształceniem, 4186 zł dla osób z dyplomem uczelni), ustawy o zawodzie ratownika medycznego oraz upowszechnienia umów o pracę.

Pandemia odbezpieczyła granat

– Już wiosną zeszłego roku, gdy zaczęła się pandemia, mówiliśmy, że ten system padnie. I to jest właśnie ten moment, gdy system padł – mówi mi osoba pracująca w karetce, czyli wyjazdowym zespole ratownictwa medycznego. Nie chce podawać imienia w obawie przed nieprzyjemnościami w pracy. – Ratownicy mówią: dość, są przeciążeni pracą, sfrustrowani jej warunkami. Wielu cierpi na zespół stresu bojowego. To rzeczy, które są problemem ogólnopolskim, dzieją się na każdej stacji pogotowia. W moim mieście były w sierpniu dni, gdy 40% karetek nie wyjeżdżało z powodu zwolnień lekarskich. Zwykle w miesiącu jedna-dwie osoby

brały zwolnienia, w ostatnim miesiącu wzięła je połowa z nas.

Wbrew obiegowej opinii masowe zwolnienia nie są wyłącznie formą manifestu. – Wcale nie jest tak, że to są „lewe” zwolnienia – wyjaśnia Bartłomiej Zimoch. – Stoi za nimi w ogromnej większości przypadków zły stan zdrowia ratowników. Duża część, szczególnie podczas pandemii, doszła do takiego stopnia wyczerpania psychicznego i fizycznego, że najczęściej zostali zmuszeni przez lekarzy rodzinnych do pójścia na zwolnienie pod groźbą odmowy dalszego leczenia. Psychiatrzy i psycholodzy mówią im: „Jesteś tak wypalony, że stajesz się groźny”. I robią to nie tylko dla dobra ratowników, ale też ich pacjentów. Bo jeśli ratownik z PTSD boi się własnego cienia, ma lęki wszelkiego rodzaju, staje się groźny dla pacjentów. Weźmy także pod uwagę, że osoby wykonujące zawody medyczne mają zupełnie zaburzony cykl dobowy. Nie wiem, ile musiałbym się

dawna. Protest ratowników medycznych trwa nieprzerwanie od czterech lat i tylko podczas pandemii zawiesiliśmy nasze postulaty, chcąc być dla pacjentów, narażając swoje życie i zdrowie, nie mając w jej początkach należytych zabezpieczeń w postaci kombinezonów czy masek.

Więcej niż dwa etaty

– Na etacie nie wolno wyrabiać tylu godzin, ale pracownicy kontraktowi pracują 300-400 godzin w miesiącu – i to jest norma. Dyżury trwają po 24 godziny. Gdy byłam młodsza, brałam nawet po 36 godzin, teraz już jestem zbyt przemęczona – mówi ratowniczką medyczną. Wyjaśnia, że pracodawcy ogólnie oferują umowę o pracę, ale ogromna większość pracowników na etacie i tak ma poza nim swoją działalność, dzięki której może dorabiać na kontrakcie dla innego podmiotu. Ta forma umożliwia zresztą płacenie niższych składek.

Ludzie po prostu pękli z powodu obciążenia pracą, ciągłych zaleceń, by pracować ponad siły.

regenerować, żeby po tylu latach takiego obciążenia mój organizm wrócił do homeostazy. Niestety, świadomość społeczeństwa w tym temacie jest bardzo uboga. Zresztą nawet nasz dysponent, czyli mój dyrektor, ośmieszył się, wysyłając kontrolę do wszystkich pracowników na L4 – żadne nie zostało podważone przez ZUS.

Zdaniem ratownika pandemia w dużej mierze była akceleratorem protestów: – Ludzie po prostu pękli z powodu obciążenia pracą, ciągłych zaleceń, by pracować ponad siły, bo dużo ludzi chorowało i brakowało ratowników. Pandemia była jak wyciągnięcie zawlecзки z granatu – i ten teraz wybuch. A przecież o naszej złej sytuacji, niedofinansowaniu i patologjach systemu alarmujemy od

Bartłomieja Zimocha: – Pracuję zarówno w wyjazdowym zespole ratownictwa medycznego, jak i na SOR – w jednym miejscu na etacie, w drugim na kontrakcie. Od 12 lat wyrabiam ponad 320 godzin w miesiącu – a bywa, że jeszcze więcej. Do tego trzeba doliczyć moją działalność społeczną w stowarzyszeniu czy pracę na uczelni. Oczywiście, gdyby było możliwe utrzymanie się tylko z jednego etatu – a drugą pracę wykonywałbym wyłącznie dlatego, że ją kocham – ograniczyłbym znacznie liczbę godzin. Obecnie niestety płacę za to wszystko zdrowiem.

Zdaniem prezesa SRMPZ ogromna większość ratowników w Polsce pracuje ponad normę: – Nawet jeśli jeden etat przeznaczają na uczelnię, a drugi



Protesty ratowników trwają od dawna – nz. warszawski z 30 czerwca 2021 r.

na SOR lub karetkę, trzeba być świadomym, że prędzej czy później odbije się to na ich zdrowiu czy relacjach rodzinnych. I potem słyszymy w mediach – dotyczy to nie tylko ratowników, ale też lekarzy – że ktoś umiera po kilkudziesięciu godzinach dyżuru.

Wiele osób pracuje jednak wyłącznie jako ratownicy, łącząc godziny z różnych podmiotów, np. na SOR w szpitalu i w pogotowiu ratunkowym. – W zespołach wyjazdowych obciążenie pracą bywa mniejsze, chociaż w ostatnim czasie normą jest, że wsiadam do karetki o godz. 6 rano i wychodzę z niej o 18 – mówi Zimoch. – Jednak na SOR zwykle nie ma momentu na wytchnienie. Mogę pracować tam maksymalnie 12 godzin, bo po tym czasie nie jestem w stanie logicznie myśleć, a co dopiero działać. Podziwiam osoby, które biorą na SOR dobowe dyżury, choć rzeczywiście w nocy nieco maleje liczba pacjentów i ratownicy starają się wtedy dzielić pracą, by każdy miał pół godziny czy godzinę na wytchnienie, czyli przynajmniej położenie nóg do góry. Obrzęki są bowiem takie, że ludzie muszą drepnąć z miejsca na miejsce, nie będąc w stanie ustać.

Z kolei w zespołach wyjazdowych bywa gorzej pod innym względem – czasem trzeba jeździć w miejsca niebezpieczne. – Ostatnio mieliśmy

pacjenta pod wpływem amfetaminy; chciał nam rozwalić karetkę, wyrwać kable, zniszczyć sprzęt. Zachowywał się agresywnie również w stosunku do nas. Tacy pacjenci są najtrudniejsi, nigdy nie wiemy, jak się zachowają, nawet jeśli początkowo są spokojni – opowiada moja rozmówczyni. – Innym razem uczestniczyłam w awaryjnym otwarciu mieszkania. A tam leży człowiek we własnych odchodach, zawieszony. Przewrócił się po spożyciu alkoholu i już tak został, robiąc pod siebie. A przecież takiego człowieka też musimy ogarnąć i jechać potem z nim w tej samej karetce.

Podwyżka to fikcja

Ile można zarobić, pracując w tak dramatycznie trudnych warunkach? – To, co się dzieje ostatnio, jest już poniżej mojej godności. Wyjaśnię, jak to wygląda. Moja podstawa wcześniej wynosiła 2790 zł brutto. Do tego miałam dodatek ratowniczy – 970 zł, który zabrali nam w lipcu, plus wynagrodzenie za dodatkowe dyżury – wylicza ratowniczka z karetki. – W lipcu podstawę wynagrodzenia zwiększyli nam do ok. 4100 zł brutto. Tymczasem 10 sierpnia dostałam pensję uwzględniającą dodatkowy dyżur nocny i dodatkowy dyżur świąteczny – i na konto wpłynęło mi 4100 zł. Policzyłam, że gdybym nie miała dodatkowych

dyżurów, dostałabym o 200 zł netto mniej niż wcześniej. Taką „podwyżkę” dostaliśmy.

Jak to możliwe? – Przez wcześniejsze dodatki covidowe wpadliśmy w drugi próg podatkowy i płacimy teraz podatki w wysokości 32% – tłumaczy ratowniczka. – Dodatek covidowy otrzymywaliśmy od mniej więcej listopada ub.r. do końca czerwca. I teraz te pieniądze oddajemy państwu w podatkach. Większość z nas nie miała świadomości, że tak to się skończy. Teraz zostaliśmy bez dodatków covidowych i bez dodatku ratowniczego. W sierpniu nie brałam dodatkowych dyżurów – tak umówiliśmy się z pracodawcą, to moja forma protestu – więc mając wypracowane 168 godzin, boję się, jaką pensję teraz otrzymam. To będzie 4100 zł minus 32%, czyli jakieś 2800 zł. Za co? Za chodzenie po melinach, kontakt z osobami pod wpływem narkotyków. A przecież musimy być cały czas skupieni, znać się na każdej dziedzinie. Musimy być okulistami, ortopedami, chirurgami, internistami, ginekologami – nie mając żadnych możliwości diagnostycznych poza szkiełkiem i okiem, i własną wiedzą. Tyle że lekarze zarabiają pięć razy tyle. A my, za podstawę 4100 brutto, ku chwale ojczyzny, mamy być specjalistami w każdej dziedzinie, gdy każdy błąd grozi nam sprawą sądową i prokuratorem.

► Bez przyszłości

Bartłomiej Zimoch: – Szczególnie współczuję tym ratownikom, którzy pracują wyłącznie na umowach cywilnoprawnych, czyli kontraktach. Kwoty, które zarabiają za godzinę, wahają się między skrajnie niską stawką 28 zł/godz. a pozwalającymi na bytowanie 40-50 zł/godz. Mówię o bytowaniu, bo życiem bym tego nie nazwał. Co bowiem, jeśli te osoby zachorują, jeśli coś im się stanie? Zarabiając tak mało, nie mają szans na żadne zabezpieczenie na przyszłość. Stawka kontraktowa powinna wynosić minimum 75 zł/godz., by te osoby mogły normalnie żyć i zabezpieczyć się na wypadek choroby. Jest takie powiedzenie: czym się różni ratownik medyczny od balconu? Balkon jest w stanie utrzymać czteroosobową rodzinę, ratownik nie. To może brzmieć żartobliwie, ale choroba ratownika jest przecież dramatem całej jego rodziny.

W dodatku, wyjaśnia Zimoch, firmy ubezpieczeniowe nie chcą ubezpieczać ratowników medycznych, wiedząc, jakie obciążenia dla zdrowia niesie taka praca. Co gorsza, część chorób jest wyłączona z pakietów – np. urazy kręgosłupa, choroby przewlekłe kręgosłupa, choroby przeciążeniowe, urazy spowodowane dźwiganiem.

Patologie systemu

Jednym z głównych postulatów ratowników medycznych jest przyjęcie ustawy o zawodzie ratownika medycznego i samorządzie zawodowym.

– Od ponad 10 lat mieliśmy już ok. 15 projektów tej ustawy – tłumaczy Bartłomiej Zimoch. – Za każdym razem utykają w jakichś konsultacjach lub na etapie prac rządowych albo są wrzucane do zamrażarki. Tymczasem już samo umocowanie ratowników medycznych w prawie ułatwiłoby nam wiele rzeczy – choćby w komunikacji z podmiotami leczniczymi czy instytucjami państwowymi. Bo co to znaczy używane obecnie w przepisach określenie „inny zawód medyczny”? To jest sformułowanie, które budzi wątpliwości co do szacunku dla nas i wykonywanej przez nas pracy.

Zdaniem ratowników brak ustawy przekłada się także na wysokość wynagrodzeń. – Wkurza mnie, że jesteśmy wrzucani do jednego worka

do siatki płac z najmniejszym współczynnikiem, jeśli chodzi o przeliczenie pensji. Czujemy się bardzo niedocenieni – mówi łamiącym się głosem ratowniczka. – Mamy reprezentantów, ale nikt nie traktuje nas poważnie.

Ministerstwo Zdrowia zapowiedziało, że będzie kształtowało od nowa model ratownictwa medycznego i zwiększy finansowanie poprzez wzrost kwoty tzw. dobokaretki. Jak oceniają to ratownicy? – Niestety, obecne zapewnienia o podnoszeniu wysokości dobokaretek w żaden sposób nie są gwarancją zmian czy likwidacji patologii w funkcjonowaniu systemu. Zapowiada się, że po raz kolejny zyskają głównie dysponenci

– w Szczecinie jednemu udało się wypracować 6 mln, a wojewódzka stacja pogotowia ratunkowego w Warszawie, gdzie toczy się obecnie największy protest, wykazała prawie 7 mln zysku. I byłoby świetnie, tylko szkoda, że przez to potem mówi się ratownikom, że nie ma pieniędzy na podniesienie wynagrodzeń. Obecna patologia prowadzi bowiem do sytuacji, w której podmioty zarabiają, a jednocześnie żądają od państwa zwiększenia środków na ratownictwo. MZ ma więc podstawy, by pytać je, po co im więcej pieniędzy, i odmówić przyznania tych środków. W efekcie ratownicy nadal nie dostają adekwatnych podwyżek.

Protest ratowników medycznych trwa nieprzerwanie od czterech lat i tylko podczas pandemii zawiesiliśmy nasze postulaty.

(zwykle są nimi wojewódzkie stacje pogotowia ratunkowego), którzy znów łatwo zwiększą finansowanie swojej działalności, wioząc się na karkach ratowników medycznych. Ci dalej będą zdani „na łaskę pana”.

O jaką działalność chodzi? Bartłomiej Zimoch: – Obecna patologia systemu polega na tym, że dysponenci za pieniądze przeznaczone na ratownictwo medyczne (a więc działalność wyjazdowych zespołów ratownictwa medycznego, lotniczego pogotowia ratunkowego i szpitalnych oddziałów ratunkowych) prowadzą też inne działalności. Przykładowo świadczą transporty sanitarne czy medyczne dla różnych podmiotów (np. POZ czy szpitali) albo robią obstawy medyczne rozmaitych imprez masowych. Na te usługi dysponenci mają osobne umowy z NFZ czy z podmiotami prywatnymi, ale w praktyce pieniądze lądują na jednym koncie. Dysponenci wychodzą z założenia, że mogą z nimi zrobić, co chcą.

Skutkiem świadczenia innych usług jest to, że ogromna większość podmiotów wykazuje dochody z działalności, co zdaniem prezesa SRMPZ jest jedną z głównych przyczyn braku podwyżek dla ratowników. – Bilans takiej działalności powinien być zerowy, a podmioty powinny się rozliczyć z każdej wydanej złotówki. Tymczasem niektóre zarobione przez nich kwoty budzą wręcz podziw

Jednym z postulatów ratowników medycznych jest więc zapis w ustawie, który gwarantowałby wzrost płac proporcjonalny do wzrostu nakładów na państwowe ratownictwo medyczne, wynoszący co najmniej 65% kwoty za dobokaretkę.

Ratowniczka, z którą rozmawiam, do postulatów ratowników medycznych dorzuciłaby jeszcze zmiany zasad pracy lekarzy rodzinnych: – Większość odpowiedzialności za pacjentów przerzucili na państwowe ratownictwo medyczne. Kilka razy dziennie słyszymy od leżących, starszych osób, że lekarz rodzinny ich nie przyjął albo że nie chciał do nich przyjść, choć taki ma obowiązek, a oni nie mają siły iść do gabinetu. Zdarza się też, że wypisują recepty, nie widząc pacjenta. Podczas pandemii, gdy przychodnie nie działały, wszystko spadło na nas. A przecież nie jesteśmy powołani do leczenia chorób przewlekłych, jesteśmy od stanów nagłych. W dodatku nie wolno nam o tym publicznie mówić. Gdy ktoś wystąpi w mediach, ma w pracy problemy. Od wielu lat walczymy o godną pracę i płacę, a dopiero teraz, gdy w Warszawie nie wyjechało na ulicę ponad 50% karetek i do kolizji na pl. Konstytucji musiano wezwać śmigłowiec, ktoś zwrócił na nas uwagę.

Anna Brzeska
a.brzeska@tygodnikprzeplad

Z Galicji



Jan Widacki

Wczasie debaty sejmowej na temat zatwierdzenia stanu wyjątkowego wzduż naszej wschodniej granicy najpierw przemówił pan premier, po nim głos zabrał pan minister spraw wewnętrznych.

Z obu tych przemówień wynikało, że Rzeczpospolita jest w najwyższym niebezpieczeństwie i tylko stan wyjątkowy w trzykilometrowym pasie przy wschodniej granicy może nas uratować. Mowa premiera bardziej była dramatyczna niż sławna mowa Becka w przededniu wybuchu wojny. Kto w tej sytuacji nie poprze rządu i jego stanu wyjątkowego, ten jest zdrajcą lub idiotą. U bram Rzeczypospolitej – zdaniem premiera – stoją uchodźcy w liczbie nieprzeliczalnej. Okazuje się, że Łukaszenka samolotami sprowadza ich z Azji i Afryki do Mińska i stamtąd ekspediuje na naszą granicę. Pomijając wszystko inne, wychodzi na to, że mało dotąd znane białoruskie linie lotnicze Belavia

wprowadzając teraz stan wyjątkowy przy białoruskiej granicy, uratowała niepodległość Polski, podskoczą. Tyle że na krótko. Za kilka dni manewry Zapad-21 się skończą, tak jak wszystkie poprzednie, odbywane przecież cyklicznie. Zakończy się budowa drucianego wału Adriana. Nawet „ciemny lud”, adresat propagandy Jacka Kurskiego, po namyśle dojdzie chyba do wniosku, że to nie przez ten stan wyjątkowy w trzykilometrowym pasie wraże czołgi zawróciły, a cała operacja polegała tylko na usunięciu dziennikarzy i działaczy organizacji humanitarnych z terenu działań Straży Granicznej, policji i wojska. Ukrycie tych działań przed opinią publiczną zdaje się jedynym celem wprowadzania stanu wyjątkowego. Ale jeśli coś się ukrywa, to znaczy, że nie ma czym się chwalić.

Nie wiemy, co z nieszczęśnikami uwięzionymi na granicy. O pomoc humanitarną dla nich oprócz wielu organizacji pozarządowych apelowali duchowni różnych wyznań. Niestety, brakło

Atak odparty!

są wśród światowych przewoźników jakąś niesłychaną potęgą, której samoloty nie mogą wprawdzie lądować na lotniskach krajów należących do Unii Europejskiej, ale gotowe są wziąć na pokład tysiące, jeśli nie miliony nielegalnych imigrantów. Mało tego, za parę dni mają się rozpocząć na Białorusi manewry Zapad-21! Czy już to nie brzmi złowrogo? O poziomie wystąpienia Morawieckiego najlepiej świadczy to, że z ław zerwał się sam Antoni Macierewicz, rękę schodzącemu z mównicy premierowi ścisnął i mowy gratulował. Zaiste tym przemówieniem Morawiecki Macierewiczowi dorównał.

Pan minister od wszelkich policji przemowę miał jeszcze bardziej dramatyczną, miejscami nawet nieco histeryczną. Zagrożenie zewnętrzne akcentował jeszcze mocniej niż premier. Patriotyzm też jako bezwzględne poparcie dla ratującego Ojczyznę stanu wyjątkowego definiował. Bez stanu wyjątkowego wokół Krynek i Włodawy niepodległość Polski zostanie utracona. Można było nabrać przekonania, że czołgi ruskie i białoruskie zbliżają się do przedmieść warszawskiej Pragi.

Nieobecność prezydenta w Sejmie, w którym los Rzeczypospolitej się ważył, niektórzy pewnie tak sobie tłumaczyli, że razem z żoną Agatą rowy przeciwczołgowe na przedpolu Warszawy już kopie. Niektórzy jednak pamiętali, że jeszcze całkiem niedawno, gdy wraże czołgi już zapewne szły, prezydent dobrze się bawił na stadionie, kibicując polskim piłkarzom. Wywołać to musiało u niektórych niejaki dysonans poznawczy. Ale elektorat PiS wszystko potrafi sobie racjonalizować. Zapewne swą obecnością na stadionie chciał prezydent wrogom pokazać, że się ich nie boi...

Na tle dramatycznych wystąpień premiera, ministra i przedstawiciela PiS wystąpienia posłów opozycji, którzy chcieli być merytoryczni, wypadły słabo. Co z tego, że nie ma konstytucyjnych przesłanek wprowadzenia stanu wyjątkowego, gdy byt ojczyzny zagrożony?

Naród został przestraszony. Efekt propagandowy osiągnięto. Słupki poparcia dla PiS, jedynej siły patriotycznej, która,

wśród nich hierarchów Kościoła katolickiego. Słowa „Byłem głodny, a daliście mi jeść, byłem spragniony, a daliście mi pić, byłem przybyszem, a przyjęliście mnie” jakoś naszym biskupom się nie kojarzą. A to słowa Chrystusa, nie Mahometa. Nic dziwnego, że pojawił się mem z zasiekami z drutu kolczastego i podpisem: „Jakie chrześcijaństwo, takie przedmurze”.

Oczywiście problem z uchodźcami i grającym nimi Łukaszenką jest poważny. Mamy do czynienia z nową jakością, do której nie przystaje dotychczasowe prawo ani europejskie, ani polskie. Coś z tym trzeba zrobić. Przede wszystkim trzeba się porozumieć na poziomie UE i z sąsiadami, którzy mają identyczny problem z Łukaszenką. A może trzeba było postawić problem na forum NATO? Wezwać misję Międzynarodowego Czerwonego Krzyża? Zdecydowanie trzeba było problem umiędzynarodowić. Konflikt na granicy nie wyklucza jednak ani pomocy humanitarnej, ani obecności na miejscu dziennikarzy. Nawet w strefie frontowej działają Czerwony Krzyż i reporterzy wojenni.

Tymczasem ze strefy objętej stanem wyjątkowym usunięto dziennikarzy i organizacje humanitarne. Wygląda na to, że chciano coś ukryć przed polską i międzynarodową opinią publiczną, a nie rozwiązać problem nielegalnej migracji. A co, jeśli na czas stanu wyjątkowego Łukaszenka zaprzestanie przerzutu imigrantów, a wznowi operację zaraz po jego zakończeniu? Zostanie wprowadzony kolejny stan wyjątkowy? Brak pomysłu, jak z tego wybrnąć, i zupełna izolacja Polski w Europie powodują, że problem pozostanie. Społeczeństwo przestraszyć łatwo. Ale trzymać przestraszone długo się nie da. Zagrożenia i ostrzeżanie przed nimi są stopniowalne. Nie wiem, co mógłby jeszcze powiedzieć premier, gdyby obce czołgi rzeczywiście szły na Warszawę. Za jakiś czas lęk minie. Inflacja i problemy społeczne nie tylko pozostaną, ale wszystko wskazuje, że jeszcze się nasilą. Słupki poparcia dla PiS, które na chwilę wzrosły, opadną. Mam nadzieję, że nieodwracalnie.

j.widacki@tygodnikprzeglad.pl

Pandemia obnażyła, jak bardzo nie ufamy rządowi, politykom, ale też lekarzom

Zaczynamy dramatycznie odstawać od wskaźników wyszczepialności w innych krajach Unii

Rozmawia Marcin Ogdowski

Pamiętam początek pandemii i zaskoczenie, które temu towarzyszyło. Tymczasem w książce stawiacie tezę, że COVID-19 nie był „czarnym łabędziem” – pojawiającym się nagle zjawiskiem. Czy naprawdę dało się go przewidzieć?

– Wirusolodzy już od jakiegoś czasu mówili o zagrożeniu. W wielu artykułach naukowych sprzed 2019 r. wskazywano bardzo duże ryzyko wybuchu pandemii na mokrym targu w Chinach.

Targu, gdzie trzymane, zabijane i sprzedawane są zwierzęta, często dzikie, uważane za przysmaki w Azji Południowo-Wschodniej.

– Zgadza się. Były także przepowiednie Billa Gatesa, który ostrzegał, że świat powinien się przygotować na kolejną pandemię. Mieliśmy zatem ekspercką wiedzę i kanały komunikacyjne, którymi trafiała ona do szerszych kręgów odbiorców. Mieliśmy też, mamy, nowoczesny w sensie socjologicznym świat, tak skonstruowany, że wręcz sprzyja on rozwojowi pandemii.

Na przykład ze względu na dużą mobilność społeczną.

– Ale również inne skutki globalizacji, takie jak przeobrażenia przyrody, jej dewastacje. No i nie zapominajmy, że pandemia i epidemie przetaczają się przez świat regularnie. Wraz z covidem równolegle w Afryce wybuchła epidemia eboli. **Hiszpankę rozwelekli po świecie wracający z frontów I wojny światowej żołnierze. Kiedyś, gdy żyliśmy w małych, zamkniętych strukturach, pandemia nam nie dokuczała.**

– Historycznie, czy prehistorycznie, rzecz ujmując – nie dokuczała. Lecz proszę pamiętać, że pandemia i epidemia to wyłącznie nazwy

sposobu rozprzestrzeniania się chorób zakaźnych. Te zaś występowały, tyle że były ograniczone do jakiegoś obszaru. W związku z czym szybko znikwały. Choroba – jej wirusy czy bakterie – nie przetrwa bez żywicieli. Im mniejsza ich pula, tym szybciej kończy się epidemia. Na przykład odra potrzebuje 3 tys. żywicieli rocznie, co oznacza, że populacja, w której się rozwija, musi liczyć 300 tys. osób. **Sporo. Społeczności pierwotne lokowały się znacznie poniżej tego pułapu.**

– Model epidemiczny wyłonił się wraz z osiadłym trybem życia. Przejście od wspólnot zbieracko-łowieckich do rolniczych wiązało się ze współzależnymi procesami – wzrostem liczby ludności i udomowieniem zwierząt hodowlanych. W kontekście chorób istotne są dwa czynniki – nie dość, że było nas więcej, to jeszcze za sprawą regularnego

powstawały systemy kanalizacyjne, ogólnodostępne szpitale itp. Nasielenie tych procesów nastąpiło wraz z uprzemysłowieniem, kiedy życie obywateli stało się rodzajem kapitału. Dla dobra produkcji ów kapitał winien żyć dostatecznie długo i w dobrej kondycji. To w takich okolicznościach tworzyły się załączki dzisiejszych powszechnych systemów ochrony zdrowia.

Wróćmy do covidu. Nasze początkowe przerażenie, które z czasem zmieniło się w obojętność, też dało się przewidzieć?

– Kiedy zagrożenie jest nowe, bardziej rezonuje. A na początku dyskutowaliśmy o czymś nieznanym. Potem zaś pojawiły się dramatyczne doniesienia z Włoch, które uświadomiły nam, że mamy do czynienia ze zjawiskiem bardzo niebezpiecznym. Reakcja była silna, łącznie z *panic buying*, czyli wykupywaniem

Za sprawą regularnego kontaktu ze zwierzętami staliśmy się podatni na ich wirusy.

kontaktu ze zwierzętami staliśmy się podatni na ich wirusy. Większość chorób zakaźnych ma odzwierciedlającą etiologię.

Choroby przyczyniły się do zmiany struktur społecznych.

– Wciąż się przyczyniają. To po pandemii hiszpanki powstał załączek przyszłej Światowej Organizacji Zdrowia, a w wielu krajach powołano ministerstwa zdrowia. Ale świadomość ryzyka, jakie niosą ze sobą stłoczenie i choroby zakaźne, pojawiła się wcześniej. A już w XVIII w. kwestia zdrowia populacyjnego odgrywała bardzo ważną rolę i wymusiła np. zmiany architektoniczne. Zaczęto przebudowywać miasta, by były bardziej przewiewne,

towarów ze sklepów. Z niezwykłą jak na polskie warunki dyscypliną zaakceptowaliśmy *lockdown*. Fakt, że szybko się zamknęliśmy, wpłynął na dalszy bieg wydarzeń. Diabeł nie okazał się taki straszny, no a później przyszły wakacje. W międzyczasie oswoiliśmy się z zagrożeniem i do głosu doszły inne czynniki. Gdy podczas jesiennej fali przeprowadzałem z kolegami badania na potrzeby książki, wyszło nam, że większość Polaków nie wierzy w oficjalne statystyki i uważa je za wyolbrzymione. **Z czego to wynika?**

– Pandemia obnażyła naszą nieufność do państwa i jego instytucji. I to na różnych poziomach – nie ufamy rządowi, politykom, ale nie wierzymy



DR HAB. MICHAŁ WRÓBLEWSKI

– socjolog i filozof, profesor Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Pracownik naukowy Łukasiewicz-Centrum Oceny Technologii. Zajmuje się m.in. socjologią medycyny; obecnie prowadzi projekt ewaluacji programu szczepień przeciw COVID-19. Wraz z dr. hab. Łukaszem Afeltowiczem wydał książkę „Socjologia epidemii. Wyłaniające się choroby zakaźne w perspektywie nauk społecznych”.

też lekarzom. 61% badanych zadeklarowało, że najbardziej w kwestiach zdrowia ufa rodzinie, a jedynie 29%, że medykom. Najprostsze wytłumaczenie każe widzieć w tym skutki dobrej kondycji zabobonu i naszego zamknięcia na oświeconą, ekspercką wiedzę. Być może tak jest, ale tylko do pewnego stopnia. Istotniejsze moim zdaniem są negatywne doświadczenia, które jako społeczeństwo mamy z systemem ochrony zdrowia. I które pandemia nasiliła. Teraz jeszcze lepiej widzimy, że ów system nie działa, a to sprzyja nieufności. Wpadki z raportowaniem – te znikające i pojawiające się zgony – tylko pogłębiły problem. A dodajmy do tego niespójną komunikację... „...**odwoływanie” pandemii, potem straszenie jej skutkami.**

– Niedotrzymywanie zasad przez rząd, który ustala kryteria narodowej kwarantanny, a później nonszalantko je ignoruje. Mówienie o szczepieniach jako o ostatniej prostej, gdy wiadomo, że to wcale nie jest

ostatnia prosta. Takich zgrzytów komunikacyjnych było mnóstwo, ba, wciąż dochodzą kolejne.

Jak choćby triumfalizm widoczny w telewizji publicznej. Czy władze mają powód do zadowolenia, bo „wzorcowo walczą z pandemią”?

– Absolutnie nie.

A na tle innych państw?

– Wyjdę ze skóry socjologa i odpowiem jako z troskany obywatel – państwo polskie zawiodło w walce z pandemią. Mniej więcej do jesieni zeszłego roku nieźle sobie radziliśmy. Metody były toporne, ale skuteczne. Lecz już wówczas niewystarczające, bo nie wykorzystaliśmy czasu między wiosenną mikrofalą zachorowań a jesiennym dramatem. Widać to najlepiej na przykładzie sanepidu.

Na barki instytucji, która dotąd zajmowała się badaniem jakości oleju do smażenia frytek, złożono zarządzanie pandemią w całym kraju.

– Co gorsza, sanepidu, mimo kilku miesięcy oddechu, kompletnie do tej roli nie przygotowano. Na przykład

nie zbudowano tracingu – systemu do śledzenia kontaktów społecznych osób zakażonych – niezwykle ważnego w sprawnym zarządzaniu pandemią.

W wymiarze prawnym owo zarządzanie odbywało się za pomocą rozporządzeń.

– A rozporządzenia nie dają możliwości egzekwowania wszystkich obustrzeń. Sądy masowo uchylały kary administracyjne dla przedsiębiorców, którzy otwierali swoje firmy, a świadomości bezkarności obywatele nie nosili maseczek. Państwo – cytując prezesa Kaczyńskiego – w pełni objawiło swój imposybilizm.

Nadal go objawia w kwestii szczepień.

– Program okazał się dobrze przygotowany logistycznie. Nie było większych problemów do momentu, gdy wyszczepiliśmy wszystkich chętnych. Ale od kilku tygodni zaczynamy dramatycznie odstawać od wskaźników wyszczepialności w innych krajach Unii. Rząd tymczasem się miotą, unika rozwiązań, które wprowadzili Francuzi, Włosi, a ostatnio Niemcy.

Zasada kija i marchewki.

– Nie jestem zwolennikiem przymusu szczepień covidowych. Nie dlatego, że mamy problem z naturą szczepionek, tylko uważam, że to zrodziłoby jeszcze większy opór nieprzekonanych. Natomiast model francuski, gdzie certyfikat szczepienia umożliwia wstęp do teatru, kina, restauracji itd., jest w mojej ocenie bardzo dobry. Właśnie tą drogą powinniśmy iść.

Lejąc wodę na młyn zwolenników teorii spiskowych, którzy w powszechnej immunizacji widzą same zagrożenia.

– Teorie spiskowe pojawiały się przy każdej większej epidemii. Przy okazji dżumy mówiło się o spisku żydowskim, zawiązanym w Toledo. Generalnie idee antysemityczne często łączą się z teoriami spiskowymi, choroby zakaźne są jednym z przykładów takiego związku. Patrząc z socjologicznego punktu widzenia, teorie spiskowe są jak mity. To opowieści, które mają wyjaśnić coś, co jest nieuchwytnie, trudne do zrozumienia, a zarazem ważne dla danej społeczności. Przy czym ktoś, kto

► wierzy w teorie spiskowe, nie musi być głupi. Współcześnie mamy do czynienia z czymś, co socjologia nazywa „kulturą konwergencji”. Upraszczając, to sytuacja, w której za jakąś wizję stoi nie pojedynczy tekst, ale treści rozproszone w różnych mediach. Mogą to być blogi, memy, filmy na YouTube, cokolwiek – innymi słowy cały konglomerat treści, na zgłębianie którego trzeba czasu i nie małych kompetencji poznawczych.

Duża część obozu władzy jest, delikatnie mówiąc, naukowo-sceptyczna.

– Wróć na chwilę do Smoleńska i do zastosowanej wówczas techniki legitymizacji teorii zamachu za pomocą dyskursu pseudoeksperskiego. Gdy większość ekspertów mówiła o wypadku komunikacyjnym, druga strona sięgnęła po „swoich” fachowców – profesorów, doktorów, inżynierów. Outsiderów, ale z formalnymi

– Zmiany neoliberalne miały u nas poważny wymiar świadomościowy. Przyzwyczailiśmy się do tego, że nie możemy wymagać za wiele od państwa, że musimy dbać o siebie sami. Pochodną neoliberalnych zmian była polityka oszczędności i zaciskania pasa, co przełożyło się na wymiar instytucjonalny. Doszło do procesu „zwijania się” ochrony zdrowia i narzucenia jej rynkowych ram. Dla mnie mówienie, że szpital ma zarabiać, to kuriozum. Wiele analiz pokazuje, że neoliberalne zarządzanie instytucjami publicznymi nie działa, prowadzi do degradacji różnego rodzaju usług – i z tym właśnie mieliśmy do czynienia po 1989 r. I do takiego świata się przyzwyczailiśmy. **Czy można zaryzykować stwierdzenie, że gdyby nie nasz eksperyment neoliberalny, poradziłibyśmy sobie lepiej z pandemią?**

– Gdybyśmy nie myśleli o instytucjach publicznych w kategoriach rynkowych, to one moim zdaniem funkcjonowałyby lepiej. Co nam mówi wskaźnik dodatkowych zgonów? Ano to, że infrastruktura – szpitalna, medyczna, ratownicza – w pewnym momencie przestała dobrze funkcjonować. Wyszły lata zaniedbań, braku inwestycji, odwrócenia się państwa od podstawowych potrzeb obywateli.

Pandemia nasiliła negatywne doświadczenia, które jako społeczeństwo mamy z systemem ochrony zdrowia.

Mnogość nośników i źródeł sprzyja przekonaniu, że to zweryfikowana, pełnoprawna wiedza.

Od 2014 r. rośnie w nas skłonność do myślenia spiskowego. Co gorsza, na tle innych narodów europejskich wypadamy znacznie gorzej.

– Dlatego działają u nas prężnie ruchy antyszczepionkowe – co jest zarazem przyczyną (jedną z wielu) i skutkiem tej podatności.

**We Włoszech również działają, tak-
że we Francji i w Niemczech.**

– Ale tylko w Polsce, może jeszcze we Włoszech, są silnie obecne w mediach mainstreamowych i mają przełożenie na świat polityki, czego przykładem Grzegorz Braun. Skutkuje to dużym wpływem na debatę publiczną, większym niż w innych krajach UE. Nie zapominajmy poza tym, że teorie spiskowe są narzędziem wojny informacyjnej. Polska zaś, z uwagi na położenie, jest bardziej narażona na ataki. Dość wspomnieć, że szkodliwa w skutkach debata na temat szczepionki firmy AstraZeneca była mocno sterowana z rosyjskich kont w mediach społecznościowych.

Czy wzrost podatności na teorie spiskowe może mieć związek ze Smoleńskiem? Brednie Macierewicza płynęły mainstreamem na tyle często, że część Polaków w nie uwierzyła, a większość zaakceptowała teorie spiskowe jako element „normalności”.

– Rzeczywiście Smoleńsk był próbą legitymizacji myślenia spiskowego w celach politycznych. Trudno powiedzieć, na ile jest to trwała zmiana, bo proszę zwrócić uwagę, że o „zamachu” teraz już się nie mówi.

tytułami, co miało uprawdopodobnić ich twierdzenia. Zaryzykuję tezę, że Smoleńsk mógł podważyć w oczach niektórych wiarygodność nauki jako takiej. Być może przyczynił się do tego, że niektórzy dziś z łatwością podważają tezy najwybitniejszych specjalistów. Czy to samo robi rząd? Nie mówimy o monolicii, nie chcę więc uogólniać. Osoby bezpośrednio odpowiedzialne za zarządzanie pandemią z pewnością nie wykazują sceptycyzmu wobec nauki. Natomiast prawdą jest, że mamy w Polsce polityków – z prezydentem na czele – którzy taką postawę ujawniają.

Model francuski, gdzie certyfikat szczepienia umożliwia wstęp do teatru, kina, restauracji itd., jest bardzo dobry.

Formalnie to głowa państwa...

– I symboliczne implikacje są bardzo poważne. Niezależnie od tego, czy jest to wyraz głębokiego przekonania, czy gra pod publiczność, skutki są realne. Politycy kształtują dyskurs publiczny w o wiele większym stopniu niż zwykli ludzie.

Źle zarządzają pandemią, w związku z czym mamy największą liczbę dodatkowych zgonów w Europie.

A mimo to słupki poparcia radykalnie się nie zmieniają, ludzie nie wychodzą na ulice w proteście przeciwko dyktantom z rządu. Co się dzieje?

– Moim zdaniem ma to związek z naszym myśleniem o państwie. Zdjęliśmy z niego masę obowiązków, w kontekście pandemii nie mamy wielkich oczekiwań.

Pokłosie 30 lat wychowania do neoliberalizmu.

Może obywatele by się otrząsnęli, gdyby zgonów było więcej?

– Trudno wyznaczyć jakąś cienką czerwoną linię, zwłaszcza że mieliśmy w najnowszej historii bardziej śmiertelne pandemie.

COVID-19 pojawił się, kiedy nam – na Zachodzie – wydawało się, że już pokonaliśmy choroby zakaźne.

– Tymczasem duża część globu wciąż zmaga się z gruźlicą, malarią, dezynterią; rocznie umierają z tego powodu miliony ludzi. Ale faktycznie, w naszej chacie z kraju niewiele się dzieje, może więc covid rzeczywistości stanie się doświadczeniem pokoleniowym. A może przyćmią go kolejne pandemie, którym będzie sprzyjać ocieplenie klimatu?

Marcin Ogowski
m.ogdowski@tygodnikprzeglad.pl



Refleksje pesymisty

Andrzej Romanowski

Tryptyk o sensie III. Pokolenie

Powiedzmy teraz o pokoleniu: o generacji piszącego te słowa. Od razu trzeba przyznać: problem to nieporównywalny z ukazywanymi tu ostatnio zagadnieniami Polski i Kościoła. Lecz przecież, pytając o sens jednego pokolenia, pytamy o sens wszystkich ludzi żyjących w pisowskiej Polsce.

Piszący te słowa ma swoje lata. Dla niego, na początku jego życia, wokoło kwitł stalinizm. W Krakowie istniała ulica Józefa Stalina (obecnie Westerplatte), w radiu pojawiały się słowa „Tu Stalinogród” (Katowice). Potem przyszedł Październik 1956 r.: rodzice godzinami słuchający radia, głos Władysława Gomułki, głuche wieści o losie Węgier. Tymczasem nieustannie żyła pamięć o dopiero co minionej wojnie, raz po raz słyszało się o śmierci lub kalectwie w wyniku eksplozji niewypału. I widziało się ruiny Warszawy.

Takie było moje najwcześniejsze dzieciństwo. Potem była szkoła. Szkoła popaździernikowa. I bardzo patriotyczna. Do dziś pamiętam całe zdania z podręcznika Anny Klubówny i Jadwigi Stępińskiej przeznaczonego do nauki historii w IV klasie. Na przykład takie: „Wiecie już, jak źle było Polakom pod zaborem rosyjskim. Pod zaborem pruskim też nie było lepiej”. Ta atmosfera patriotyczna (co wszakże znaczyło też: antyniemiecka) trwała również w liceum. Oczywiście zawsze istniały rytuały: obchody 1 Maja czy kolejnej rocznicy Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej. Jednak w pracowni historycznej, urządzonej w moim krakowskim liceum przez prof. Bogusława Pendzeja, widniał rząd portretów polskich prezydentów: zaczynał się od Gabriela Narutowicza, kończył na Władysławie Raczkiewiczu.

Przeżycie pokoleniowe ofiarował nam rok 1968. Czyli najpierw rewolta studencka w marcu, potem zajęcie Czechosłowacji w sierpniu. To odbierało złudzenia. A potem nastał grudzień 1970 r. On odebrał złudzenia do końca. Ale zaraz potem zaczął się „wczesny Gierek”: luksusowe towary w sklepach, wyjazdy na dowód osobisty do NRD bądź z promesą dolarową na Zachód. Przez kilka lat moje pokolenie sobie poużywało. Lecz wkrótce nadszedł kryzys, pojawiło się przekonanie o bezwzględności sytuacji, uczucie beznadziei. I w tym momencie powstała Solidarność.

Było to drugie przeżycie pokoleniowe. Piętnastomiesięczny „karnawał Solidarności” uświadomił, że dotąd żyliśmy w kłamstwie. Zaczęliśmy poznawać: Polskę, Europę, samych siebie. Potem stan wojenny wtrącił nas

w życie podziemne – niby wzorem rodziców i dziadów, choć nie na skalę tamtych represji (takich porównań staramy się jednak unikać). Lata 80. to były „nasze uniwersytety”. Nasze – i naszych uczniów, kształconych nie tylko w szkołach, lecz i nieoficjalnie – w salkach katechetycznych. Aż przyszedł rok 1989: Okrągły Stół, półwolne wybory, rząd Tadeusza Mazowieckiego... I oto okazało się, że mamy swoje państwo: Trzecią Rzeczpospolitą. Państwo odzyskane. Miałem 38 lat, lecz nie mogłem uwierzyć, że czegoś takiego dożyję.

Od początku było jasne: jest to najlepsze państwo w polskich dziejach. Zbudowane na fundamencie antykomunizmu, lecz zrodzone z politycznego kompromisu. Powstałe nie w wyniku wojny czy rewolucji, lecz na drodze pokojowej. Państwo dla wszystkich – choćby tylko w założeniu. Traktaty o dobrych stosunkach z Niemcami i Rosją unicestwiały przekleństwo geopolityki. Podobne traktaty z Ukrainą, Białorusią i Litwą kończyły okres targów o granice. Idea Trójkąta Weimarskiego wprowadzała Polskę (pierwszy raz na tę skalę, choć szlakiem cesarza

Ottona III) w samo centrum karolińskiej Europy. Polska stała się zwornikiem jedności europejskiej – właśnie dlatego, że leżała w środku kontynentu, że spotykały się

w niej Zachód ze Wschodem. Przyjęto nas nie tylko do NATO, ale przede wszystkim do świeżo powstałej Unii Europejskiej. Pojawiło się więc – w miejsce przekleństwa – nieznane od stuleci błogosławieństwo geopolityki.

Tak oto moje pokolenie, urodzone w czasach Stalinu, było najpierw świadkiem stopniowego wybijania się narodu na niepodległość, a potem uczestnikiem – coraz bardziej czynnym – tych procesów. Nie wiem, czy mógłbym powiedzieć, jak niegdyś Maurycy Mochnacki: „Polska potężna i niepodległa była jedynym romansem mojej młodości”, lecz wielu mych rówieśników mogłoby tak rzec na pewno.

Dlatego to, co z Polską zrobiono obecnie, moje pokolenie musi przyjmować nie tylko jako katastrofę narodu, lecz także jako dramat osobisty, klęskę generacji. Pozostaje pociecha, że było nam dane mieć Polskę przez ćwierć wieku – to przecież sporo, dłużej, niż istniała II RP... To wszakże nie zmienia faktu, że jak witaliśmy nasze państwo w roku 1989, tak utraciliśmy je w roku 2015. Życiu mojego pokolenia sens odebrało PiS. Czyli tym razem nie zaborcy, lecz rodacy.

**Życiu mojego pokolenia sens odebrało PiS.
Czyli tym razem nie zaborcy, lecz rodacy.**

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl



By granie nie stało się nałogiem

Gry komputerowe nie są samym złem. Są jedynie narzędziem, które może być używane dobrze lub źle. Jak nóż

Beata Igielska

Uczeń podstawówki w Głogowie w pierwszych dniach roku szkolnego pobił nauczycielkę w czasie lekcji. Wymierzył jej kopniaka, wałnął ją książką i uderzył w twarz. Jedną z grup facebookowych, skupiającą nauczycieli, link z informacją o tym wydarzeniu opatrzyła komentarzem sugerującym uzależnienie od gier: „(...) nikt nie potrafi powiedzieć, ilu uczniów w długim okresie izolacji uzależniło się w wysokim stopniu od gier komputerowych i mediów społecznościowych. Nawet pobieżne obserwacje wskazują, że to jest powszechny problem, który dotyka wiele domów. Ci ciężko uzależnieni nastolatki z wielkim trudem będą wracali teraz do stacjonarnej nauki, w normalne szkolne tryby. Brak koncentracji, rozchwianie emocjonalne, a nawet nieuzasadnione ataki agresji

to coś, z czym się trzeba poważnie liczyć w każdej szkolnej klasie”. To spore nadużycie. Nie wiemy, czy chłopak nie był pod wpływem jakiegoś środka odurzającego, nie wiemy, co naprawdę w tej szkole zaszło.

Media koncentrują się niemal wyłącznie na mrocznej stronie gamingu. Mrok łatwo zapamiętać.

2009 r. – małżeństwo z Korei Południowej, grając zapamiętało w internetowej grze „Prius Online”, w której trzeba było zajmować się wirtualnym dzieckiem, zagłodziło trzymiesięczną córeczkę. Niemowlę zmarło z niedożywienia i odwodnienia, bo było karmione raz na 12 godzin, kiedy kafejka internetowa, w której rodzice grali, była zamknięta.

2017 r. – głośno się zrobiło o „Niebieskim wielorybie”, ponoć zabójczej grze, która okazała się legendą miejską, uprzednio doczekawszy się nawet ostrzegającego przed nią listu MEN. Zaczęło się w Rosji, gdzie

ok. 200 nastolatków miało z powodu udziału w niej popełnić samobójstwo. Najprawdopodobniej fejk wyrósł z potrzeby zatuszowania samobójstw młodych ludzi w pewnym regionie Rosji. Ofiary, przede wszystkim pogubiona emocjonalnie młodzież, miały być doprowadzane stopniowo przez 50 dni do samobójstwa przez sprawujących nad nimi kontrolę online opiekunów, zwanych wielorybami. By dołączyć do śmiertelnej zabawy, konieczne było znalezienie swojego instruktora – np. poprzez określone hashtagi – i narysowanie (lub wycięcie) ssaka na ręce. Komunikacja odbywała się ponoć regularnie wcześniej rano, np. około godz. 4. Młodzi mieli być zmęczeni, odbywać dotujące rozmowy i słuchać próśb o samookaleczenie. Nastolatki musiały także słuchać smutnej muzyki, siedzieć na skraju dachu i oglądać depresyjne obrazki. Nie trzeba było długo czekać, by rzeczywiście

młody Ukrainiec, mający tak wyczerpujące instrukcje, stworzył grę, w której namawiał dzieci do samookaleczeń i samobójstwa. Jedną z jego ofiar miała ciało pocięte żyłką. Ukrainca zatrzymano.

2006 r. – wrocławski gimnazjalista pobił matkę krzesłem, bo wyłączyła mu komputer i przerwała grę internetową, „Tibię”. Już raz z tego powodu nie zdał do następnej klasy i ponownie był zagrożony brakiem promocji. Grał kilkanaście godzin na dobę. Najpierw w kafejce internetowej. Wracał po północy. Bezrobotna matka kupiła

odsetek może się uzależnić, a w efekcie doświadczyć problemów psychicznych, społecznych i behawioralnych. Główna autorka publikacji, prof. Sarah Coyne z Uniwersytetu Brigham Younga (USA), pisze, że aby zaobserwować wpływ grania na psychikę człowieka, badacze śledzili przebieg relacji z grami wideo u 385 uczestników przez sześć lat: od wczesnej młodości do dorosłości. Za granie patologiczne uznano sytuację, w której człowiek większość swojego czasu spędza na graniu, ma trudności z oderwaniem się od gier,

rytm serca, impulsywność. Często w tych sytuacjach pojawia się agresja słowna lub fizyczna, a jednak nikt nie twierdzi, że gra w piłkę nożną powoduje agresję.

– Ludzie niepotrzebnie doszukują się w graniu zmian zachowań wykraczających poza wirtualne środowisko. Wyjątkiem od tej reguły jest interfejs gry, czyli narzędzia takie jak joysticki także pady, mysz czy klawiatura. Gry komputerowe są bardzo wymagające, jeśli chodzi o tempo i sprawność korzystania z nich. Efektem grania jest więc podnoszenie sprawności manualnej, która przyda się wszędzie tam, gdzie np. w naszej pracy wykorzystujemy podobny interfejs. Badania dowiodły np., że chirurdzy laparoskopowi, którzy świetnie operują joystickiem w grach, mają bardziej precyzyjne ruchy w czasie wykonywania operacji – wylicza Skorko. – Zasadniczo zmiany zachodzące w mózgu gracza odnoszą się wyłącznie do gry i są nakierowane na poprawianie sprawności jej obsługi. Jest niewielkie prawdopodobieństwo, że nagle komuś poza grą poprawi się pamięć czy koncentracja. Mózg jako najbardziej energochłonny organ rozwija się tylko w tych kierunkach, które narzucają mu wymagania wykonywanych zadań. Jeśli w grze świetnie zapamiętuję układ przestrzeni, nie sprawi to, że będę go zapamiętywał poza grą – tłumaczy badacz.

Rodzaj gier, które wybieramy, obciąża nasze predyspozycje umysłowe, np. obliczanie w pamięci, refleks. W przyszłości analizy tego, w co i jak gramy, mogą pomagać przy podejmowaniu decyzji co do ścieżki rozwoju zawodowego, jednak fakt grania

Aż 90% graczy nie gra w sposób szkodliwy ani wywołujący długoterminowe negatywne konsekwencje.

komputer, by mieć na chłopaka oko. Gdy przestał wychodzić z pokoju i nie jadł, odłączyła komputer od prądu. Wtedy syn ją zaatakował. Szok? Nie do końca. To reakcja typowa przy każdym uzależnieniu – odcinasz radykalnie środek uzależniający, wywołujesz napięcie i agresję, wyzwalasz furję w uzależnionym, nieważne, czy od gier, czy alkoholu bądź papierosów. To mechanizm znany każdemu psychologowi. Podobnie jak każdemu z nich znany jest sposób wielu rodziców na to, by mieć dzieci z głowy – wciskanie im w dłoń już od niemowlęctwa tabletu lub telefonu.

Chiny będą limitować czas graczom, a w przeszłości posunęły się nawet do rażenia prądem ich palców, ilekroć próbowali dotknąć klawiatury komputera. Odwyk to obóz, często odbywa się w obiektach wojskowych. Dzieci i młodzież chodzą w mundurach, gazety donoszą o śmierci wielu „leczonych”. Skrajnie różne jest to azjatyckie podejście od europejskiego, które jednak zdaje się uwzględniać fakt, że czarna mitologia ma niewiele wspólnego z doniesieniami naukowymi.

A to choćby sześćioletnie badanie dotyczące uzależnienia od gier wideo, przełamujące stereotypy na temat jego siły i rozmiaru. Artykuł opublikowany w 2020 r. w „Developmental Psychology” dowodzi, że patologiczne granie wcale nie jest częstym zjawiskiem. Aż 90% graczy nie gra w sposób szkodliwy ani wywołujący długoterminowe negatywne konsekwencje. Jedynie niewielki

a jego funkcjonowanie jest z ich powodu zakłócone. 72% nastolatków wykazywało stosunkowo mało objawów uzależnienia przez cały okres zbierania danych, 18% na początku badania miało umiarkowane objawy, które przez ten czas nie zmieniły się, a tylko ok. 10% badanych grało „patologicznie”. W porównaniu do grupy „niepatologicznej” byli bardziej agresywni, skłonni do depresji, lęku społecznego, nieśmiałości i nadużywali telefonów komórkowych. Z badania wynika też jasno, że częściej od gier uzależniają się mężczyźni oraz osoby o niskim poziomie zachowań prospołecznych.

Rola rodzica

Maciej Skorko z Instytutu Psychologii PAN obala kolejny mit: nie ma dowodów naukowych na wzrost

Nie ma dowodów naukowych na wzrost agresji u graczy.

agresji u graczy. Badania dostarczające takich dowodów opierają się na mało przekonujących testach zachowań agresywnych. W publikacjach tego nurtu agresja graczy przejawia się w wybieraniu przeciwnikowi trudniejszych puzzli do ułożenia czy dodaniu dużej ilości sosu chili do napoju, którym poczęstowany będzie kolejny uczestnik. Dobrą analogią wpływu gier na zachowanie mogą być boiska piłkarskie. Toczona na nich rywalizacja, podobnie jak gry, powoduje ekscytację, podwyższony

jako taki nie przekłada się na sukces życiowy.

Sam Skorko dzięki grom nauczył się języków obcych, programowania, organizowania. Ale podkreśla, że wiele jest w rękach rodziców, którzy mogą mądrze wykorzystać gry jako narzędzie wspierające rozwój. Można grać wspólnie z dzieckiem i w ten sposób budować więź. Dziecko, grając, może też odkrywać swoje predyspozycje.

– Moją siedmioletnią córkę dzięki grom skłaniał do czytania ▶

► – pokazują jej przydatność tej umiejętności w czymś, na czym jej zależy. Naprawdę nie taki diabeł straszny. Gry nie są ani śmiertelnym zagrożeniem dla ludzkości, ani jej zbawieniem. Natomiast jeśli nastolatek mający problemy z koncentracją potrafi maksymalnie skupić uwagę przez półtorej godziny na grze, pokazuje to, że jego mózg jest zdolny do wykonywania takiej pracy. Musimy

pełnej subtelności grze w dyplomację nauczą się lepszych relacji w realnym życiu. Gry to tylko narzędzie, które może być użyte dobrze lub źle. Jak nóż. Dlatego dziecku trzeba je umiejętnie dozować. Dzięki grze „Colobot” 10-latek potrafi pisać dłuższe programy w języku Cbot. Umiejętnie dobrana, odpowiednio krótka gra może dobrze wpłynąć na dziecko. Uzależnienie od gier w dużej mierze

Bielecki, pedagog, dydaktyk, interesujący się rolą mechanizmów pracy mózgu w procesie edukacji.

Gracz, sięgając po swoją ulubioną zabawkę, grę, odczuwa przyjemność, euforię, ulgę, zaspokojenie. Na tym bazują wszelkie uzależnienia. Gry komputerowe są tak projektowane, że wyzwalają wyrzut dopaminy, mogą więc uzależniać – dopamina nie lubi przerywania przyjemności.

– Działa wyobraźnia, gracz może urzeczywistniać swoje scenariusze, stoi przed coraz to nowymi wyzwaniami, wchodzi na kolejne poziomy, zdobywa nagrody i otrzymuje bonusy, zawiera sojusze i we współpracy wykonuje zadania, pomnaża swoją potęgę i doskonali umiejętności. Gry sieciowe nieustannie gromadzą informacje o graczach, a oprogramowanie dostosowuje poziom trudności, aby utrzymać gracza przed ekranem poprzez odpowiednią stymulację wydzielania dopaminy. W czasie mocnego zaangażowania w grę występuje tzw. stan *flow*, odlot, całkowite pochłonięcie przez grę, wtedy obszary mózgu odpowiedzialne za odczuwanie JA, za refleksję, ulegają dezaktywacji. Natomiast bardzo aktywne są rejony postrzegania zmysłowego i działania – tłumaczy Bielecki.

Dzieci, młodzież i młodzi dorośli są dużo bardziej zagrożeni uzależnieniem od gier komputerowych, jak i od każdej innej sytuacji czy substancji, ponieważ ich ośrodkowy układ nerwowy nie osiągnął jeszcze 100% sprawności rozumianej jako zdolność do precyzyjnego i szybkiego współdziałania poszczególnych części mózgu. To, co się dzieje między

W przypadku gier niebezpieczne jest to, że w szkole status społeczny ucznia zależy od rodzaju gry, w którą gra.

nauczyć się wykorzystywać potencjał gier w rozwoju młodych ludzi, a nie zwalczać to zjawisko o globalnym zasięgu – podsumowuje Skorko.

Takie podejście naukowców cieszy Zytę Czechowską – pedagogkę specjalną, wykładowczynię akademicką, nagrodzoną tytułem Nauczyciela Roku 2019, która wirtualnie współtworzyła z Mikołajem Marcełłą poradnik „Jak nie zgubić dziecka w sieci?”. Pytana, czy pozwolić dziecku na gry komputerowe, odpowiada: nie zabraniać. Nie można wszystkich gier wrzucać do jednego worka. Kiedyś dzieci bawiły się klockami Lego, układały puzzle, potem przyszedł czas na gry komputerowe. Rozwijają, jeśli rodzice świadomie je kupią, wiedząc, jakie umiejętności intelektualne i poznawcze dziecko zdobędzie. „Minecraft” rozwija wyobraźnię, uczy rozwiązywania problemów, tworzenia strategii, logicznego myślenia. Gorzej, jeśli jest to strzelanka. Młodzi są tubylcami technologii internetowych, rodzice – nie, dlatego boją się, że gdy dziecko spędza tyle czasu w sieci, dzieje się coś bardzo złego, nawet jeśli ten czas spędza konstruktywnie. Rozwija się, rozmawia z kolegami. Dla młodych świat internetu jest oczywisty.

Podobne zdanie ma dr Łukasz Polowczyk, filozof i etyk. – Gry są różne: bezmyślne strzelanki, które jednak mogą rozwijać refleks i spostrzegawczość, są też absolutnie patologiczne, sadyistyczne koszmary – przed nimi należy strzec nawet dorosłych. Z drugiej strony gry uczą myślenia strategicznego, programowania, budowy maszyn, symulacji lotów, matematyki, a nawet pisania poezji oraz relacji społecznych. Introwertycy dzięki

zależy od kontekstu społecznego: jeśli dziecko ma patologiczną rodzinę bądź jest samotne czy odrzucone, łatwiej wejdzie w jakiegokolwiek uzależnienie – utrzymuje dr Polowczyk.

Badanie z 2018 r. (Tobias Greitemyer i współpracownicy) pokazuje, że jeśli ktoś ma skłonności sadyistyczne, będzie sięgał po brutalne gry. Z kolei badacze z uniwersytetu w Katalonii (2020) dowodzą, że jeśli dziecko gra w gry wideo, jego pamięć robocza może się poprawiać jeszcze lata później.

Zaakceptujmy

W gry komputerowe gra obecnie 3 mld ludzi rocznie, co roku przybywa 5% graczy. Możemy rozpaczć, że młodzi w nie grają. Albo możemy to zaakceptować i uczyć się mądrze je wykorzystywać. W przypadku gier niebezpieczne jest to, że w szkole status społeczny ucznia zależy od rodzaju gry, w którą gra.

Gry komputerowe są tak projektowane, że wyzwalają wyrzut dopaminy, mogą więc uzależniać.

– Uzależnienie od gier to uzależnienie behawioralne, gdzie przedmiotem uzależnienia są zachowania i działania akceptowane społecznie, a nie substancje chemiczne wprowadzane do organizmu. Ma cechy wspólne z wszelkimi innymi uzależnieniami, np. zainteresowanie graniem dominuje wszystkie inne czynności życiowe, obserwuje się zachowania przypominające zespół odstawienny, zmienia się nastrój, występują nawroty – wylicza Robert

5. a 25. rokiem życia, decyduje o zestawie kompetencji człowieka. Również tych pozwalających radzić sobie z uzależnieniem.

Choć wydaje się, że tak wiele dzieci może być uzależnionych, nauka mówi co innego. – Gry wideo są wspaiałym wynalazkiem – podkreśla prof. Sarah Coyne. – Ważne, aby używać ich w zdrowy sposób i pilnować, by granie nie przeszło w patologię.

Beata Igielska

b.igielska@tygodnikprzeglad.pl

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Hierarchia potrzeb, piramida fundamentalisty

Kiedy w latach 40. i 50. Abraham Maslow formułował swoją teorię hierarchii potrzeb, uznając, że aby zaspokajać potrzeby wyższego rzędu, należy wcześniej mieć zaspokojone te bardziej podstawowe, badał raczej jednostki – czy rozmawiał z nimi – niezwykle i powiedzielibyśmy wybitnie. Wikipedia przypomina choćby cztery takie postaci: Alberta Einsteina, Jane Addams, Eleanor Roosevelt i Fredericka Douglassa. Chyba nie mógłby sobie wyobrazić, że po kilkunastu latach pojawi się gdzieś na obrzeżach Europy katolicki fundamentalista jako minister edukacji w Polsce XXI w. i ni z gruchy, ni z pietruchy dopisze do maslowowskich potrzeb jeszcze swój religijny fantazmat pod nazwą „duchowość”. I oczywiście ową enigmatyczną duchowość, która w tym wydaniu oznaczać będzie jakiś rodzaj uroszczeń katolickich, umieści na samej górze ludzkich potrzeb. U Maslowa tradycyjnie potrzeby zostały uporządkowane następująco: fizjologiczne, bezpieczeństwa, przynależności, szacunku i uznania, samorealizacji. Komentatorzy zauważają, że Maslow pod koniec życia oczywiście wspominał o dążeniu do wiedzy i rozumienia świata jako o potrzebie, trudno jednak bez ekwilibrystycznego zadęcia nazwać potrzebę racjonalności – duchowością. W tym miejscu wkracza religiancka ideologizacja procesu edukacji, za której wzmożenie odpowiada Czarnek, nieodrodne dziecko katolickiego fundamentalizmu.

I tak w podręcznikach do wiedzy o społeczeństwie pojawia się tajemnicza duchowość, pojęcie nieostre, dyskusyjne, wieloznaczne, niedookreślone, doskonale nadające się do kulturowej manipulacji. Samo słowo, niosąc w sobie charakterystyczny patos katolickiej nowomowy, otrzyma zapewne misję do wypełnienia, podobnie jak było z mylącą nazwą przedmiotu w szkołach – religią. Jak doskonale wiemy, od 30 lat w miejsce nauki religii dzieci i młodzież poddawane są indoktrynacji w formie katechezy katolickiej, inne religie i wierzenia do tej edukacji nie mają po prostu wstępu ani prawa do istnienia. Podobnie będzie z ową duchowością, która zostanie okrojona do nie bardzo wiadomo jakiego wymiaru konfesyjnego. Będąc świadkami takich zabiegów, musimy zdawać sobie sprawę, że oto na naszych oczach dokonuje się formalizacja reguł państwa wyznaniowego, choć wciąż jeszcze polska konstytucja zapewnia nas, że żyjemy, pracujemy i działamy w państwie świeckim. Losy religii, przykrojonej do wersji watykańskiej, od dawna dzielą wartości chrześcijańskie i legendarne uczucia religijne, których zresztą jako jedynych broni w Polsce prawo karne, a które czym są – nikt nie wie. Oprócz tych, którzy za ich urażenie byli, są lub mogą zostać skazani przez nasz wymiar sprawiedliwości.

Duchowa krucjata edukacyjna jest równocześnie elementem szerszego zjawiska, jakim jest próba narzucenia jako dominującego języka oraz instrumentarium skrajnej,

fundamentalistycznej, ortodoksyjnej wersji nauczania Kościoła rzymskokatolickiego. Niezależnie od tego, co możemy rozumieć jako bardzo zróżnicowane dziedzictwo chrześcijaństwa. Kiedy przed kilkoma dekadami Gilles Kepel pisał swoją analizę fundamentalistycznego odrodzenia i naporu w trzech wielkich religiach monoteistycznych: judaizmie, islamie, chrześcijaństwie, zatytułowaną „Zemsta boga”, w najczarniejszych snach nie przypuszczano, że tropem amerykańskich fundamentalistów ewangelizacji pojawi się w Polsce katolicki „dżihad” w osobie ministra edukacji. Ale krok po kroku, kazanie po kazaniu, biskup po biskupie, minister po ministrze – stało się.

W dotychczasowej dyskusji wokół dziesiątków problemów związanych z naruszeniem linii demarkacyjnej między państwem świeckim a uzurpacjami Kościoła zajmowałem przeważnie takie stanowisko, które ciężar odpowiedzialności kładło na państwie. To na nim ciążył obowiązek obrony przed zakusami instytucji takiej jak Kościół. Kiedy jednak państwo w osobie ministra wprowadza *de facto* religianckie zmiany w edukacji – stajemy się jako obywatele bezbronni. Niby nic nowego, wedle podobnych reguł przez dekady działała rządowo-kościelna komisja majątkowa, w której, jak się okazało po latach, przedstawiciele rządu działali w interesie i na rzecz Kościoła. Państwu polskiemu i nam, jego obywatelom, zabrakło reprezentacji.

Naszej zgody na ewidentny fałsz edukacyjny podlany pseudoreligijnym sosem po prostu nie ma.

Bardzo podobnie dzieje się i teraz. I choć pojawiają się głosy, że na dłuższą metę są to kroki i decyzje, które same-mu Kościołowi zaszkodzą (tak jak obserwowany odwrót dzieci i młodzieży od uczestnictwa w lekcjach religii), należy podkreślić jednoznaczną szkodliwość tych działań. Szkoda dzieci, szkoda szkoły, szkoda czasu, szkoda społeczności, w której przyjdzie im żyć. I nie poprawia mi humoru to, że jest to robione tak bez znieczulenia, bezpardonowo. Bo zbyt wiele już na ołtarzu walki z racjonalnością złożono wysiłku edukacyjnego i osiągnięć naukowych. Efekty oglądamy. A duchowego wzmożenia – nie. Mam więc wielką potrzebę uporządkowania potrzeb. Na realne. Nie na wydumane i wymodlone. Cała zresztą ta „duchowośćowa” zasłona dymna rozwiewa się, kiedy przychodzi czas małej próby: nakarmić i udzielić schronienia potrzebującym, takim jak ta 30-osobowa grupa na granicy z Białorusią.

Naszej zgody na ewidentny fałsz edukacyjny podlany pseudoreligijnym sosem po prostu nie ma. Nie w naszym imieniu. Chcemy pracować mózgami, a nie z duchami. Od duchów zrobimy sobie wakacje.

r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Poprawczak na harcerskim szlaku

Drużyna harcerska w poprawczaku? Dlaczego nie?

Marek Książek

Kazimierz Kapla to były komendant Warmińsko-Mazurskiej Chorągwi ZHP, a później dyrektor wzorcowego ogólniaka w Olsztynie. Jednak chyba najmilsze są dla niego wspomnienia z lat 70., gdy jako nieopierzony jeszcze wychowawca trafił do zakładu wychowawczego w Reszlu.

– To była placówka przeznaczona dla młodzieży ociężałej umysłowo oraz nieprzystosowanej społecznie, w tym dla skazanych przez sąd młodocianych przestępców, których milicjanci dowozili do nas w kajdanach. Po resocjalizacji byli kierowani do szkoły na wolności, ale niektórzy lądowali w prawdziwym poprawczaku, a nawet w więzieniu – opowiada Kazimierz Kapla, rocznik 1954.

Tygrysiem przez płot

Urodził się w Szczuczynie na Podlasiu, ukończył liceum w Piszku i dostał się na studia na Akademii Górniczo-Hutniczej na kierunku górnictwo. Ale po roku studiów, a zwłaszcza po praktykach w kopalni, uznał, że na górnikarstwo się nie nadaje. Wrócił do domu i zaczął szukać jakiejś roboty. Jako że zdążył już się ożenić, musiał zarabiać na rodzinę. A ponieważ miał doświadczenie instruktora harcerskiego, zgłosił się do placówki wychowawczej w Reszlu. Był wysokim, przystojnym 21-latkim, wysportowanym, wzbudzającym zaufanie. Dyrekcja zakładu uznała, że nadaje się do roli wychowawcy grupy.

– Nie bałem się konfrontacji z trudną młodzieżą, bo byłem niewiele starszy od swoich wychowanków i miałem z nimi dobry kontakt. Poza tym imponowałem im sprawnością fizyczną; skakałem wzdłuż 185 cm i potrafiłem pokonać ogrodzenie tygrysim skokiem, jeśli jakiś chłopak chciał uciec z ośrodka. Bo niektórzy próbowali uciekać, ale z innych grup, nie mojej – dodaje.

Został wychowawcą 20-osobowej grupy, w której byli chłopcy skazani za przestępstwa, w tym za kradzież



z oliwskiej katedry kielichów mszalnych, które chcieli na ognisku przetopić na złoto! Byli też tacy, co pobłądzili, coś im nie wyszło w młodym życiu, a sąd lekką ręką wydał wyrok skazujący i skierował ich na resocjalizację. Czasami z dobrym skutkiem, choć – tak jak i dzisiaj – metody przywracania osadzonych do życia w społeczeństwie często zawodzą. Chyba że znajdzie się na to skuteczniejszy sposób. A Kazimierz Kapla taki (złoty) środek znalazł.

Wzorowa dwudziestka

– Postanowiłem założyć drużynę harcerską, pierwszą w zakładzie. Zainspirował mnie program pod nazwą Nieprzetarty Szlak – wspomina. Był to ruch ZHP zapoczątkowany w 1958 r. w trakcie pierwszego kursu dla nauczycieli i wychowawców zakładów leczniczych, który odbył się w Rabce-Zdroju. Komendantem kursu została Maria Łyczko, później szefowa wydziału Nieprzetartego Szlaku w Główniej Kwaterze ZHP. Ideą ruchu było zadbanie o dzieci i młodzież z upośledzeniami fizycznymi, zaburzeniami psychicznymi oraz niedostosowaniem społecznym, o zagrożonych jakimś uzależnieniem albo z zaburzeniami zachowania. Generalnie – o wykluczonych, o których warto zadbać,

Kazimierz Kapla przegląda zdjęcia z Reszla.

Druh Kazimierz (z prawej) z wychowankami.

żeby zwiększyć ich samodzielność i przystosować do dobrego życia. Pod takim sztandarem druh Kazimierz postanowił zawalczyć o przyszłość swojej dwudziestki.

– Kupiliśmy im mundury harcerskie, które zakładali w każdy czwartek, bo to był dzień mundurowy. Tak ubrani szli na lekcje w zakładowej szkole, a wieczorem spotykaliśmy się na zbiórkach w harcówce, w której płonęło „ognisko”, czyli zapalona lampka nocna. Ważny był klimat tych spotkań w pomieszczeniu harcówki, urządzonej przez nich samych. Wychowankowie zwozili tam ze swoich domów różne interesujące rzeczy, jak choćby pruski mundur z włosami na wierzchu.

Podopieczni Kazimierza Kapli mieli też inne zajęcia, na których rzeźbili w drewnie, uczyli się robić i wywoływać zdjęcia, a nawet brali na warsztat literaturę. Był taki Kazio z Gdańska, który uwielbiał poezję Gałczyńskiego i chętnie recytował wiersze dla sepleśniących „Strasna zaba” zaczynający się od słów: „Pewna pani na Marszałkowskiej kupowała synkę z groszkiem...”. Wśród wychowanków były i talenty matematyczne, a jeden z nich wygrał nawet lokalne eliminacje

olimpiady matematycznej, choć już dalej nie chciał startować. Uznał, że pokazał swoje możliwości i wystarczy.

– Ale i tak miałem satysfakcję, zwłaszcza że sam jestem z wykształcenia matematykiem – dodaje Kazimierz Kapla.

Pod presją grypsów

Po przerwaniu studiów górniczych Kazimierz Kapla jakiś czas nadal dojeżdżał do Krakowa, gdzie już zaocznie studiował na AGH automatykę. Ale gdy zostało ich tylko dwóch w grupie, skierowano go na Politechnikę Warszawską. Nie zagrał tam długo miejsca i przeniósł się do Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Olsztynie. I tam zdobył dyplom magistra matematyki,

Bali się ich chłopcy spoza grona grypsujących, zwłaszcza słabi psychicznie, ulegli, na dodatek ociążali umysłowo. Pan Kazimierz opowiada, że najgorsze w zakładzie były dni świąteczne, kiedy większość wyjeżdżała na przepustki do domu, a zostawała garstka grypsów, którzy dawali upust wściekłości kosztem rówieśników spoza ich struktury.

I na tym podłożu druh Kazimierz zaczął budować coś nowego. Co ciekawe, do drużyny harcerskiej wstąpili wszyscy wychowankowie z jego grupy, cała dwudziestka. Jak ich przekonał?

– Głównie perswazją, w tym najważniejszym argumentem: perspektywą wychodzenia na zewnątrz zakładu. I nie były to obietnice bez pokrycia – podkreśla.



choć – jak podkreśla ze śmiechem – skończył także studium... wychowawczy przedszkoli! A to dlatego, żeby mieć dyplom przydatny także w takich placówkach jak Państwowy Młodzieżowy Zakład Wychowawczy w Reszlu. Zakład tylko dla chłopców. W połowie lat 70. przebywało tam ok. 130 wychowanków.

– Najtrudniejsze były wypadki niedostosowanych społecznie z ociążą umysłową, bo tacy wychowankowie praktycznie nie kontrolowali swojego zachowania – dodaje Kapla.

Jako doświadczony instruktor harcerski podjął się wyciągnięcia swoich wychowanków ze społecznego dna, a najlepszym sposobem było zapewnienie im konkretnego zajęcia. Żeby nie patrzyli na świat zza krat. I żeby oderwać ich od więziennej subkultury, od grypsów, zwanych git ludźmi.

Wychodzili więc na wycieczki i biwaki, podczas których nocowali pod namiotami. Z dnia na dzień chłopcy coraz bardziej czuwalili się w nowe role, starając się przestrzegać harcerskiego przyrzeczenia („Na słowie harcerza polegać jak na Zawiszy”). Starając się, bo jak zastrzega Kapla, nie udawało się to do końca, skoro popalali sobie od czasu do czasu... Ale nie uciekali z ośrodka i zawsze wracali z przepustek na czas. Przynajmniej tak myślał ich wychowawca...

– Ale raz spróbowali ucieczki – opowiada. – Byliśmy wtedy na biwaku nad jeziorem Dejnowo koło Świętej Lipki, wieczorem przeliczyłem do 20, tak samo rano, stan osobowy się zgadzał. Dopiero po latach jeden z moich podopiecznych przyznał mi się, że o pierwszej w nocy ruszyli do Mrągowa. Ale gdzieś koło wsi Pilec

naszły ich wątpliwości, czy robią dobrze, bo na pewno wychowawca będzie miał przez nich przykrości. Zrobili głosowanie i wyszło im, że trzeba wracać. Tak uniknąłem kłopotów.

Medal od Kaczyńskiego

Wychowanie poprzez harcerstwo Kazimierz Kapla do dziś uznaje za swój sukces. Nie zna dalszych losów wszystkich swoich wychowanków, ale wie, że co najmniej sześciu-siedmiu chłopców weszło na dobrą drogę. Świadczą o tym listy rodziców z podziękowaniami, ale także bezpośrednia wypowiedź byłego harcerza z drużyny ZHP.

Nazywa się Piotr Pułkownik i mieszka niedaleko Bydgoszczy.

– Jestem wdzięczny panu Kazimierzowi i innym wychowawcom z Reszla, że wyprowadzili mnie na ludzi – podkreśla. – Co prawda, trafiłem tam tylko za to, że nie chciałem się uczyć i rodzice mieli przeze mnie kłopoty, ale mogłem skończyć gorzej. Uratowałem swoje młode życie dzięki harcerstwu, a wypadki poza zakład i biwaki w Świętej Lipce pamiętam jako coś wspaniałego!

Piotr skończył szkołę zawodową i jako piekarz-cukiernik pracował do 2007 r., kiedy przeszedł na rentę. W 1982 r. ożenił się i doczekał dwóch córek i to on chodził na zebrania rodziców w ich szkole. Był szefem Klubu Młodego Rzemieślnika, działaczem klubu sportowego w swojej gminie, a nadal jest członkiem Rady Wojewódzkiej LZS w Bydgoszczy. Nie ukrywa, że tę żyłkę społecznikowską złapał w Reszlu.

– System wychowawczy zdał tam egzamin – zapewnia. Po latach odwiedził w Olsztynie swojego drużynowego. Kazimierz Kapla po kilku latach w zakładzie wychowawczym przeszedł do pracy nauczycielskiej w szkole w Reszlu, później został komendantem Hufca ZHP w Kętrzynie, a w 1985 r. komendantem Warmińsko-Mazurskiej Chorągwi ZHP. Po zakończonej kadencji wyjechał na dwa lata do USA, a po powrocie objął stanowisko dyrektora wzorcowego V Liceum Ogólnokształcącego w Olsztynie. To jego wiano pedagogiczne przekazane następnym pokoleniom docenił prezydent Lech Kaczyński, wręczając mu w 2009 r. złoty medal „Za długoletnią służbę”. ■

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Wyjątkowe straszenie

Sytuacja jest wyjątkowa, więc mamy wyjątkowe wymagania i oczekiwania wobec opozycji. A ona tych oczekiwań nie spełnia. Coś tu nie pyka, jak mówi mój Antoś. Uczę się języka młodych. Te słowa wydają się szpetne, ale może to kwestia przyzwyczajenia.

Mój przyjaciel Krzysztof Kasprzyk z Toronto, uczestnik strajku sierpniowego, autor stoczniowej „Piosenki dla córki”, brał udział w gdańskich obchodach powstania Solidarności i ma smutne refleksje: „Byłem zażenowany nie osobnym obchodzeniem rocznicy Solidarności, zamykaniem się w Centrum Solidarności, w aurze wzajemnej adoracji, zażenowany byłem martwością tego miejsca. Tam nie ma ludzi, nie ma zainteresowania. Żeby na wiecu było 150 do 200 osób w półmilionowym Trójmieście! Odnoszę wrażenie, że ludzie nie wierzą, że to, co się stało wtedy, to było ogromnie ważne nie na miesiąc, na rok, ale jako wizja przyszłości. Dlatego przyzwoitość, nieobojętność, uczciwość, złożoność, umiar, szacunek dla osób i faktów, a przede wszystkim solidarność, stają się coraz bardziej zbiorem wyświechtanych banałów i sloganów, którymi PiS żongluje dla swoich celów. Dla innych to niemodne, wstydlive, zbiór rupieci nadających się do lamusa. Byłem zażenowany tymi zebraniami-wieczami pod bramą stoczni, z powodu małej liczby uczestników. Byłem zażenowany słabym uczestnictwem w dyskusjach – z reguły brało w nich udział 20 do 30 słuchaczy, i to nawet w weekend. To wszystko było dla weteranów w naszym wieku. Ani jednego młodego człowieka. Jak tak dalej pójdzie, to za pięć lat weterani będą posuwać się ku bramie stoczni zwołaniem przez pełzanie, a wokół będzie słychać aplauz garstki na wózkach i wspartych na kulach”.

Krzysztof na pewno przesadza, w końcu był Campus Polska Przyszłości dla młodych, zorganizowany przez Rafała Trzaskowskiego, bardzo udany.

Mam wykład w nowej szkole Antosia, są wszystkie klasy liceum, szkoła mała, więc i uczniów mała. Antoś w środku grupy wyraźnie spłoszony. Miałem pod żadnym pozorem nie mówić, że jest moim synem. Tytuł prelekcji dumny: „Warsztaty literackie”, ale to była bardziej pogawędka. Zdawali się umiarkowanie uważać. Ale Antoś będzie w tej szkole w dobrym towarzystwie, na aluzje polityczne reagowali jak trzeba. Trochę przynudzałeś, tata, powiedział mi potem taktownie mój synek, ale krindzu nie było. Krindz to w nowym młodzieżowym języku kompromitacja, żenada.

Coraz więcej znajomych myśli o tym, by wysłać dorastające dzieci za granicę, zresztą one same też chcą

wyjechać. Zarobki nadal słabe, a nad wszystkim wisi ciężka zawiesina konfliktu społecznego, którego końca nie widać.

Cały ten stan wyjątkowy przy granicach, straszenie Rosją, Białorusią i najazdem uchodźców, świetnie się wpisuje w taktykę PiS zarządzania ludzkimi lękami. Tylko PiS się wami zaopiekuje, obroni was przed obcymi i przed Rosją. Tusk by was sprzedał. I do ludu to trafia. Ludu coraz mniej, ale nadal wystarczająco wiele, by wygrać wybory. Stanu wyjątkowego tak szybko nie zniosą, będą straszyć przez dwa lata. Dadzą radę.

Nie doceniłem Szymona Hołowni; pałętał się nieporadnie w programie „Mam talent!”, a świetnie się sprawdza, gdy mówi o polityce. Program „Mam talent!” kojarzy się z komercją, a to szkodziło Hołowni, tak jak mnie szkodzi, że miałem przez lata felieton w „Twoim Stylu”, a teraz w „Zwierciadle”, chociaż piszę o książkach, które lubię i cenię. Pokrętnymi drogami chodzą sympatie i antypatie.

Patrę na Mateusza Morawieckiego i na Piotra Glińskiego, dwóch inteligentów, nawet twarze mają inteligentne. Pamiętam, co mówili kiedyś, i że zgrozą słyszę, co mówią teraz, jaką drogę przebyli. Straszne, co dzieje się z ludźmi, którzy dają się przemleć przez ideologiczną maszynkę do mielenia duszy.

TSUE już nakłada na nas kary finansowe, gminy, które walczą z LGBT, nie dostaną unijnych pieniędzy, grozi nam, że nie dostaniemy kilkunastu miliardów z unijnego Funduszu Odbudowy. Czym to jest, jeśli nie wyprowadzaniem nas z Unii, odgradzaniem murem od Zachodu? To zdrada narodowa. A Polski dureń będzie myślał, co podszeptuje mu PiS: mści się na nas ta Unia za to, że chcemy być niepodlegli.

Ukazał się mój nowy tomik wierszy „Przed zmierzchem”, tytuł oddaje tonację utworów, ale są też wiersze jasne, choćby o dzieciach. Na pewno nikt w polskiej literaturze nie pisał tyle o dzieciach co ja. Pracowałem na ten tom sporo lat, pełen wątpliwości i obaw, czy to coś warte, a wyszedł być może najważniejszy mój zbiorek. Sprzedaż głównie w internecie. Tom dostępny jest w księgarni wydawnictwa Literackie m2 (literackiem2.pl). Głupio, że tak reklamuję swoją książkę w felietonie, proszę mi wybaczyć, ale poezja dzisiaj nie płynie, lecz ledwie kapie. Nikt nie usłyszy dźwięku tych kropel, jeśli się go nie nagłośni.

t.jastrun@tygodnikprzeglad.pl

Prymas – polityk

Zarówno Gomułkę, jak i Wyszyńskiego historia uznała za patriotów, tyle że ich drogi życiowe były diametralnie odmienne

Janusz Rolicki

Wyniesienie na ołtarze Kościoła katolickiego kard. Stefana Wyszyńskiego to dobra okazja do zastanowienia się nad jego polityczną rolą w powojennej Polsce.

W 1948 r. prymas kard. August Hlond na odręcznym liście adresowanym na łóżu boleści do papieża Piusa XII zasugerował, aby jego następcą w archidiecezjach warszawskiej i gnieźnieńskiej, będących tytularnymi siedzibami prymasów Polski, został Stefan Wyszyński – 47-letni biskup lubelski. Ta sugestia była wyrazem uznania dla dotychczasowych osiągnięć kapłana urodzonego w 1901 r. w Zuzeli nad Bugiem.

Wyższe Seminarium Duchowne Wyszyński ukończył we Włocławku w 1924 r., studia na KUL w 1929 r., a doktorat uzyskał w roku 1930 na tymże uniwersytecie. W latach wojny był kapłanem Armii Krajowej. Sakrę biskupią otrzymał z rąk kard. Hlonda

Pius XII, znany germanofil, przed Bożym Narodzeniem 1939 r. dopasował kształt administracji kościelnej do niemieckich zdobyczy wojennych.

w roku 1946 i objął diecezję w Lublinie. Gdy dwa lata później na konsystorzu w Rzymie 12 listopada 1948 r. Pius XII mianował go arcybiskupem gnieźnieńskim i warszawskim, wiedział doskonale, że Kościół w Polsce czeka trudne czasy. Do wspomnień już należały flirty władzy z hierarchiami, polegające m.in. na uczestnictwie prezydenta Bieruta w mszach celebrowanych przez kard. Hlonda. Po sfałszowanych przez władze wyborach parlamentarnych 19 stycznia 1947 r. PPR wraz z PPS poczuły się pewniej w siodle władzy. Ustalenia podjęte na Krymie w sprawach ustrojowych powojennej Polski okazały się martwe.

W epokę powojenną polski Kościół wkroczył z ciężkim garbem zafundowanym mu przez Piusa XII. Papież ten, znany germanofil, po kampanii wrześniowej, a przed Bożym Narodzeniem 1939 r., uznał bowiem zdobycze niemieckie w Polsce i do nich dopasował kształt administracji kościelnej. Po wojnie natomiast, zastaniając się brakiem traktatu pokojowego, odmówił dopasowania granic diecezji kościelnych do granicy na Odrze i Nysie. W rezultacie polscy biskupi na tzw. Ziemiach Odzyskanych uzyskali status nie zwykłych ordynariuszy, lecz ordynariuszy apostołskich, czyli nie do końca pełnoprawnych. Tym samym Polska została pozbawiona uznania Watykanu dla powojennych zmian terytorialnych. Kościół, chcąc nie chcąc, znalazł się w sytuacji dwuznacznej. Mocno to komplikowało jego relacje nie tylko z rządzącymi, ale także z wiernymi. Było to trudne do zrozumienia dla narodu tak tragicznie doświadczonego w czasie okupacji niemieckiej.

Tym samym dla nowego prymasa problem uznania granic stał się jedną z głównych spraw do załatwienia. Poza tym na porządku dziennym znalazły się spory z państwem dotyczące majątków kościelnych, domaganie się przez władze potępienia tzw. band leśnych, dzisiaj nazywanych żołnierzami wyklętymi, swoboda praktyk religijnych i nauczania religii, a także procedury dotyczące nominacji kościelnych, na które państwo chciało mieć zasadniczy wpływ. Kościół Wyszyńskiego czekała więc prawdziwa wojna o miejsce w państwie oraz zakres samodzielności i wolności. I tak zaczęła się walka

prymasa o rząd dusz w Polsce. Ówczesne władze uznały, że bez złamania i podporządkowania Kościoła nie uda się zbudować na trwałe nowego ładu politycznego.

Doświadczenia Związku Radzieckiego, na które była zapatrzona ekipa rządząca, nie były obiecujące. Nie tolerowano tam niezależnych instytucji religijnych. Większość cerkwi zamknięto lub przerobiono na magazyny, a w części utworzono tzw. muzea ateizmu. Wierni byli zmuszani, często siłą, do absencji na nabożeństwach. Opornych duchownych zsyłano do gułagów.

Polska na tle ZSRR była małym krajem z mocno religijną ludnością. Nasz katolicyzm był ludowy i silnie zakorzeniony. Dlatego rząd chwilo-wo bał się stosować wobec Kościoła nazbyt represyjne metody. Czas na nie miał przyjść po załatwieniu problemów, które władza miała sama z sobą. Na jesień 1948 r. przypadła ostateczna rozprawa Bieruta z tzw. odchyleniem gomułkowskim. Za zgodą Stalina uznano, że proces zwalczania religii jako opium dla ludu będzie nad Wisłą rozciągnięty w czasie.

Prymas Wyszyński, mimo że konkordat z Watykanem był zerwany, uznał, że musi uzyskać jakiś *modus vivendi* z władzami. Tym bardziej że komuniści od 1946 r. hołubili instytucję tzw. księży patriotów. Byli to początkowo księża kombataneci wojenni zrzeszeni od 1949 r. w specjalnej Komisji Księża ZBOWiD. Krytykowali oni prymasa za awanturnictwo, a ich dewizą była „niezlomna wierność Polsce Ludowej”. W latach 50. do ich struktur należało 10% duchowieństwa. Była to więc dywersja zagrażająca niezależności Kościoła.

Pozycję zarówno Kościoła, jak i prymasa osłabiała dodatkowo zimna wojna. Dla Kościoła – instytucji antykomunistycznej było to zabójcze. Jednak prymasowi udało się 14 kwietnia 1950 r. wynegocjować



Podczas wizyty w Watykanie Edward Gierek spotkał się także z kard. Wyszyńskim. 29 listopada 1977 r.

tw. porozumienie z rządem, które stwarzało ograniczone szanse funkcjonowania Kościoła. Ponieważ redukowało przy tym niezależność Watykanu w nominacjach duchownych, wywołało irytację Piusa XII, który w pierwszym odruchu zagroził prymasowi Wyszyńskiemu odwołaniem. Niebawem jednak okazało się, że gorsze od porozumienia jest jego nierepektowanie przez władze. W 1953 r. nadszedł czas represji. Aresztowany został ordynariusz kielecki bp Czesław Kaczmarek. Abp Wyszyński w styczniu 1953 r. nie został wypuszczony z kraju na konsystorz w Rzymie i został kardynałem obranym *in absentia*.

9 lutego 1953 r. Rada Państwa wydała skrajnie antykościelny dekret o obsadzie stanowisk duchownych. Tym razem dotyczył on nie tylko hierarchów, lecz nawet wikarych. O ich nominacjach czy przenosinach miały współdecydować władze świeckie. Niezależność Kościoła stawała się fikcją. W tej sytuacji kardynał odpowiedział listem zaczynającym się od słów: *non possumus* – nie możemy pozwolić. Było to już po śmierci Stalina i Bierut zwrócił się do Ławrientija Berii o zgodę na aresztowanie prymasa. Beria odmówił. Późnym latem, już po upadku Berii, Bierut uzyskał tę

zgodę u Nikity Chruszczowa. Stąd wzięła się nocna (25/26 września) wizyta funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa w Pałacu Prymasowskim z rozkazem uwięzienia Wyszyńskiego. Prymasa internowano aż do 28 października 1956 r. w czterech kolejnych miejscach odosobnienia: Rywałdzie, Stoczku Warmińskim, Prudniku i Komańczy.

Polski Październik 1956 r. nie tylko przyniósł prymasowi wolność, lecz także zakończył epokę zbrojeckiej wojny z Kościołem. Zaczęło się sielankowo i zgodnie. W osobistej rozmowie

kreską. Prymas poparł Gomułkę... Od tej zasady odstąpiono dopiero w wyborach kontraktowych 1989 r.

Ten moment wydaje się najlepszym w kontaktach politycznych prymasa z I sekretarzem PZPR. Znamienne, że obaj ci politycy pochodzili ze wsi, urodzili się na początku stulecia i mieli trudne warunki. Gomułka, urodzony pod Krosnem, emigrował jako dziecko wraz z ojcem do USA i stamtąd po niepowodzeniach materialnych powrócił do Polski pełen kompleksów wobec obcego świata. Wyszyński jako syn organisty miał

Dopiero w 1972 r. Paweł VI powołał nowe polskie diecezje na Ziemiach Odzyskanych. Z niemal 30-letnim opóźnieniem Watykan uznał wyniki II wojny światowej.

prymasa „z panem sekretarzem” Władysław Gomułka poprosił o poparcie projektu głosowania do Sejmu „bez skreśleń i poprawek”. Chodziło o zasady ordynacji wyborczej. Nazwiska kandydatów na posłów na karcie wyborczej miały być przedzielane czarną kreską, oddzielając miejsca biorące mandaty od niebiorących. Głos wrzucany do urny bez skreśleń miał wspierać tylko kandydatów nad

co prawda pianino w domu, ale rodzinie się nie przelewało. Po stracie matki w wieku 10 lat z dużym wysiłkiem kontynuował naukę w gimnazjum. Podczas gdy Gomułka zakończył edukację na szkole podstawowej, Wyszyński dzięki stypendiom ukończył nie tylko seminarium duchowne, ale także studia zwieńczone doktoratem. „Uniwersyte-tem” Gomułki była kominternowska ▶

► dwuletnia szkoła w Moskwie, którą ukończył w latach 30. W latach 60. mieli stoczyć zabójczą wojnę o duszę narodu. Wojujący marksizm okazał się nie do pogodzenia z chrześcijaństwem. Gomułka miał za sobą władzę państwową i ZSRR. Wyszyński nie miał dywizji, ale ogromna większość społeczeństwa wierzyła w Chrystusa.

Wojnę państwa z Kościołem wznowiono w roku 1959 z powodu próby reaktywowania instytucji księży patriotów zawieszonych w roku 1956. Tym razem pod skrzydłami nie ZBOWiD, lecz Caritasu. Władze, korzystając ze wsparcia PAX, wznowiły tzw. Koła Księży. Pozbawione stalinowskiego żaru nie miały jednak powodzenia i w latach 70. po ekskomunice prymasa same się rozwiązały.

Z początkiem lat 60. rozgorzała też wojna o kształt Milenium – rocznicy tysiąclecia chrztu Polski i państwa polskiego. Gomułka nie chciał rocznicy wiązać z przyjęciem chrześcijaństwa, natomiast Wyszyński polskość utożsamiał z katolicyzmem. Gomułka ogromnym demonstracjom kościelnym pod Jasną Górą przeciwstawił wieluset tysięcy zgromadzenia partyjne w Poznaniu i Gnieźnie. Demonstracyjne obwożenie kopii obrazu Madonny Jasnogórskiej przerywała milicja, konfiskując płótno. Na znak protestu obwożono odtąd samą ramę.

Stefan Wyszyński jak nikt przed nim potrafił zdobywać wsparcie wiernych. Jego orężem w walce z władzą ludową był katolicyzm ludowy, przeciwstawiany nie raz i nie dwa katolicyzmowi intelektualnemu



Obchody tysiąclecia chrztu Polski w Kielcach i Wiślicy. 17 lipca 1966 r.

i bardzo ludzkim duchu, wyciągamy do Was, siedzących tu, na ławach kończącego się Soboru, nasze ręce oraz udzielamy wybaczenia i prosimy o nie". Dla Gomułki orędzie było obrazą i ingerencją Kościoła w sferę polityki zagranicznej. Tymczasem dla Polski był to zaczątek pod przyszłe rozmowy polityczne z RFN w sprawie uznania granic.

Na Kościół spadły kary poboru kleryków do wojska, zaostreżenia przepisów zezwalających na budowę kościołów, brak zgody na pielgrzymkę Pawła VI na obchody Milenium w 1966 r. i wyjazd prymasa do Rzymu na synod biskupów.

suwerenności. Miał bowiem świadomość, jak dalece obrazoburczą dla Kremla jest wysoka pozycja polskiego Kościoła i jak bardzo uprawianie polityki w PRL przypomina akrobacje linskoczek.

Dojście do władzy ekipy Edwarda Gierka Stefan Wyszyński przyjął nie bez nadziei. Wiązały się one z otwarciem Polski na świat i złagodzeniem represji wobec Kościoła. Podobały mu się prospołeczna polityka państwa i zapowiedzi poprawy poziomu życia.

Można było nawet mówić o pewnym otwarciu państwa na sprawy wiary. Znamienią pod tym względem była w 1971 r. pielgrzymka przeszło 2 tys. wiernych na beatyfikację o. Maksymiliana Kolbego w Rzymie. Była to największa w historii PRL pielgrzymka Polaków do Watykanu.

W czerwcu 1972 r. Paweł VI w odpowiedzi na ratyfikację układu polsko-niemieckiego w sprawie granic powołał wreszcie nowe diecezje, włączył je do polskich metropolii kościelnych i obsadził biskupami rezydencjonalnymi. W ten sposób zniknął z Polski swoisty potworek prawny w postaci tzw. administratorów apostolskich. Można było powiedzieć, że z niemal 30-letnim opóźnieniem Watykan uznał wyniki II wojny światowej. W 1977 r. zabiegi prymasa o wznowienie konkordatu zaowocowały wizytą I sekretarza

W 1977 r. zabiegi prymasa o wznowienie konkordatu zaowocowały wizytą I sekretarza PZPR Edwarda Gierka w Watykanie u Pawła VI.

popularnemu na Zachodzie. Gdy jednak trzeba było, prymas potrafił sięgać po poparcie intelektualistów. Dlatego Gomułka musiał się godzić z licznymi porażkami. Największą stało się porozumienie chrześcijan w RFN i Polsce ponad głowami władz PRL. Wyrazem tego było ogłoszenie 18 listopada 1965 r. orędzia biskupów polskich do niemieckich połączonych z ich zaproszeniem do obchodu tysiąclecia chrztu Polski. „W tym jak najbardziej chrześcijańskim, ale

Schyłkowi 14-letniej epoki Gomułki towarzyszyły potężne wstrząsy w postaci wydarzeń marcowych, interwencji Układu Warszawskiego w Czechosłowacji, tragedii na Wybrzeżu w 1970 r., a także wizyty kanclerza Brandta w Warszawie w celu podpisania porozumienia w sprawie polskich granic. Na wydarzenia te prymas reagował wstrzymieźliwie, unikał awanturnictwa. Zważał, aby polityka kościelna nie przekraczała granic zagrażających polskiej

PZPR Edwarda Gierka w Watykanie u Pawła VI. W trakcie tej rozmowy prymas mógł sobie pogratulować efektu wieloletnich wysiłków. Stosunki zwierzchnika Kościoła ze zwierzchnikiem partii komunistycznej w Polsce stały się tak dobre jak nigdy przedtem.

Prawdziwym zwieńczeniem polityki prymasa Wyszyńskiego było jednak konklawe 16 października 1978 r., które uczyniło kard. Karola Wojtyłę Janem Pawłem II. Wybór był potwierdzeniem wysokiej, jak nigdy, pozycji polskiego Kościoła. Można powiedzieć, że bez Wyszyńskiego nigdy by nie było polskiego papieża. Wybór ten, jak nic poprzednio, zachwiał władztwem komunistycznym w Polsce. Pielgrzymka papieska do Polski w 1979 r. została oprostowana przez Breżniewa, który Gierkowi powiedział wprost: „Gomułka był lepszym od was komunistą – nie zgodził się na przyjazd Pawła VI”.

Trwająca 10 dni pielgrzymka w Polsce pokazała nie tylko niezwykłość papieża, ale także świetne zorganizowanie służb kościelnych, które bez milicji sprawnie dyrygowały największymi w historii tłumami wiernych. Okazało się, że nad Wisłą szykuje się dwuwładza. Szczegrze mówiąc, bez papieża i prymasa trudno sobie wyobrazić powstanie Solidarności w 1980 r.

Do ostatniego spotkania Wyszyńskiego z wielkim przegranym – Gierkiem doszło pod koniec strajków na Wybrzeżu w 1980 r. Przebiegło ono w warunkach ekstremalnych. W pałacu w Natolinie prymas i I sekretarz zastali zamknięte drzwi. Obaj panowie spotkali się więc w Kłarysewie, w mieszkaniu Gierka. Pod wpływem uzyskanych informacji prymas w homilii był bardzo wobec władz ugodowy, co przyjęto w Stoczni Gdańskiej gwizdami. Żegnając się z Gierkiem, objął go pasterskim gestem i powiedział: „Panie sekretarzu, niech pan uważa na swych współpracowników, są oni wobec pana bardzo nielojalni”.

Gierek został usunięty po dwóch tygodniach, a prymas zmarł niespełna dziewięć miesięcy później. Kościół na tym romansie politycznym zyskał w trakcie dekady tysiąc świątyń, a Gierek... co najwyżej punkty u św. Piotra. Czy mu się na coś zdały? Oto jest pytanie.

Janusz Rolicki

Zbąszyń, czyli wyciąganie wniosków z historii

Agnieszka Widacka

Kiedy nastroje społeczne zaczynają być systemowo podniecane i atmosfera gęstnieje, zdawać się może, że wypadki przyspieszają, mijają się z intencjami sprawców i wystarczy zupełnie w innych okolicznościach niewinna iskra, aby nastąpił wielki wybuch.

W marcu 1938 r., w narastającym przecuciu nieszczęścia władze Polski spanikowały i podjęły decyzję, której zapewne przyklasnęła spora część społeczeństwa, ale która okazała się brzemienne w skutki. Obserwując nastroje panujące w III Rzeszy i stale, zauważalnie pogarszającą się sytuację Żydów, Sejm RP uchwalił ustawę pozbawiającą obywatelstwa wszystkich tych, którzy od powstania państwa przez pięć lat przebywali w sposób nieprzerwany za granicą. Ustawa ta skierowana była przeciw Żydom, obywatelom RP, zamieszkującym teren Rzeszy. Obawiano się ich masowego powrotu i jego następstw ekonomicznych i kulturowych.

Dwa dni przed upływem terminu weryfikacji paszportów przez polskie przedstawicielstwa dyplomatyczne Reinhard Heydrich, szef służby bezpieczeństwa Rzeszy, wydał rozporządzenie o natychmiastowym wydalaniu z Niemiec wszystkich polskich Żydów. Nie wiem, jak tę sytuację opisywano w ówczesnych mediach – czy była to „szopka”, „prężenie muskułów”, czy już „wojna hybrydowa”. Kto ciekaw, niech poszpera w archiwalnej prasie. Mam jednak przecucie, że język opisujący tamte wydarzenia będzie zaskakująco dla nas zrozumiały.

W ciągu kilku dni funkcjonariusze niemieckiej policji wręczyli wszystkim Żydom polskiego pochodzenia nakazy deportacji, niemal równocześnie ładując ich do wagonów i odstawiając na polską granicę. Tu jednak okazało się, że w przeważającej większości są oni „bezpieństwowcami”. Dla części utworzono obóz w Zbąszyniu, pozostali koczowali pomiędzy dwoma kordonami wojsk: z jednej strony niemieckich, z drugiej polskich. Do nieszczęśliwów dopuszczano jednak wtedy

żydowskie organizacje pomocowe oraz Czerwony Krzyż. Przez kilka jesienno-zimowych miesięcy 8 tys. osób nie miało prawa przekroczyć żadnej granicy. Nikt nie jest przygotowany na taką sytuację. Tych ludzi z domowych pieleszy wyrwano nagle, często nocą, nie pozwalając zabrać najpotrzebniejszych rzeczy. Ostatecznie obóz w Zbąszyniu zamknięto w sierpniu 1939 r., ale przez poprzedzający to okres trwały spory i debaty o prawach koczujących i obowiązkach obywateli, z których część poczuwała się do odpowiedzialności za nieszczęśliwów, większość jednak wcale. Organizowano zbiórki, oferowano pomoc, ogłoszono akcje pomocowe. Z drugiej strony opluwano aktywistów i solidarnościowców, ubliżając im i odmawiając patriotyzmu.

Z historii trzeba umieć wyciągać wnioski – w przeciwnym razie znajdzie się kolejny Herszel Grynszpan i dopiero rozpęta się piekło. ■

Kup książkę PRZEGLĄDU



2 tomy II WOJNY ŚWIATOWEJ za 75 zł

Wpłaty prosimy dokonywać na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7. W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Poczta Polska. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł, Orlen Paczka +6,99 zł, paczkomat InPost +11,90 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.

www.sklep.tygodnikprzeгляд.pl

Jak wychować nazistę

Kiedy partia nazistowska zaczyna się interesować niemieckim dzieckiem? Zanim zostanie poczęte

W 1939 r. **Gregor Ziemer**, dyrektor Szkoły Amerykańskiej w Berlinie, wykorzystując swoje kontakty, odwiedza instytucje edukacyjne Trzeciej Rzeszy. Dociera do klinik położniczych, szpitali sterylizacyjnych, izb dla noworodków. Przygląda się szkoleniom członków Jungvolk i Hitlerjugend, obserwuje nocne rytuały inicjacyjne w średniowiecznych zamkach. Spotyka chłopców, którzy chcą umrzeć za Hitlera, i dziewczęta, które bardziej od śmierci boją się bezpłodności. Poznaje od podszewki machinę formowania nowego człowieka.

– Kiedy partia nazistowska zaczyna się interesować niemieckim dzieckiem? – spytałem wysoko postawionego urzędnika w imponującym biurze Baldura von Schiracha, dowódcy Młodzieży Rzeszy, przy Kronprinzen Ufer 10 w Berlinie.

– Zanim zostanie poczęte – padła szybka odpowiedź.

Wysoki młody urzędnik promieniował aroganckim entuzjazmem. Dostrzegł moje zdumienie i wyjaśnił szczegółowo, że wypędzenie nieczystych Żydów nie przyniosłoby wielkiego pożytku, gdyby Niemcy nie podjęli naukowych wysiłków w celu zapobieżenia rodzeniu się niepożądanych dzieci. Hitler chciał mieć wyższą rasę – to można było osiągnąć tylko przez łączenie zdrowych jednostek.

Burko miał zarzucone broszurami, ścianę pokrywały kolorowe wykresy statystyczne i krzywe, wszystkie wskazujące na niski poziom urodzeń w czasach Republiki Niemieckiej, ale zdumiewający wzrost od 1933 r.

Wygłosił mi wykład na temat skuteczności nazistowskiego Gesundheitsamt (Urzędu do spraw Zdrowia) oraz badań, którym radośnie poddawały się młode pary w wieku rodzącym, aby otrzymać zgodę Partii na połączenie się. Zasugerował, że niedługo nazistowskie zaświadczenie zdrowia zastąpi dokumenty ślubne. Wyjaśnił *Erbgesundheitsgesetz*, nazistowską ustawę o zapobieganiu urodzeniu dziedzicznie obciążonego potomstwa.

– Nie ma żadnych pomyłek? – zapytałem. – Czy nie ma osób niepożądanych, które i tak mają dzieci pomimo prawa? Czy możecie kontrolować biologiczne popędy narodu?

– Ależ my nie chcemy kontrolować ani tłumić biologicznych popędów! – wykrzyknął dziarsko. – Wręcz przeciwnie, staramy się je podsycać, gdzie możemy. Ale niedługo w Niemczech nie będzie już słabych, upośledzonych umysłowo, chorych dzieci!

(...) Niepożądani, niedorozwinięci, cierpiący na nieuleczalne choroby, nawet ci o buntowniczym usposobieniu nie będą już mieli dzieci – wyjaśnił. Takie było życzenie Führera, a młode Niemcy wykonywały jego rozkazy. Zastanawiał się przez chwilę, a potem zapytał, czy nie chciałbym zobaczyć, co ma na myśli. Oczywiście chciałem.

Niedługo w Niemczech nie będzie już słabych, upośledzonych umysłowo, chorych dzieci.

– Ma pan mocne nerwy? – zapytał. (...) Przeszliśmy wzdłuż krętego brzegu wijącej się Sprewy i doszliśmy do Friedrichstraße, głównej ulicy handlowej starego Berlina. Po drugiej stronie znaleźliśmy Ziegelstraße.

– Tutaj – powiedział mój nazistowski przewodnik, wchodząc do jednego z sąsiednich ceglanych budynków. – Oto miejsce, gdzie dowodzimy, że nasze zainteresowanie dziećmi zaczyna się przed ich urodzeniem. To jest *Frauenklinik*, szpital miejski dla kobiet.

Jego czarny mundur SS otwierał wszystkie drzwi. W małej szatni założyliśmy chirurgiczne fartuchy. Weszliśmy po schodach na galerię na piętrze, oddzieloną od owalnej, dobrze oświetlonej sali operacyjnej szklaną ścianą. Poniżej ciężko pracowało sześciu lekarzy.

Muszę przyznać, że od tego, co zobaczyłem, na jakiś czas krew odpłynęła mi z twarzy. Szpitalne łóżka wjeżdżały i wyjeżdżały z metodyczną

precyzją. Lekarze robili szybkie, zręczne nacięcia na białych powłokach brzusznych, rozszerzali je i zakładali kleszcze chirurgiczne. Grzebali chwilę, delikatnie wyjmowali rurkę, którą zawijali i przecinali. Rana zostawała zaszyta, a ciało odjeżdżało, by zastąpić je kolejne.

– Co oni robią? – spytałem.

Poinformował mnie, że robią to, co Trzecia Rzesza musi robić, jeżeli Niemcy chcą mieć rasę superżołnierzy.

– Ci lekarze sterylizują kobiety – wyjaśnił.

Zapytałem, jaki typ kobiet podlega takiej dyscyplinie, i zostałem poinformowany, że były to kobiety chore umysłowo, o niskiej odporności, kobiety, które podczas innych porodów dowiodły, że ich potomstwo nie jest silne. Były to kobiety z defektami.

– W Trzeciej Rzeszy eliminujemy nawet daltonizm

– powiedział mój przewodnik z SS.

– Nie możemy mieć żołnierzy,

którzy nie rozróżniają kolorów. Przenoszą to tylko kobiety.

Po dalszych pytaniach przyznał, że niektóre z kobiet są sterylizowane, ponieważ zaliczają się do wrogów Państwa. Wiele z nich powinno być w obozach koncentracyjnych.

– To niehumanitarne trzymać kobiety w obozach koncentracyjnych – stwierdził. – Ale wysterylizowana kobieta traci zainteresowanie polityką, szczególnie jeżeli inne kobiety wiedzą, że została wysterylizowana. A my pilnujemy, by się dowiedziały.

Nie mógł mi powiedzieć, ile rocznie sterylizuje się kobiet, ale wiedział, że w tej konkretnej klinice sześciu lekarzy operowało przez cztery dni w tygodniu. Proces ten odbywał się we wszystkich większych niemieckich miastach od roku 1933.

– Kto decyduje o sterylizacji kobiet? – spytałem.

Do zacytowania jego odpowiedzi nie potrzebuję notatek. Wryła mi się w pamięć.

Adolf Hitler składa wizytę w narodowo-politycznym zakładzie wychowawczym w Grazu, 1941 r.



– Mamy sądy, mój drogi *Herr Direktor* Ziemer. Mamy sądy. Wszystko odbywa się bardzo legalnie, zapewniam pana. Mamy prawo i porządek. (...)

Ponownie ujrzałem przykład wpływu, jaki w nazistowskich Niemczech Partia wywiera na dzieci przed narodzeniem, kiedy odwiedziłem domy NSV dla przyszłych matek, zamężnych i niezamężnych.

NSV (Nationalsozialistische Volkswohlfahrt, Narodowosocjalistyczna Ludowa Opieka Społeczna) to krajowa armia Hitlera. Jest zorganizowana niczym regularne wojsko, ze specjalnymi mundurami i insygniami. To odpowiednik Czerwonego Krzyża. Zapewnia żywność dla mas w czasach wojny, opiekuje się rannymi żołnierzami, izoluje choroby zakaźne, zarządza nazistowską Pomocą Zimową, wysyła dzieci na wieś na wakacje, nadzoruje ewakuacje, prowadzi biura informacyjne dla matek, zapewnia place zabaw. Jest finansowana z tzw. dobrowolnych wpłat i funduszy Partii, głównie z tych ostatnich. Jednym z jej najważniejszych projektów jest Dzieło Pomocy Matce i Dziecku (*Hilfswerk Mutter und Kind*).

W Niemczech utrzymywanych jest ponad 60 domów dla matek i dzieci, funkcjonujących przez cały rok. Przyszłe matki, dziewczęta w nieślubnej ciąży, mają tu zapewnioną opiekę na koszt Państwa. (...) Kobiety nie zajmowały się tu pracami domowymi, nie przygotowywały posiłków, lecz

– poza tym, że pewną liczbę godzin poświęcały na wykłady z ideologii nazistowskiej – mogły cały dzień wylegiwać się na trawie lub piasku, jeżeli tylko chciały. (...)

Najbardziej typowy był dom niedaleko małej wioski w górach Harz, wśród sosen i jezior – Bad Sachsa. Duży, drewniany, trzypiętrowy budynek był kiedyś luksusowym hotelem zarządzanym przez Żyda, który teraz siedział w obozie koncentracyjnym Sachsenhausen. Nad budynkiem wesoło powiewała flaga ze swastyką. (...)

Mojego przybycia oczekiwano. Zarządzająca placówką matrona w średnim wieku powitała mnie zwyczajowym *Heil Hitler*. Powiedziałem jej, że szczególnie interesuje mnie to, co Partia robi dla kobiet mających urodzić państwowe dzieci (dawniej określane jako dzieci nieślubne).

Zostałem poinformowany, że domowi najbardziej zależało na przyjmowaniu takich dziewcząt. Zasługują one na szczególne uznanie i szczególną opiekę za zapewnienie Państwu dziecka. Według przełożonej niektóre z tych dziewcząt wciąż spotykały się z głupim i niesprawiedliwym pośpiechem ze strony krewnych. W rezultacie cierpiały z powodu *Hemmungen* (braków duchowych). Przez takie cierpienia nie mogły urodzić dobrych superdzieci. Ale w domach NSV znajdowały spokój i ciszę – Partia płaciła rachunki.

(...) Każda z dziewcząt podpisała oświadczenie, że ojciec jej oczekiwanego dziecka jest Aryjczykiem i cieszy się dobrym zdrowiem. Tylko tyle wymagano przy rejestracji.

Dziewczyna miała na imię Magda. (...) Wyjaśniłem, że jestem amerykańskim specjalistą od edukacji, zainteresowanym działaniem nazistowskich instytucji. Na jej twarzy pojawił się bardzo kobiecy uśmiech. Czy nie było trochę za wcześnie, by przychodzić do niej w sprawach edukacji?

– Nie – przerwała przełożona. – Jestem pewna, że dziecko Magdy będzie bardzo dobrym nazistą.

Wtedy udało mi się zajrzeć pod maskę tej przyszłej młodej matki, noszącej nieślubne dziecko. W jej oczach błyszczał fanatyzm, który był intensywny, wszechogarniający. Odpowiedź należała do tych, których nie musiałem zapisywać, by je zapamiętać:

– Moje dziecko będzie należało do Państwa. Sprowadzam je na świat, bo on mnie o to poprosił. – Mówiła oczywiście o Hitlerze.

(...) Magda przyglądała mi się z namiętnością i uznała, że cudzoziemcowi musi być trudno zrozumieć, jak czują się Niemki. (...)

– Rodzimy dzieci dla Państwa i dla Adolfa Hitlera, który uosabia Państwo – powiedziała. – Czyż nie jest to znacznie szlachetniejsze, ważniejsze i o wiele wspanialsze niż posiadanie domu i męża?

W oczach miała ogień. Wyraziła nadzieję, że jej dziecko będzie chłopcem. Pragnęła, by wyrósł i wstąpił do Hitlerjugend, a potem do elitarnych oddziałów, SS. Kiedy spytałem, czy nie boi się rodzić dziecka, usiadła i udzieliła odpowiedzi w sposób tak dobitny, że dokładnie pamiętam każdą sylabę:

– Czy się boję? Czy boję się urodzić dziecko? Wie pan, na co mam nadzieję? Mam nadzieję czuć ból, dużo bólu, gdy moje dziecko będzie przychodziło na świat. Chcę czuć, że przechodzę przez prawdziwą mękę, dla Führera! (...)

Zakończyłem wywiad, życząc jej i jej dziecku szczęścia i zdrowia.

– *Heil Hitler!* – odpowiedziała. – Od nas obojga!

Spędziłem resztę dnia w tym domu. 50 młodych kobiet radośnie opowiadało o błogosławieństwach zesłanych na nie przez Führera. ►

► Błogosławieństwa te, otaczające je ze wszystkich stron, miały całkiem materialny wymiar w formie świeżego powietrza, słońca, śpiewu ptaków, chmur, wonnego wietrzyku. Były także inne dobrodziejstwa. Jedzenie przyniesione na obiad było obfite, składało się z wielkich mis ziemniaków, gulaszu, stosów warzyw. Nawet pojawienie się masła i białego chleba nie spowodowało zaskoczenia. Najwyraźniej te nazistowskie matki miały status równy wojsku i jadały równie dobrze. Ale błogosławieństwo wypowiadane nad jedzeniem było nowym rodzajem modlitwy. Gdy pielęgniarki w bieli podały jedzenie, wszyscy zwrócili się w stronę ściany, gdzie wisiał imponujący portret Hitlera nad wielką swastyką, kobiety uniosły prawe ręce i powiedziały chórem: „Nasz Führerze, dziękujemy ci za twoją hojność, dziękujemy ci za ten dom, dziękujemy ci za to jedzenie. Tobie poświęcamy wszystkie nasze siły (*Kräfte*), tobie poświęcamy życie nasze i naszych dzieci!“. (...)

Co ranka kobiety słuchały godzinnego wykładu o tym, co naprawdę oznacza nazizm. Po powrocie do domu stawały się najwytrwalszymi działaczkami w swoich społecznościach. A Partia zachowywała także pełne dane o dzieciach. Dzieci kobiet, które były w domach NSV, pozostawały pod opieką NSV. Przedstawiciele organizacji regularnie je odwiedzali i podtrzymywali kontakt.

– Dbamy o bezpieczeństwo dzieci dla Hitlera, dopóki w wieku sześciu lat nie przejmą ich szkoły – podsumowała przełożona ten etap swojej pracy. Wyjaśniła interpretację współżycia płciowego według NSV. Cała koncepcja poczęcia i rodzenia dzieci została przez Trzecią Rzeszę przeniesiona na zupełnie inny poziom. Spółkowanie było problemem biologicznym. Szkolenia oferowane w domach pomagały matkom i dziewczętom zrozumieć, jak niezbędne dla ich zdrowia były częste intymne uściski z mężczyznami.

– Wiemy ze statystyk, że większość kobiet, które stąd wychodzą, ponownie zachodzi w ciążę w dość krótkim



Ośrodek Lebensborn, 1943 r.

czasie – powiedziała, według moich notatek. – Kilka tygodni z dała od ich mężczyzn, codzienne wykłady na tematy płciowe, stymulująca literatura, którą dajemy im przy odjeździe, wszystko to pomaga w podniesieniu dietności. I to jest nasza ambicja: podniesienie dietności. (...)

Mój przyjaciel w głównym biurze NSV zorganizował dla mnie spędzenie dnia na towarzyszeniu jednej z sióstr z NSV podczas jej obchodu w Berlinie. *Fräulein* Knoblauch była już dojrzała w latach, ale nie mniej fanatyczna niż młode kobiety. Na ramieniu miała oficjalną opaskę z insygniami NSV. Bez skrępowania wyjaśniła mi, że insygnia NSV to symbol poczęcia. Ponowne przyjrzenie się ułożonym w skomplikowany wzór literom, z ich przecięcia, kragłościami i rozsuniętymi nóżkami, kazało mi się z nią zgodzić.

Plan panny Knoblauch na ten dzień obejmował wizyty u czterech kobiet, z których wszystkie były kiedyś w gościnie w domu matki i dziecka w Fürstenbergu, niedaleko Berlina. Dzieci były już na tyle duże, że należało rzucić na nie okiem. Nazwiska na liście brzmiały: Fricke, Dehnicke, Strecker i Zeidler i reprezentowały niezamożne rodziny rozrzucone w różnych częściach wielkiego miasta. Uprawiały różne zawody.

Pierwszy adres był w dzielnicy Wedding Platz, która zastępowała

w nazistowskiej historii z krwawych potyczek komunistów z nazistami. Mieszkanie było czyste, ale biednie umeblowane. Jasnowłosa matka wydawała się zdenerwowana. Przy jej boku stał młodyzieniec, którego panna Knoblauch miała zbadać. Był także jasnowłosy, pulchny i czysto odziany. Stał wyprostowany jak struna, przyglądając nam się jasnymi, błękitnymi oczyma.

– Co się mówi? – przypomniała mu matka.

Pulchna prawa rączka dziecka uniosła się, chłopczyk zdołał wykonać gest stukania obcasikami, po czym zapisał:

– *Heil Hitler.*

Siostra bardzo energicznie odpowiedziała na

pozdrowienie.

– *Sehr gut.* Bardzo dobrze – orzekła. Potem zapytała chłopca, czy wie, kto to jest Hitler.

– Hitler to nasz ukochany *Führer* – odpowiedział starannie chłopiec, usiłując nie popełnić błędów w wyuczonych na pamięć słowach.

– Zgadza się. Wszyscy kochamy naszego *Führera*, prawda?

– Wszyscy kochamy naszego *Führera* – powtórzył bez przekonania.

– Musisz wyrosnąć na dużego chłopca, żebyś mógł walczyć za *Führera* – kontynuowała siostra Knoblauch.

Ale chłopiec wcale nie trzymał się scenariusza.

– Nie lubię walczyć – padła nieoczekiwana odpowiedź.

Siostra była szczerze zaszokowana i spojrzała na matkę oskarżycielsko. Cierpliwie wyjaśniła chłopcu, że wszyscy chłopcy Hitlera muszą za niego walczyć. Wszyscy muszą wyrosnąć na dobrych żołnierzy.

– Czy jestem dobrym żołnierzem? – spytał.

– Oczywiście, że jesteś – zapewniła. – Jesteś żołnierzem Hitlera. Dorośniesz i będziesz walczył za *Führera*. A wtedy dostaniesz karabin i nauczysz się strzelać, żebyś mógł bronić matki.

Młoda matka powinna być tym zachwycona. Nie była. Uśmiechnęła

się jednak dzielnie, gdy dostrzegła bawdawcze spojrzenie siostry. (...)

Siostra Knoblauch zarzucała matkę pytaniami. Chciała wiedzieć, jak często rozmawiała ze swoim czteroletkiem o Hitlerze i Hitlerjugend. Robiła czytelne aluzje, że rodzice, którzy zaniedbują intensywne i stałe uczenie swoich dzieci ideologii nazistowskiej i którzy nie rozbudzają w nich bojowego ducha, nie są dobrymi Niemcami.

Pojechaliśmy kolejką miejską do Grunewald, kiedyś najbardziej pretensjonalnej dzielnicy Berlina. (...) Przez kraty widziałem trójkę bawiących się małych dzieci. Siostra Knoblauch wcisnęła dzwonek i poprosiła najstarsze z nich, czteroletnie, o zwolnienie zamka od środka.

– Jesteście same? – spytała.

Chłopiec powiedział, że jego mama wyszła na targ. Siostra zwróciła się do mnie:

– Czasami nawet lepiej, że rodziców nie ma w domu. Więcej się dowiadujemy.

Kazała chłopcu na chwilę przerwać zabawę.

Znacznie mniejszy entuzjazm okazała przy naszym kolejnym przystanku, po zachodniej stronie, przy HeerstraÙe.

Najwyraźniej tu sprawy straciły rytm. Matka, szczupluta i młoda, była blada. Powitała nas apatycznie. Siostra Knoblauch zażądała, by pokazała swoją córeczkę. Matka wpatrywała się w nas. Wstrzymałem oddech, bo w powietrzu unosił się dramat.

– Moją dziewczynkę? Nie żyje. Umarła w zeszłym tygodniu – odpowiedziała.

Siostra Knoblauch wydawała się zdumiona. Potem się rozżoÙciła. Groźnym tonem spytała, dlaczego NSV nie zostało poinformowane o tej śmierci, jak nakazywały zasady. Matka podniosła wzrok, nieopisanie zmęczona. Ale siostra już nabrała rozpędu. Powtórzyła, że w przypadku śmierci miejscowe NSV musi zostać natychmiast zawiadomione. Ani słowa kondolencji, ani słowa współczucia, nawet pytania o przyczynę śmierci. Tylko pretensje za nieprzestrzeganie zasad. (...) Siostra Knoblauch rozpoczęła surowy wykład, w którym radzi-

niższych piętach, starsze na wyższych. Wyszukani nazistowscy *Erzieher* zapewnili im najlepszą możliwą opiekę. Partia zapewniała jedzenie, rozrywkę, flagi, obrazki, nadzór i specjalne uniformy dla wszystkich, także dla sześciomiesięcznych dzieci. (...)

Miałem okazję porozmawiania z nazistowską przełożoną pielęgniarzek. Otwarcie i z radością udzielała mi informacji o doskonale działającym żłobku. Partia nie szczędziła wysiłków i pieniędzy na to, by instytucja stała się ważnym trybikiem w systemie. Oczywiście przyjmowała tylko zdrowe dzieci, a także takie, których rodzice byli pochodzenia czysto aryjskiego, co udowadniali za pomocą swoich *Ahnenschein*, czyli wykresów genealogicznych. Rodzice musieli podpisać zgodę na to, by podczas przebywania w żłobku dzieci były pod wyłączną jurysdykcją Partii. Partia mogła z nimi postępować, jak uważała za stosowne.

Według pielęgniarki Partia opracowała całościowy program wychowania tych dzieci w ideologii nazistowskiej. Nauczyciele i pielęgniarki kończyli specjalne szkoły NSV, gdzie otrzymywali szczegółowe wskazówki, jak prowadzić lekcje zaplanowane przez Partię. Wyjaśniła, że dzieci były wychowywane w bezwzględnej karności i absolutnym posłuszeństwie oraz dokładnie poznawały *Führerprinzip*. Uczyły się czcić Führera i patrzeć na niego jak na zbawcę Niemiec. Ich umysły były zbyt niedojrzałe, by pojąć wszystkie jego wielkie osiągnięcia, ale żadne dziecko nie opuszczało instytucji, nie dowiedziawszy się, że Hitler to nadczłowiek i tylko on jest w stanie ocalić Niemcy przed wrogami.

Tłumaczyła, że w główkach małych chłopców zasiewano pierwsze wielkie pragnienie, by zostać żołnierzami Hitlera, u dziewczynek zaś rozwijano pierwsze instynkty macierzyńskie od chwili, gdy zaczęły się bawić w dom albo tulić lalki. (...)



Fragmenty książki Gregora Ziemera *Jak wychować nazistę. Reportaż o fanatycznej edukacji*, przeł. Anna Dorota Kamińska, Znak Literanova, Kraków 2021

W Trzeciej Rzeszy eliminujemy nawet daltonizm. Nie możemy mieć żołnierzy, którzy nie rozróżniają kolorów.

– Czy to twój brat i siostra?

Dzieciak był śniady, szczupły, ubrany tylko w niemieckie robocze spodnie na szelkach.

– Mama mówi, że jak tylko będziemy mieć następnego braciszka albo siostrzyczkę, nie będziemy musieli martwić się już o *Darlehen*.

Darlehen, wyjaśniła mi siostra, to pieniądze, które Partia pożyczyła rodzicom, kiedy brali ślub. Czwarte dziecko unieważniało dług.

– Kim chcesz być, kiedy dorosniesz? – spytała chłopca.

– Będę Sturmtruppenleiterem – odpowiedział.

– Na pewno będziesz! Twój oddział będzie najlepszy w całym kraju – zachęcała go.

– Poprowadzę swoich żołnierzy do walki z tymi wstrętnymi Polakami – ciągnął czterolatek, stojąc wyprostowany i przemawiając niczym miniaturowy sierżant. – A mój braciszek zostanie pilotem. Prawda? (...)

– Czyż to nie cudowne? – spytała siostra. – Tu wszystko jest w porządku. Możemy iść.

Ła kobiecie, by zapomniała o jakiejś tam dziewczynce i urodziła kolejne dziecko, wiele dzieci, jak najszybciej. Wtedy zapomni o kłopotach. Kobiety Trzeciej Rzeszy nie mają czasu na głupie sentymenty. Mają pracę do wykonania. (...)

Byłem już w pełni przekonany, że system Hitlera faktycznie obserwuje dzieci, póki nie przejmą tego zadania szkoły. Siostra Knoblauch wspomniała w rozmowie o nazistowskich przedszkolach, *Kindertagesstätte*. Wiedziałem, że są to instytucje, gdzie pracujący rodzice mogli zostawić małe dzieci i mieć pewność, że nie tylko będą one tam bezpieczne, z dachem nad głową i jedzeniem, ale że zostaną także zaprowadzone za rączkę do ołtarza Hitlera, by tam oddawać mu cześć. Odwiedziłem kilka z nich. (...) Ta berlińska instytucja znajdowała się w przebudowanej fabryce należącej kiedyś do Żyda. Wszędzie widoczny był system prawdziwej nazistowskiej organizacji. Dzieci zostały starannie rozmieszczone: najmniejsze na

Nowa twarz Ameryki

Coraz bardziej niejednoznaczna – taka jest dziś populacja USA

Mateusz Mazzini

Na wyniki ubiegłorocznego spisu powszechnego komentatorzy polityczni, naukowcy akademicki i dziennikarze czekali prawdopodobnie w większym napięciu niż na ostateczny rezultat wyścigu o prezydenturę. Koniec końców decyzja o wyborze nowej (lub utrzymaniu starej) głowy państwa często ma konsekwencje tymczasowe, z punktu widzenia zwłaszcza nauki kompletnie nietrwałe, rzadko też tak naprawdę wpływa głęboko na strukturę społeczeństwa lub ogólne jego postawy. A nawet jeśli tak się dzieje, to zmianę widać najczęściej po dłuższym czasie. Spis powszechny jest pod tym

się jako biali. Chociaż nadal matematycznie stanowią oni ponad połowę mieszkańców kraju – 57,8% – widać w tej w grupie wyraźną tendencję spadkową. Co więcej, wydarzyło się to po raz pierwszy w historii przeprowadzania spisów powszechnych, a więc od 1790 r. Oczywiście w tym miejscu należy przypomnieć, że przez zdecydowaną większość tego okresu w spisie nie uwzględniano ani członków plemion indiańskich, ani czarnoskórych Amerykanów, bo nie byli oni obywatelami kraju, niemniej jednak nawet już po zdobyczach rewolucji lat 60. i 70. biali zawsze rośli liczbowo dzięki imigracji i sile przyrostu naturalnego. Teraz jest ich mniej, co na konserwatywnej scenie komentatorskiej przyjęto jako zwiastun rychłej zagłady.

mowy symbolicznej. „Klasyczny” w tym kontekście oznacza bowiem po prostu „biały”.

Z kolei wśród polityków Partii Demokratycznej, zwłaszcza tych, którzy sami mają mieszane pochodzenie etniczne, zapanowała euforia. Gwiazdy lewego skrzydła partii, z Alexandrią Ocasio-Cortez i Ilhan Omar na czele, podkreślały, że amerykański naród zmienia twarz, co musi znaleźć odzwierciedlenie w krajowej polityce. Czas najwyższy, by decyzje zapadające w Kongresie brały pod uwagę współczesną różnorodność elektoratu. Przede wszystkim jednak apelowały o porzucenie szkodliwych i nieprzystających już do rzeczywistości kategorii, takich jak „elektoraty mniejszości etnicznych”, głównie z powodu ich własnej interpretacji tego samego argumentu, który miał panikę na prawicy – że biała większość w Ameryce za chwilę stanie się kategorią co najwyżej historyczną.

Jak to jednak często bywa w przypadku skomplikowanych badań socjologicznych i demograficznych, rzeczywistość jest znacznie bardziej złożona. Wykracza poza zwykły podział na białych i niebiałych, głównie z tego powodu, że w ten binarny podział nie chcą się wpisywać sami Amerykanie.

Najważniejszym wnioskiem z ubiegłorocznego spisu powszechnego, przynajmniej w kategoriach etnicznych, jest bowiem znaczący wzrost odsetka mieszkańców USA, którzy identyfikują się jako należący do więcej niż jednej grupy etnicznej. Innymi słowy, osób, które w kwestionariuszu zaznaczyły dwie, trzy lub więcej odpowiedzi, jest dzisiaj w Stanach ponad 13,5 mln, co stanowi ponad 4% całej populacji. W tym miejscu pojawia się zresztą pierwszy przypis dotyczący prawicowej historii. Bo, jak zauważa prof. Richard Alba, badacz z City University of New York, jeśli zsumować tych Amerykanów, którzy uważają się za białych, z tymi, którzy czują przynależność do białych i jeszcze innej kategorii

Białych wciąż najwięcej, a ich przewaga nad pozostałymi grupami nawet rośnie. Dzisiaj jest ich 61,5%.

względem narzędziem całkowicie odmiennej wagi. Przeprowadza się go raz na dekadę, co samo w sobie potęguje jego wymowę. Bierze się w nim pod uwagę ogromną liczbę różnych cech społeczeństwa, często odzwierciedlanych później w preferencjach wyborczych. To spis powszechny daje bliższą, choć oczywiście wciąż niekompletną, odpowiedź na pytanie, kim są dzisiaj Amerykanie: jako naród, jako społeczeństwo, ale również jako jednostki.

Nic dziwnego, że po upublicznieniu kluczowych danych po obu stronach polityczno-medialnej barykady podniósł się krzyk. U liberałów był to najczęściej krzyk radości, u konserwatystów bicie na alarm. Wszystko z powodu płynącego z badania wniosku, nawet jeśli bardzo uproszczonego, że zwiększa się multietniczność amerykańskiego społeczeństwa. Na prawicy, firmowanej logiem Fox News i kilkoma twarzami wiodących republikańskich kongresmenów, rozpaczano, że gwałtownie spada odsetek obywateli USA identyfikujących

Tucker Carlson, jeden z głównych publicystów Fox News, posunął się do odkrycia w tym teorii spiskowej, uznając na wizji, że wzrost niebiałej populacji to celowe działanie obecnej i poprzednich administracji Partii Demokratycznej, która w tych osobach widzi szansę na zwiększenie swojej bazy wyborców.

Z kolei Newt Gingrich, były republikański przewodniczący Izby Reprezentantów i wciąż jeden z najbardziej wpływowych polityków prawicy, wyższe niż poprzednio odsetki czarnoskórych i Latynosów w amerykańskiej populacji uznał za zagrożenie dla tradycji całego narodu. Jego zdaniem ludzie ci „nie wiedzą nic o amerykańskiej historii i zwyczajach”, a nawet, co dość intrygujące, o zasadzie praworządności. Do kraju ściąga ich „antyamerykańska lewica”, która chce przy ich pomocy „utopić klasycznych Amerykanów”, mówił na antenie Fox Business. Nie trzeba być obeznanym z metodami badań socjologicznych, by w tej ostatniej wypowiedzi Gingricha doszukać się



Amerykę czeka wielka redefinicja pojęć, i to nie tylko tych, które odnoszą się do koloru skóry.

etnicznej, to łącznie w grupie tej widać tendencję wzrostową względem poprzedniego badania. Krótko mówiąc, białych nie tylko jest wciąż najwięcej, ale ich przewaga nad pozostałymi grupami nawet rośnie. Obecnie jest ich 61,5%. Wszystko, mówi Alba, rozbija się więc o definicję tego, co oznacza bycie białym.

Oczywiście Tucker Carlson i jego komentatorsko-polityczna kohorta będą optować, dosłownie lub w sposób eufemistyczny, za pełną czystością rasową, ale ich ideologiczna interpretacja wyników spisu powszechnego stoi w sprzeczności z faktami. Biali w USA nie są zagrożeni i długo jeszcze w tej pozycji się nie znajdą.

Równie ciekawe wnioski płyną z analizy odpowiedzi tych, którzy uznają się za osoby pochodzenia latynoskiego – ich w Stanach Zjednoczonych przybywa najszybciej. Podczas gdy Afroamerykanie, przynajmniej proporcjonalnie, utrzymali się na tym samym poziomie co dekadę temu (mniej więcej 12% populacji), to Latynosów jest ponad 18,7%. Prawie co piąty obywatel Stanów Zjednoczonych identyfikuje się więc z tą kategorią etniczną. Żeby jednak dobrze oddać złożoność tego zjawiska, należy znów wyjść poza proste, jednorodne sformułowania. Jak zauważa Nate Silver, jeden z najbardziej znanych amerykańskich statystyków,

założyciel serwisu dziennikarskiego opartego na danych FiveThirtyEight, analiza demograficzna Amerykanów pochodzenia latynoskiego jest szczególnie trudna, bo wielu z nich deklaruje inną przynależność etniczną, niż dyktowałoby to ich pochodzenie – nie ujawniają swoich korzeni, w spisach powszechnych zaznaczając często po prostu „biały”. Dzieje się tak zwłaszcza w stanach południowych i bardziej konserwatywnych, takich jak

w jego historii. W przeciwieństwie do Afroamerykanów, którzy, choć dyskryminowani, w historii USA obecni są dużo dłużej i wyraźniej. Prowadzą też znacznie bardziej medialną walkę o swoje prawa, kwestia marginalizacji czarnoskórych Amerykanów stała się w ostatnich latach przedmiotem dyskusji właściwie na całym świecie. Latynosi, choć również spychani na rubieżę społeczeństwa, o taką uwagę muszą wciąż mocno walczyć.

Znacznie wzrósł odsetek mieszkańców USA, którzy identyfikują się jako należący do więcej niż jednej grupy etnicznej.

Teksas czy Floryda. Silver dodaje, że ma to wyraźne odzwierciedlenie w wynikach wyborów. Donald Trump, który przez całą kadencję uprawiał politykę antyimigrancką, miejscami wręcz otwarcie rasistowską, w 2020 r. wśród amerykańskich Latynosów poradził sobie lepiej niż prezentujący znacznie bardziej koncyliacyjny punkt widzenia Joe Biden.

Hipotezy na temat „wybielania się” Latynosów w USA są już liczne w dziesiątkach, żadna nie zyskała jeszcze pozycji dominującej, ale wiele z nich wychodzi ze wspólnego założenia. Grupa ta wciąż widzi siebie jako mniejszość nie do końca przynależącą do amerykańskiego narodu, niemającą swojego miejsca

Apokaliptyczne wizje amerykańskiej przyszłości demograficznej nie są niczym nowym – pojawiają się praktycznie co chwilę przynajmniej od kilkunastu lat. Punktem zwrotnym był rok 2008 r., symboliczny z dwóch powodów. Wtedy Stany wybrały pierwszego niebiałego prezydenta, a federalni demografowie ogłosili prognozę, która stała się matką wszystkich prawicowych fantazji: do 2045 r. USA będą krajem „większości mniejszości”. Oznacza to, że żadna grupa etniczna nie będzie stanowić więcej niż połowy populacji kraju. Amerykę czeka zatem wielka redefinicja pojęć. I to nie tylko tych, które odnoszą się do koloru skóry.

m.mazzini@tygodnikprzeгляд.pl

Tomasz Skowronek

Greckie wyspy na drodze do ekologii

Inwestując miliardy euro, grecki rząd chce realizować projekty przyjazne dla klimatu

„Chalki staje się symbolem Grecji, której pragniemy po pandemii”, podkreśla z entuzjazmem grecki minister środowiska Kostas Skrekas. Dzięki francusko-greckiemu porozumieniu podpisanemu 2 lipca przez rząd, gminę, producenta samochodów Citroën oraz francuskie firmy Vinci Energies i Akuo Energy położona na zachód od Rodos wyspa archipelagu Dodekanez powinna uzyskać samowystarczalność energetyczną.

Projekt, finansowany zarówno przez firmy, jak i z wykorzystaniem funduszy europejskich, przewiduje montaż paneli fotowoltaicznych o mocy 1 MW, co pokryje większość potrzeb energetycznych wyspiarzy. Ponadto na Chalki mają przewozić pojazdy elektryczne, punktów ładowania ma być dużo, a system oświetlenia publicznego ma zużywać mało energii. W programie jest również sortowanie i recykling odpadów, a także zaopatrywanie hoteli i restauracji w produkty ekologiczne.

Jak zauważa Skrekas w rozmowie z „Le Monde”, „korzyści dla mieszkańców wyspy będą znaczne, ponieważ będą oni się cieszyć lepszą jakością życia i niższymi kosztami energii. Chalki stanie się nowym modelem ekoturystyki i wyspą, która może przyciągnąć cyfrowych nomadów”. Docelowo ok. 220 greckich wysp ma działać, opierając się na paliwach niekopalnych, i stać się w pełni ekologicznymi.

Pionierem i jednocześnie wzorem dla śródziemnomorskich wysp jest Tilos na Morzu Egejskim – pierwsza wyspa na świecie, która stała się całkowicie niezależna energetycznie dzięki wykorzystaniu wyłącznie odnawialnych źródeł energii. Zbudowano tam elektrownię hybrydową zdolną magazynować energię, dzięki

Na Chalki mają przewozić pojazdy elektryczne.

czemu Tilos staje się przykładem dla innych odizolowanych społeczności, które chcą być ekologiczne.

Wyspy od dawna są ośrodkami eksperymentów nad nowymi technologiami energetycznymi, ponieważ zwykle brakuje tam zasobów paliw kopalnych. Orkady u wybrzeży



Na Astypalei mieszkańcy i turyści będą mogli wypożyczyć 200 samochodów elektrycznych.

Szkocji są zasilane energią wiatru i pływów, podczas gdy na Fidżi budowana jest największa farma słoneczna na Pacyfiku.

Tilos leży pomiędzy popularnymi wśród turystów wyspami Kos i Rodos. Jej 500 stałych mieszkańców utrzymuje się z rybołówstwa i hodowli kóz. Latem populacja wzrasta do ok. 3 tys. osób wraz z przybyciem pracowników sezonowych i urlopowiczów.

Podmorski kabel łączy Tilos i sąsiednie wyspy z elektrownią na olej napędowy na Kos, ale przy sztormowej pogodzie zdarzają się przestoje. Za każdym razem, gdy kabel był poważnie uszkodzony, państwowa firma energetyczna PPC wysyłała technikę, aby ręcznie uruchomił

starą elektrownię wysokoprężną na wyspie.

Maria Kamma-Aliferi, burmistrzynie Tilos, mówi, że elektrownia hybrydowa znacząco poprawiła jakość życia na wyspie, chociaż latem nadal zdarzają się awarie. „Przerwy w dostawie prądu frustrowały. Bywało, że zostawaliśmy bez telewizji i ciepłej wody, a cała elektronika była wyłączona. Turyści nie narzekali na ten stan rzeczy, ale to żenujące dla greckiej wyspy w XXI w., że nie ma prądu”, przyznaje.

Elektrownia hybrydowa wytwarza energię elektryczną zarówno z turbin wiatrowej, jak i z małego panelu słonecznego zainstalowanego w pobliskiej dolinie. Nadwyżka energii jest magazynowana w dwóch akumulatorach o wysokiej gęstości energii, z których każdy mieści się w przeszło sześciometrowym kontenerze transportowym.

Tilos zajęła w tym roku trzecie miejsce, po wyspie duńskiej i hiszpańskiej, w europejskim konkursie o nagrodę RESponsible Island i zdobyła 100 tys. euro za swoją transformację energetyczną. „Tilos dała przykład i jest to rozwiązanie dla małych wysp naszego kraju – mówi dumnie Maria Kamma-Aliferi, dodając: – Wszyscy mieszkańcy są zwycięzcami, koszty energii zmalały i jest mniej przerw w dostawie prądu niż wcześniej”.

Grecja przez długi czas nie wykorzystywała w pełni energii odnawialnej. Głównie z braku spójnego planowania i z powodu przeświadczenia,

pojazdów elektrycznych do użytku tamtejszym służbom publicznym, m.in. policji, pogotowiu, straży przybrzeżnej, na lotnisku. Mieszkańcom zaś będzie je sprzedawać po kosztach własnych przez cały rok. W zamian rząd zwiększył dotacje dla wyspiarzy na zakup samochodów elektrycznych i zbuduje hybrydową elektrownię słoneczno-wiatrową, która zastąpi zanieczyszczające atmosferę generatory na olej napędowy. Na razie mieszkańcy i turyści będą mogli wypożyczyć 200 samochodów elektrycznych. Na całej wyspie zainstalowano już 12 ładowarek, a kolejnych 16 pojawi się wkrótce.

Tilos to pierwsza wyspa na świecie całkowicie niezależna energetycznie dzięki wykorzystaniu odnawialnych źródeł energii.

że przemysł paliw kopalnych jest jednym z filarów gospodarki tego kraju. Zmiany klimatyczne i zielone trendy na szczęście sprawiły, że greckie władze coraz przychylniej spoglądają na innowacyjne rozwiązania ekologiczne. Do 2030 r. państwo chce pokrywać jedną trzecią swojego zapotrzebowania na energię ze źródeł niekopalnych. Ateny mają również nadzieję, że odnawialne źródła energii przyciągną do Grecji inwestorów, którzy pomogą stanąć na nogi podupadłej gospodarce. W przyszłości wszystkie niezbędne pozwolenia na budowę farm wiatrowych powinni otrzymywać w ciągu 150 dni. Teraz w Grecji trwa to zwykle kilka lat.

Ostatnio europejska prasa zainteresowała się wyspą Astypalea. To tu do 2023 r. ma powstać system fotowoltaiczny o wydajności 3 MWh i system baterii, który będzie magazynował 7 MW energii elektrycznej. Systemy powinny pokrywać ponad połowę zapotrzebowania wyspy na energię elektryczną. Wraz z budową turbin wiatrowych do 2026 r. ponad 80% energii elektrycznej na Astypalei powinno być wytwarzane ze źródeł odnawialnych. Do tej pory to generator Diesla dostarczał energię elektryczną większości mieszkańców. Ale to nie wszystko, wyspa ma się stać pierwszym bezemisyjnym miejscem turystycznym w Grecji.

Zgodnie z umową między rządem a Volkswagenem producent samochodów przekazał kilka nowych

Rząd grecki chce również, aby do 2026 r. wszystkie autobusy na wyspie zastąpione zostały pojazdami bez kierowcy. Aby tak się stało, należy jednak zmienić infrastrukturę i w pełni wesprzeć ją technologią 5G. Jak zauważa brytyjski „The Economist”, na greckiej wyspie dojdzie do prawdziwego eksperymentu dotyczącego niskoemisyjnego życia. Jednocześnie naukowcy z Uniwersytetu Strathclyde w Szkocji i Uniwersytetu Morza Egejskiego w Grecji będą monitorować i systematycznie oceniać transformację Astypalei. Badanie skoncentruje się na mieszkańcach wyspy i ich postawach wobec transformacji.

Docelowo ok. 220 greckich wysp ma być w pełni ekologicznych, opierając się na paliwach niekopalnych.

Nie brakuje jednak głosów krytyki – nawet w samej Grecji. Opozycyjna partia Syriza skrytykowała kampanię reklamową Volkswagena na Astypalei. „To nie jest wyspa Volkswagena – przekonuje wiceminister ds. dyplomacji gospodarczej i otwartości Kostas Fragkogiannis. – Wszyscy producenci samochodów mogą się w to zaangażować i sprzedawać własne pojazdy”. Polityk zapewnia też, że „nie będzie wyłączości ani na Astypalei, ani na innych wyspach”. Greckie media podnoszą i to, że Volkswagen stara się odwrócić w ten

sposób uwagę od skandalu związanego z podrabianymi silnikami wysokoprężnymi.

„Polityka, biznes i społeczeństwo mają wspólną odpowiedzialność i wspólny interes w ograniczaniu zmian klimatycznych i ochronie dobrych warunków życia na tej planecie. Poza tym ochrona klimatu i mobilność bez emisji dwutlenku węgla nie oznaczają utraty jakości życia. Sprawiają, że życie jest zdrowsze, czystsze, łatwiejsze i wygodniejsze”, stwierdził w jednym z wywiadów Herbert Diess, dyrektor generalny Volkswagena.

„Astypalea będzie poligonem doświadczalnym zielonej transformacji: autonomicznej energetycznie i całkowicie zasilanej przez naturę”, podkreśla na konferencjach premier Grecji Kyriakos Mitsotakis. Z kolei podczas prezentacji memorandum o współpracy między rządem a niemieckim koncernem premier powiedział, że „Astypalea stanie się modelem zrównoważonego rozwoju, nie tylko na poziomie krajowym, ale także europejskim i globalnym. Może stanowić przykład tego, jak małe społeczności mogą skorzystać na radzeniu sobie ze starymi problemami za pomocą nowych rozwiązań”.

Gubernator regionu Morza Egejskiego Południowego George Hatzimarkos stwierdził z kolei, że „to historyczny moment, w którym rozpoczyna się bardzo ciekawa i obiecująca podróż. Projekt Astypalea jest kamieniem milowym dla regionu Morza Egejskiego i Grecji”.

„To, co wdramy tutaj, na Astypalei, to nic innego jak nowy początek. Brama do czystszej, bardziej ekologicznego i zrównoważonego świata”, mówił grecki premier podczas pobytu na wyspie w czerwcu tego roku, kiedy inicjatywa była prezentowana wraz z Volkswagenem. „Projekt Astypalea zaoferuje nam wiedzę i lekcje, które mamy nadzieję wykorzystać w przyszłości na szerszą skalę w całej Grecji i poza nią. Astypalea będzie laboratorium przyszłości do usunięcia z Europy węgla”, dodał.

Wiesław Kot

Twarz szczerą i otwartą jak kawał pola. Pszenna i rdzenna. A przecież potrafił z tej twarzy wykrzesać, co tylko chciał: wieśniaka, Babę Jagę, Papkina i czołgistę. Wiesław Gołas był ikoną tej Polski, która po wojnie wprost z Kielecczyny weszła do Sejmu, do teatru, do telewizji i do Bristolu. To był swojak, który umiał wziąć własny los za uzdę. Nigdy mu tego nie zapomnimy.

Wiesław Gołas to nieodrodny syn ziemi kieleckiej. W szkole szło mu średnio, zwłaszcza z matematyki. Kiedy po raz kolejny nie potrafił określić sumy kątów w trójkącie, matematyk zdenerwował się do tego stopnia, że z pasją huknął w tablicę. Tablica z łomotem spadła, a mały Wiesiek, żeby jakoś się odnaleźć w tej sytuacji, udał zemdłego. Nauczyciel dał się nabrać, a koledzy, widząc, że mu to tak świetnie wychodzi, prosili, by na zawołanie udawał albo rannego w boju, albo zastrzelonego. Nic więc dziwnego, że na Boże Narodzenie przeczytał w liście od Mikołaja: „Wiesiu, oj, Wiesiu, leniuszku mały, w zeszytach twoich dwójkę całe zwały. / Zamiast się uczyć, ciągle figlujesz, a zamiast słuchać, wciąż leniuchujesz”.

Niekiedy z tych szkolnych inscenizacji robił cały teatrzyk, np. podczas klasówki z łaciny ukradkiem rozkładał pod blatem na kolanach książkę od historii. Dopadał go łacinnik, cały szczęśliwy, że przytapał ucznia na ściąganiu, a kiedy okazywało się, że to książka od historii, machał zwiędzioną ręką i odchodził. I dopiero wtedy ucieknął Gołas brał ściągę i spisywał, ile się tylko dało. Gdy pani od angielskiego odpytywała klasę, ta wydelegowała Wieśka, żeby podszedł do katedry i bajerował panią profesor, a jednocześnie przypiął frontem do uczniów kartkę ze słówkami.

Ta łatwość inscenizacji pomagała mu, kiedy pod pseudonimem „Wilk” zajmował się drobnym sabotażem jako członek Szarych Szeregów w Kielcach. Chojrakował, liczył na swoje zdolności aktorskie i na łut szczęścia. Kiedy przenosił przewieszony na szyi, skryty pod jesionką pistolet automatyczny, potrafił się przewrócić pod samym nosem spacerującego Niemca, a ten litościwie postawił chłopaka do pionu, uśmiechając się

Chadzał w Polskę

Wiesław Gołas (1930-2021)



Wiesław Gołas w serialach „Kapitan Sowa na tropie”...

dobrodusznie. Za którymś razem jednak wpadł, trafił na gestapo, po przesłuchaniach wracał do celi siny od bicia. Niemcy wypuścili aresztowanych tuż przed nadejściem Rosjan i kiedy Wiesiek chciał podziękować za cudowne uwolnienie w kieleckiej katedrze, nie był w stanie zrobić kilku kroków, bo nogi mu się rozjeżdżały z wycieńczenia.

Na Gołasa

Przy pierwszym podejściu nie dostał się do szkoły aktorskiej. Z oczywistego powodu – w papierach stało, że ojciec to oficer sanacyjny, potem akowiec, a sam egzaminowany ma w karcie Szare Szeregi. I wtedy już było bez znaczenia, czy taki z talentem wyrecytuje przed komisją „Stepy akermiańskie”. Próbował jeszcze raz w szkole teatralnej, tym razem wygłosił „Panią Twardowską”, a tu Jacek Woszczerowicz, który widział w nim pewne zadatki, mówi, żeby przestał recytować. Niech raczej pokaże atmosferę pijaństwa, hulańek i swawoli. Tu Gołas był świetny, więc natychmiast został przyjęty. Potem już szło. Wielki „Zelwer” sadzał go na

podwyższeniu i mówił: „Kiedy stuknę laską raz, pan się śmieje. Kiedy stuknę w podłogę dwa razy, pan płacze.” Wywiązywał się natychmiast, na zawołanie i za każdym razem całkowicie szczerze. Na pamiątkowym zdjęciu ze spektaklu dyplomowego Gołas siedzi obok Jerzego Dobrowolskiego, a kawałek dalej Mieczysław Czechowicz i Franciszek Pieczka. Zresztą krzepki Pieczka, wraz z innym kolegą, na żądanie profesorów w trakcie rozmaitych popisów wykręcał Gołasowi ręce do tyłu, żeby ten mógł podawać tekst, nie szalejąc z tą swoją legendarną gestykulacją. Było to dla aktora trudne, ale udawało się.

Poza tym życie w szkole teatralnej bieгло wesoło, czasami na krawędzi, jak wówczas gdy tuż po śmierci Stalina wartę przed jego popiersiem na terenie szkoły teatralnej objęła dwójka – Mieczysław Czechowicz i Wiesław Gołas. A tu zjawia się Zdzisław Leśniak, zresztą syn ideowego komunisty, podchodzi do popiersia Stalina, klęka jak przed tabernakulum i żegna się. Wartownicy chichoczą, ale jemu jest mało. Wraca i żegna się tym razem na sposób prawosławny. Obaj chłopcy są ugotowani, na szczęście



...i „Alternatywy 4”.

nikt tego nie widzi, bo kosztowałoby ich to relegowanie ze studiów.

Jest również prawdą, że próbowali streakingu, czyli biegania „na Gołasa”. Konkretnie przebiegli nago korytarz akademika przy placu Narutowicza, i to w niedzielę, kiedy pełno tam było rodzin odwiedzających studentów. W dodatku Gołas wyprzedził Leśniaka, wskoczył do pokoju i zamknął mu drzwi przed nosem, zostawiając gołego na pastwę kolegów i ich rodzin.

Oficer z rękami na niebiesko

W dojrzałe życie artystyczne wkroczył wprawdzie w teatrze w Jeleniej Górze, ale już wkrótce pochłonął go warszawski maraton. Przed południem próba w teatrze, po pośpiesznym obiedzie jakaś przymiarka

napisał Jeremi Przybora. A ten mawiał swym dobrodusznym, wybaczącym tonem: „Ja ci, Wiesiu, bardzo dziękuję, ale jakbym tak wymierzył to, coś ty mówił, z tego, co ja napisałem, to może by się uzbierał jeden procent tego, co było moje”.

Gołas bywał w teatrze aktorem organicznym: występował zarówno na scenie, jak i za kulisami, ciągle w trakcie jakiejś zgrywy i farsy. Początkującego aktora Wojciecha Pokorę rozśmieszał do łez samym swoim widokiem. Gdy ten grał całkiem poważne role, Gołas stawiał w kulisie i scenicznym szeptem przypominał: „Wojtek, jestem tu!”. I Pokora parsknął, następnego dnia dywanik u dyrektora, który strofował: „Kolego Pokora, jeżeli was nasza poważna sztuka tak śmieszy, to może spróbowalibyście

śmiechu nie była w stanie wykrztusić słowa. A on sam nie omieszczał przypominać zabawnych kiksów innym kolegom. Mężowi Zawadzkiej, wielkiemu Gustawowi Holoubkowi, pamiętał, że ten pewnego razu w „Królu Edypie” krzyknął w kulminacyjnym momencie: „Dajcie mi władzę!” i doprowadził tym do pełnej demobilizacji cały grecki chór. W nawiązaniu do swoich umiejętności powtarzał, że uważa aktorstwo raczej za warsztat niż za poważną profesję. „Weźmy np. inżyniera – tłumaczył. – Z jego pracy coś pozostaje, coś konkretnego, sprawdzonego. Jeżeli chodzi o aktora, wszystko, co robi, jest ulotne. Z jego pracy pozostają wspomnienia, recenzje, jakaś dobra chwila w duszy nieznanego człowieka”.

Te numery przychodziły mu same, ponieważ Gołas wybornie umiał udawać. Nie parodiował w sensie odtwórczego naśladownictwa. Umiał przekazać istotę osoby czy zjawiska – dziecka, starca, ale też psa, kota, a nawet przedmiotu. Umiał również oddać ducha języka, np. przez dłuższy czas potrafił mówić po francusku, naśladując jedynie brzmienie, bez podawania bodaj jednego oryginalnego słowa francuskiego. Uwielbiał parodystyczne scenki, świetnie naśladował chociażby Zbyszka Cybulskiego, który to niby zajęty jest rozmową na tematy z zakresu ojczyzna, patriotyzm itp., a w gruncie rzeczy zerka na monetę, którą ktoś nieopodal upuścił, i kombinuje, jak by ją niespostrzeżenie podnieść i wsunąć do kieszeni.

Mewy, które tupią za głośno

To się przydawało w kabarecie i w piosence. Tu układ był taki, że Gołas robi miny, a np. Wojciech Młynarski dopisuje do tego słowa. Ten Polak z jego sobotnią wódką z piosenki „W Polskę idziemy” był, jak mawiał szef Kabaretu Dudek Edward Dzięwoński, po prostu „dożylny”. Początkowo tekst miał być krótszy, ale kiedy do jego ilustracji zabrał się ze swoją sztuką aktorską Wiesław Gołas, Wojciech Młynarski patrzył na jego popisy i dopisywał, dopisywał, aż wyszła z tego aktorska etiuda, którą zresztą różni pijackowicze bez poczucia ironii wyśpiewywali za knajpianymi stolikami jak Polska długa i szeroka. Po sukcesie piosenki na festiwalu w Opolu co drugi pijak zaczął Gołasa na ▶

To był swojak, który umiał wziąć własny los za uzdę. Nigdy mu tego nie zapomnimy.

w telewizji, wieczorem pełny spektakl teatralny, a w nocy występ w Kabarecie Dudek. Następnego dnia często musiał wstawać bladym świtem, żeby zdążyć na samolot, który transportował go w pobliże planu filmowego. Wtedy Gołas nauczył się wykorzystywać na sen każdą wolną chwilę. No i do tego wszystkiego doszedł jeszcze Kabaret Starszych Panów, gdzie Gołas znowu grał po swojemu, czyli organicznie, i przed kamerą pokazywał raczej warianty tego, co dla niego

swoich sił w komedii!”. I tak Wiesław Gołas niechcący pchnął Wojciecha Pokorę na właściwy aktorski tor. Zresztą gotował na scenie kolegów aktorów bez litości, ale i bez specjalnych przygotowań. Na te swoje słynne numery wpadał w jednym momencie. Jak wtedy, gdy w sztuce „Mądremu biada” jako carski oficer pomalował sobie na niebiesko ręsy i w trakcie wygłaszania całkiem poważnych kwestii mrugał zalotnie w stronę Magdaleny Zawadzkiej. Ze



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Wielka ucieczka

Suszkę do grzybów kupiłem. Żona twierdzi, że w rodzinie nie było dotąd grzybiarza, dla niej to coś nowego, zaciekawienie gryzie się u niej z delikatną mieszczańską konfuzją, ale ufa mi, jako daltonista gołąbków nie zbieram, a kurki, borowiki i podgrzybki Żona zna ze straganów. Cieszy się też, że nasz sześciolatek podziela to zamiłowanie: wzrok ma chłopak bystry i bliżej do runa o połowę, więc łacniej wypatruje grzybną drobnicę, tę marynatową, potem czyścić i kroić też chce. Teś przygląda się wnukowi ukontentowany, coś tam żartuje, że za moją sprawą Passentowie wracają do zamierzczłych tradycji zbieractwa, zapewne wyobraża sobie, że Antek wyrośnie na profesora mikologii i odkryje w przyszłości jakiś gatunek wyjątkowo bezwstydnego sromotnika. Ja zaś pokazuję mema, na którym widnieje kurka jako pieprznik jadalny i mapa Polski jako „pierdólnik zjadliwy”, takie mamy grzybiarskie posiadły do kolacji.

Ale że już jesień, to lekka przesada – rozumiem, spodziewałem się, kalendarz wskazuje, ale żeby tak od razu? Przecież dopiero co się skończyła; czas przyspiesza, to już nie galop, ale cwał, jutro zostanę dziadkiem, pojutrze umrę, za tydzień mój nagrobek porośnie mchem. Jedna pociecha w tej bezradności starzenia, w tym poczuciu, że czas nam ucieka jak jaki *express*, choć go gonimy jak zająca pies – im szybciej czas będzie płynął, tym prędzej dożyję upadku władzy kaczytowskiej. Im dłużej trwa pisowska smuta, im plugawiej przeży się polskość przez nich zdefiniowana, tym częściej myślę, że Polska potrzebuje przyspieszonych... zaborów. W PRL mówiło się o tym inaczej: powinniśmy wypowiedzieć wojnę Stanom Zjednoczonym i natychmiast się poddać. Ucieczka od rzeczywistości w gorzki dowcip była najtańsza, cała masa wybierała dolę uchodźcy w Europie Zachodniej (o czym dziś polscy analfabeci historyczni pamiętać nie raczą i przyklaskują drutowaniu granic), niektórzy zaś mieli okazję uciekać wewnętrznie, ale i doniośle: w sztukę.

Lata 70. były najlepszą dekadą naszego kina, ale w mocno reprezentowanej antologii dzieł tego okresu znajduje się film szczególnie – niedokończony, niemożliwy, szalona *idée fixe* nawiedzonego reżysera. Film, który po prawie dwóch latach realizacji został odebrany, porzucony i wreszcie – dosłownie – pogrzebany, choć okazało się, że nie na zawsze. Chodzi o adaptację trylogii książkowej Jerzego Żuławskiego, której podjął się jego wnuk Andrzej. O historii powstawania tego filmu, a także

o tworzeniu się jego legendy, opowiada Kuba Mikurda w „Ucieczce na srebrny glob”, znakomitym dokumencie, entuzjastycznie przyjętym podczas premiery na tegorocznym festiwalu Millennium Docs Against Gravity. Mikurda, świetny filmoznawca, filozof kinofil, debiutował wnikliwym filmem o Walerianie Borowczyk, teraz, biorąc się za Żuławskiego, daje znać, że fascynują go szamani kina, artyści nieoswojeni, totalni, w normalnych czasach użyłbym nawet przymiotnika wyklęci. Boro był w skoŹtunionej Polsce wyklinany za świntuszenie, Żuławski właściwie za wszystko: inteligencność, arogancję, apodyktyczność, nadekspresyjny styl, władczy stosunek do kobiet, mitomanię, grafomanię i co tam jeszcze. Przed seansem autor pokazał przedpotopowy numer miesięcznika „Fantastyka” z fotosami z planu „Na srebrnym globie” – Mikurda jako dziecko uległ dziecięcemu ukąszeniu dziwności, patrząc na frenetyczne scenografie i genialne kostiumy: co do artystycznej wartości tego filmu można się kłócić, ale nie sposób nie przyznać, że był wybitnie fotogeniczny.

Też uległem fascynacji Żuławskim, pamiętam pokaz filmu na kongresie fantastyki pod koniec lat 80., bodaj dopiero drugi po domknięciu materiału (do 70% zrealizowanego scenariusza Żuławski dokręcił pejzaże współczesnej Warszawy, czytając w offie *treatment* pozostałych partii). Zaczynało się przy pełnej sali, do końca wytrzymały oprócz mnie

Czas przyspiesza, to już nie galop, ale cwał, jutro zostanę dziadkiem, pojutrze umrę, za tydzień mój nagrobek porośnie mchem.

bodaj dwie osoby; niczego nie rozumiałem, ale byłem zachwycony dzikością. Zanim komunistyczny aparatczyk zablokował środki i nakazał unicestwienie produkcji, minęły prawie dwa lata – niemal 600 (!) dni zdjęciowych od plaż Bałtyku, przez podziemia Wieliczki, po pustynię Gobi. Żuławski odreagowywał świeżą traumę rodzinną, porzucony przez Małgorzatę Braunek, i zatracał się w gigantycznym przedsięwzięciu, futurystycznej parafrazie Biblii, ciągnąc za sobą dziesiątki członków ekipy i setki statystów, tym chętniej poddających się jego twórczemu szałowi, że... było od czego uciekać. Plan filmu był wszechbarwnym azyłem pośród późnogierkowskiej rzeczywistości, uczestnicy przedsięwzięcia wspominają po latach potworne zmęczenie, ale i rodzaj zbiorowej ekstazy czy wręcz eks-terioryzacji, jakiegoś seansu spirytystycznego, który wyzwał ducha z peerelowskiego bagna.

Pojawia się też w filmie legendarny cytat z jednego z wywiadów reżysera: dziennikarz zauważył: „Nie miał pan szczęścia do Polski”. Żuławski odpowiada: „A kto ma?”.

w.kuczok@tygodnikprzeglad.pl



Benjamin Czapla
Antoni Patek. Zegarmistrz królów
Śladami życia

Wydawnictwo Iskry

Wiedza o życiu i działalności Antoniego Patka jest niezwykle skromna. Zachowało się niewiele materiałów źródłowych, a dostępne opracowania pełne są przełamań. Kim naprawdę był Patek?

Małgorzata Czyńska
Nie opuszczam rąk
Rozmowa z Leonem Tarasewiczem
Wydawnictwo Czarne

Jeden z najważniejszych polskich artystów opowiada o białoruskiej tożsamości i skomplikowanych stosunkach Białorusinów z Polakami, o fascynacji naturą i zwierzętami, zwłaszcza kurami, a przede wszystkim o sztuce, której podporządkował życie.



Benjamin Moser
Sontag. Życie i twórczość
Wydawnictwo Agora

Portret totalny jednej z najwybitniejszych intelektualistek XX w. Autor analizuje dzieła Susan Sontag, ukazuje jej radykalną myśl i społeczny aktywizm oraz sięga poza publiczny wizerunek i ujawnia jej prywatne oblicze.

Ludwika Włodek
Pra. Iwaskiewiczowie
Opowieść o rodzinie
Marginesy

Wybitny pisarz doczekał się kilku biografii, ale tę napisała osoba mu bliska. Poruszyła wątki dotąd przez biografów marginalizowane. Zajęła się nie tylko życiorysem Iwaskiewicza i środowiskiem literackim. Opowiedziała losy całej rodziny.



Lechostaw Herz
Igrzec. Opowieści mocno osobiste
Wydawnictwo Iskry

Aktor, pisarz, i piewca polskiego krajobrazu wspomina dzieciństwo, rodzinę, początki pracy w radiu i w teatrach dramatycznych. Nie brakuje też opisów wypraw w różne zakątki kraju. Ciepła opowieść zachęci czytelników do wędrówek nieodkrytymi szlakami.

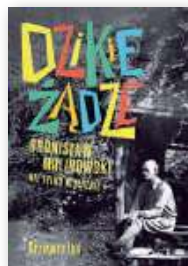


Agnieszka Malatyńska-Stankiewicz
Dyrygowanie. Sprawa życia i śmierci
Czytelnik

Wywiad rzeka z Antonim Witem. Światowej sławy dyrygent opowiada o swoim życiu, rodzinie, zainteresowaniach, a przede wszystkim o dorobku artystycznym. Opisuje środowisko muzyczne na podstawie własnych doświadczeń.

Grzegorz Łys
Dzikie żądze. Bronisław Malinowski
nie tylko w terenie
Wydawnictwo W.A.B.

Pierwsza w Polsce biografia antropologa, autora głośnej książki „Życie seksualne dzikich” i przyjaciela Witkacego. Odkrywa mało znane szczegóły barwnego życia Malinowskiego – opublikowanie jego dziennika wywołało kiedyś skandal.



Emmanuel Carrère
Joga
Wydawnictwo Literackie

To książka o jodze i depresji, medytacji i terroryzmie, dążeniu do jedności i chorobie dwubiegunowej. Intymne wyznanie, a jednocześnie uniwersalna opowieść o sensie życia naznaczonego walką z przeciwnościami. Owiany aurą skandalu reportaż totalny o kondycji człowieka.



Monika Libicka
Gela. Skarb z Archiwum Ringelbluma
Wielka Litera

Zostało po niej 61 akwarel, 178 szkiców i 71 rysunków. Prace Geli przetrwały wojnę zakopane na terenie getta. Trafiły tam wraz z tysiącami innych dokumentów zgromadzonych przez organizację Oneg Szabat. Ta książka to dowód, że pamięć może przetrwać dzięki opowieściom.



Martin Amis
Opowieść wtajemniczonego, czyli jak pisać
Rebis

Autobiograficzna powieść o rodzinie i przyjaźni, seksie, miłości. Impulsem do jej powstania była śmierć najbliższego przyjaciela Amisa. To ich głęboka i wieloletnia relacja jest osią opisanych w książce historii.

Beata Biały
Osiecka. Tego o mnie nie wiecie
Wydawnictwo W.A.B.

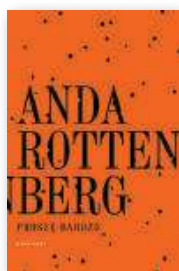
Olga Lipińska, Krystyna Janda, Maryla Rodowicz, Stan Borys, Daniel Olbrychski, Urszula Dudziak – bliscy znajomi i przyjaciele w szczerych rozmowach z Beatą Białą o jednej z najwybitniejszych i najbardziej fascynujących polskich artystek.



Selma van de Perre
Mam na imię Selma
Wielka Litera

Straciła prawie wszystko: rodziców, młodszą siostrę, imię, tożsamość. Przeżyła koszmar obozu koncentracyjnego dla kobiet w Ravensbrück i w wieku 98 lat spisała swoje losy. Stworzyła rozzdzierającą serce opowieść, która mimo wszystko emanuje optymizmem i chęcią życia.





Anda Rottenberg
Proszę bardzo
Marginesy

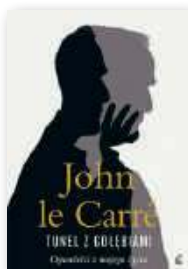
Autorka rekonstruuje dzieje własnej rodziny, a poszukiwania przodków przeplatają się z wątkiem zaginionego syna. To książka o trudnych relacjach, miłości, cierpieniu, poszukiwaniu tożsamości, oczekiwaniu, stracie i pogodzeniu z losem.

Arkadiusz Stempin

Angela Merkel. Cesarzowa Europy

Wydawnictwo Agora

Portret kobiety, która stała się twarzą współczesnych Niemiec i jednym z najbardziej wpływowych polityków w UE. Śledząc życie prywatne i zmagania polityczne kanclerki, autor pomaga wyobrazić sobie Europę po jej zejściu ze sceny politycznej.



John le Carré

Tunel z gołębiami

Sonia Draga

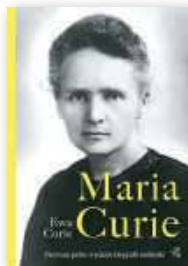
W pierwszych opublikowanych wspomnieniach le Carré dowcipnie analizuje moralną dwuznaczność wydarzeń, których był świadkiem, znaną dotąd jedynie z jego powieści. Dzieli się wspomnieniami z ponad 60 lat pracy pisarskiej.

Ewa Curie

Maria Curie

Wydawnictwo W.A.B.

Kultowa biografia noblistki autorstwa jej córki Ewy przedstawia jedną z najwybitniejszych kobiet w historii nauki. Odkrywczyni polonu i radu całe życie musiała się zmagać z narzuconymi jej ograniczeniami, odważnie jednak burzyła funkcjonujące wówczas stereotypy.



Robert Matzen

Audrey Hepburn. Tancerka ruchu oporu

Albatros

Robert Matzen odsłania przed czytelnikami nieznaną rozdział z życia Audrey Hepburn, docierając do materiałów z holenderskich archiwów. Wiele opublikowanych zdjęć pochodzi z prywatnego archiwum aktorki. Są pokazywane po raz pierwszy.

David Attenborough

Życie na naszej planecie

Moja historia, wasza przyszłość

Wydawnictwo Poznańskie

Najsympatyczniejszy przyrodnik świata i legendarny dokumentalista pokazuje, jak świat zmienił się na jego oczach. Postępująca zagłada bioróżnorodności planety jest tragedią naszych czasów, a jej dowody mamy wszędzie.



Jerzy A. Wlazio, Katarzyna Rij

Lubomir Tomaszewski

Portret w płomieniach

Wydawnictwo Agora

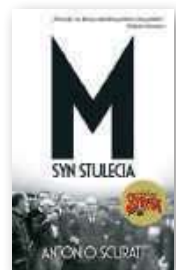
Historia warszawskiego powstańca, artysty – rzeźbiarza, twórcy ćmielowskich figurek. Widok płonącej stolicy prześladował go do końca życia; by o tym opowiedzieć, stworzył autorską technikę malowania ogniem i dymem. Jego losy po emigracji do USA w 1966 r. są w Polsce właściwie nieznane.

Antonio Scurati

M. Syn stulecia

Sonia Draga

Powieść przypominająca o niebezpieczeństwach, z którymi wciąż zmagają się współczesny świat. Opowiadając o faszyzmie „od środka”, autor przypomina fakty, które usunięto już ze zbiorowej pamięci. Nikt nie przedstawił w ten sposób Mussoliniego.



Beata Nowicka

Zbyszek przez przypadki

Znak

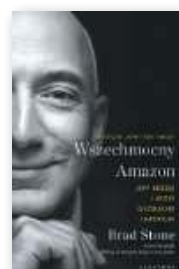
Zbigniew Zamachowski uważa, że całe jego życie to seria przypadków. Wspomina dzieciństwo, czasy studenckie i początki kariery, a ma dar opowiadania „filmowymi scenami”. Pierwszy wywiad rzeka z popularnym aktorem.

Danny White

Harry Styles. Nieoficjalna biografia

Wydawnictwo Słowne

Harry Styles poznał smak sławy jako jeden z najpopularniejszych piosenkarzy na świecie, ale także aktor i ikona mody. To on przejdzie do historii jako pierwszy mężczyzna, który pojawił się na okładce amerykańskiej edycji „Vogue’a”.



Brad Stone

Wszystchny Amazon

Jeff Bezos i jego globalne imperium

Albatros

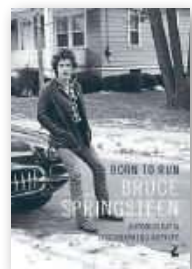
Portret kontrowersyjnego człowieka i takiej też firmy, bez której część ludzi nie wyobraża sobie życia. Stone przygląda się metamorfozie samego Bezosa, który zaczynał jako technologiczny geek.

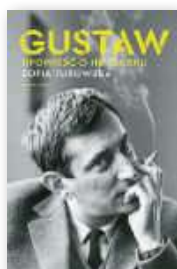
Bruce Springsteen

Born to Run

Sonia Draga

Biografia ta jest czymś więcej niż pamiętnikiem legendarnej gwiazdy rocka. Springsteen po raz pierwszy opowiada o zmaganiach, które zainspirowały jego najlepsze utwory, i pokazuje, dlaczego piosenka „Born to Run” ujawnia więcej niż to, z czego zdawali sobie dotąd sprawę.





Zofia Turowska
Gustaw. Opowieść o Holoubku
Marginesy

Człowiek mądrego słowa, riposty, dowcipu. Inteligent. Patrzył do przodu, nie za siebie. Autorka odkrywa nieznane fakty z życia Gustawa Holoubka, analizuje postawy i losy środowiska, a także określone działania aktora w kontekście osobistym i politycznym.

Marcel Woźniak

Tyrmand. Pisarz o białych oczach

Marginesy

Reporterska opowieść o legendzie Warszawy to historia znikania i powrotów. Znikające dokumenty, zagubiony grób, tabliczka na oceanicznej wyspie, skarpetki, jazz, tajemnicze zdjęcie sprzed wojny. I jeden Tyrmand – pisarz o białych oczach.



Artur Nowak, Marek Sekielski
Ogarnij się, czyli jak wychodził z szamba
Rebis

Artur Nowak i Marek Sekielski rozmawiają o uzależnieniach, które doprowadziły ich na skraj przepaści, gdzie już nic się nie liczy. I szczerze opowiadają o swoim leczeniu, drodze do tego, żeby żyć naprawdę.

Mario Livio

Galileusz

Wydawnictwo Poznańskie

Skonstruował termometr i mikroskop. Jako jeden z pierwszych posługiwał się teleskopem. Jego odkrycia były jednak nie w smak Kościołowi. Florencki uczonec został zmuszony do odwołania swoich tez i uznania za prawdziwe teorii, które głosił Kościół.



Anna Bimer

Chciałem być piosenkarzem
Biografia Krzysztofa Krawczyka

Rebis

Na scenie muzycznej był obecny niemal 60 lat. Obdarzony barytonowym głosem piosenkarz wypromował wiele przebojów. Równie barwne jak życie zawodowe było jego życie prywatne.



Caroline Alexander

Niezlomny

Wydawnictwo Poznańskie

To właśnie historia Shackletona może inspirować kolejne pokolenia. Próżno bowiem szukać większej determinacji i próby charakteru niż u dowódcy tej ekspedycji na Antarktydę i członków jego załogi.

Zebrała Agata Gogolkiewicz

**Filharmonia
Narodowa**

2021

1901

Dyrektor Artystyczny
Andrzej Boreyko

**Inauguracja
jubileuszowego
sezonu
artystycznego
2021/2022**

18.09 sobota / 18:00
transmisja internetowa
→ filharmonia.pl

19.09 niedziela / 18:00
Sala Koncertowa

**Orkiestra i Chór
Filharmonii Narodowej**
Andrzej Boreyko – dyrygent
Olga Pasiecznik – sopran
Krzysztof Jabłoński – fortepian
Bartosz Michałowski – dyrektor chóru

Organizator: Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego i Sportu

Strategiczny Mecenaz: Bank Polski

Mecenas: PGE

Sponsorzy: FUNDACJA BNP PARIBAS TAVEX

Na koncerty zaprasza
Strategiczny Mecenaz Roku
Filharmonii Narodowej

filharmonia.pl

MIĘDZY OKŁADKAMI

FABUŁA

Ewa Winnicka

Greenpoint. Kroniki Małej Polski

Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2021

„Greenpoint, Greenpoint jest wielki na wielki!”, śpiewał Kazik w szlagierze zespołu El Dupa, pieśni polskiego emigranta w USA. Mała Polska,



jak ochrzczono dzielnicę na północnym cyplu Brooklynu, stała się dla Polaków ściągającą do Nowego Jorku namiastką ojczyzny. Rodacy urządzili ten skrawek miasta po swojemu. Na ulicach królowały polskie szyldy, polskie wędliny kupowało się w Kiszce i u Mazura, w barach do rana grało disco polo. Ten unikatowy mikroświat od-

śłania przed nami Ewa Winnicka, która układa

opowieść o amerykańskim śnie Polaków. Au-

torka wsłuchuje się w głos kilku pokoleń, ujawnia

przy tym pęknięcia, przez które prześwituje

przemilczana część nowojorskiego mitu – ka-

torżnicza praca, życie bez języka, perspektyw,

w dusznych sabtejkach. Ta książka stanowi

w istocie nieszablonową diagnozę zbudowanego

z wyobrażeń miasta; to opowieść o bogactwie

i biedzie, które sąsiadują tam ze sobą.

Mateusz Demski

Luis Landero

Mżawka

tłum. Karolina Jaszecka

Sonia Draga, Katowice 2021

Aurora „już wie, że opowieści nie są niewinne”. Ta urodzona powierniczka zaczyna się uginać pod ciężarem, który z siebie zrzucają zwłaszcza dwie siostry jej męża. One mają wreszcie kogoś, komu mogą przedstawić



swoją wersję, bo siebie nawzajem nie chcą wysłuchać, zresztą każde z rodzeństwa pamięta inaczej rodzinne konflikty, które teraz, gdy najmłodszy Gabriel postanowił uczcić 80. urodziny matki „pojednawczym” spotkaniem, spiętrzyły się i przeleły tamę. Nie da się pozostawać całkowicie

bezstronnym słuchaczem, nie w tej sytuacji. Osad relacjonowanych krzywd zmienił choćby spojrzenie Aurory na męża – znikł uroczy filozof, został dziecinny egoista. Landero podkreśla subiektywizm wspomnień w przejmującym portrecie ludzi tak przeżywających przeszłość, że tracących teraźniejszość.

Aleksandra Pańko

SCENY Z ŻYCIA MAŁŻEŃSKIEGO

reż. Chagaj Lewi, prod. USA,

HBO i HBO GO, od 13 września

W nowej wersji klasycznego serialu Ingmara Bergmana rozstanie już nie jawi się jako koniec świata. 50 lat wystarczyło, by zmienić postrzeganie rozvodu, który dziś nie jest ostatecznością, lecz opcją. Chagaj Lewi dobrze zdaje sobie z tego sprawę, dlatego swoich bohaterów, Mirę i Jonathana – granych wyśmienicie przez Jessicę Chastain i Oscara Isaaca – stawia przed koniecznością odpowiedzenia sobie na pytanie nie tylko o sens trwania w relacji, która nie do końca działa, ale też o monogamię. Czy żyjąc z kimś na wyłączność, nie traci się czegoś cennego? To serial oparty na dialogu, momentami bliżej mu do teatru niż do kina, ale rozmowy napisane są tak, że zastyga się, słuchając słownych potyczek bohaterów. Premiera biegnie się idealnie z czasem, kiedy wiele związków liże rany po traumie lockdownu, który zmusił nas do spędzania z partnerem lub partnerką czasu nawet wtedy, gdy nie mieliśmy ochoty. „Sceny z życia małżeńskiego” mogą zadziałać terapeutycznie.

Artur Zaborski



FESTIWAL

**SZALONE DNI MUZYKI**

Warszawa, 23-26 września

W trzech miejscach stolicy – Teatrze Wielkim-Operze Narodowej, siedzibie Sinfonii Varsovii przy ul. Grochowskiej i Kościele

Środowisk Twórczych – odbędą się kolejne Szalone Dni Muzyki, tym razem poświęcone Beethovenowi. Cztery festiwalowe dni to okazja, by spojrzeć na bogatą twórczość kompozytora, ale i głęboko zaangażowanego humanisty, któremu przyszłość otaczającego go świata nie była obojętna. Usłyszymy dzieła orkiestrowe i kameralne. Towarzyszyć im będą atrakcje muzyczne dla najmłodszych. Pojawiają się nawet wydarzenia o niecodziennym charakterze: gotowanie z Beethovenem, czyli muzyczna i kulinarna uczta w Pawilonie Koncertowym Sinfonii Varsovii, Beethoven po nocy, improwizacje jazzowe Paula Laya czy koncert mniej znanych pieśni Beethovena, który szukał melodii w dziewięciu europejskich krajach, także w Polsce.

(bt)

Kolumnę przygotowała
Agata Gogolkiewicz

JESIENNY GOŚĆ



Kobczyki w skali świata są uznane za gatunek bliski zagrożenia, a w Polsce są gatunkiem wymarłym

Konrad Malec

Zwykle w połowie sierpnia, wraz z odlotami bocianów, odnotowuję na poły stwierdzenia, na poły pytania: „Ptaki już odlatują, zaczyna się jesień”. Odpowiadam informacją, że pierwsze ptaki odlatują pod koniec maja, kiedy inne dopiero przylatują, zwłaszcza gdy wiosenne ciepło się spóźnia, jak w tym roku. Takimi późnymi migrantami wiosennymi są kobczyki, które w sierpniu zaczynają wraz z bocianami odlatywać, ale w przeciwieństwie do wojtków nieśpiesznie – mają dużo więcej czasu.

Krótko po przeprowadzce na Kurpie jechałem na targ do Rząśnika. Tuż przed miejscowością stołeczną mojej gminy przeleciało nad drogą kilka małych sokołów. To były kobczyki, o których wiedziałem, że kręcą się w pobliżu. Natychmiast zatrzymałem się na poboczu i wyskoczyłem z samochodu, konstatując, że... nie mam lornetki. Od tamtej pory nawet do sklepu we wsi obok jeżdżę z lornetką, a gdy jej zapomnę, potrafię zawrócić, co już nieraz mi się opłaciło. Przynajmniej jeśli chodzi o spotkania z ptakami. Zaraz po owych zakupach na targu pojechałem na Pulwy, ale bez powodzenia. Podobnie było w kolejnych dniach, ptaki odleciały w sobie tylko znane miejsce. Jesienią potrafią przemieścić się na spore odległości, jeśli akurat nie ma pokarmu w danym miejscu.

Tegoroczna jesień jest o wiele szczęśliwsza. Przed tygodniem miałem przyjemność prowadzić wycieczkę w ramach Festiwalu Krajoznawczego „Na Dwór”, zorganizowanego przez Towarzystwo Krajoznawcze Krajobraz, na pograniczu Puszczy Białowieskiej i zalewu Siemianówka. W trakcie spaceru zdarzyło nam się dostrzec młodego kobczyka, siedzącego na linii energetycznej niskiego napięcia. Kobczyki należą do najbardziej barwnych ptaków drapieżnych i jak u niewielu innych sokołów płcie znacznie różnią się ubarwieniem. Samce są sinoszare, z ciemnoczerwonymi nogawicami i podogoniem. Do tego pomarańczowe łapy i woskówka, czyli skóra nachodząca na

one żółte. Siedział na przewodzie, czatując na zdobycz. Zwykle sokoły kojarzymy z pogromcami ptaków, tak jak sokoły wędrowne czy kobuzy, z którymi kobczyki bywają mylone, zwłaszcza młode. Inną zdobyczą, z którą kojarzone są sokoły za sprawą względnie popularnej u nas pułki, są gryzonie. Ale kobczyki mają inne gusta, ich główną zdobyczą są duże owady, ważki lub większe prostoskrzydłe (czyli krewni i znajomi Filipa z „Pszczółki Mai”). To powód, dla którego kobczyki tak późno przylatują – czekają na pojawienie się jedzenia. To też przyczyna ich niezwyklej jak na ptaki drapieżne towarzyskości – nie muszą konkurować o większą, ale szybciej uciekającą zdobycz.

Kobczyk to zdecydowanie najpiękniejszy sokół.

nasadę dzioba, z taką też tęczówką. Słowem, to zdecydowanie najpiękniejszy sokół. Samice są subtelniej umaszczone: rdzawy spód ciała z delikatnymi, prawie niedostrzegalnymi kreskami, rdzawa głowa i sinoszary, prążkowany grzbiet. Łapy, woskówka i tęczówka są pomarańczowe jak u samca, ale nieco jaśniejsze, czego w terenie i tak nie widać. Nam się trafił młody, tegoroczny ptak.

Młodziaki są nieco trudniejsze do rozpoznania w terenie, przypominają inne sokoły, subtelnych różnic nie dostrzeże mało wprawne oko. Nasz osobnik miał lekko pomarańczowe łapy, choć zwykle w jego wieku są

To myśliwi zbieracze, przy dużych zagęszczeniach owadów nie przeszkadzają sobie. Taka dieta znalazła odzwierciedlenie w budowie ciała: dziób jest stosunkowo krótki i gruby, w końcu nie musi łamać karków ofiar, łapy, palce i pazury również są krótkie, nie nadają się do chwytania ptaków. Z powodu diety Władysław Taczanowski, jeden z nestorów polskiej ornitologii, określił kobczyka mianem „podłego sokolika”. Nie oznacza to, że myślał o tych ptakach tak źle, tym bardziej że w dziele z 1862 r., „O ptakach drapieżnych w Królestwie Polskim, pod względem wpływu, jaki wywierają na gospodarstwo ogólne”,

wzywał do ochrony ich i większości ptaków drapieżnych, dowodząc, że ich tępienie na ogół nie ma racjonalnych podstaw. Warto odnotować, że robił to prawdopodobnie jako pierwszy na świecie. Po prostu określenie to oznaczało, że kobczyk nie jest tak szlachetny jak ptaki używane w sokolnictwie. Kończąc tematykę wspólnych łowów na podległą zdobycz, stadka posilających się kobczyków często możemy obserwować w cieplejsze wieczory, gdy owady latają nader chętnie. Stąd pochodzi łacińskie imię tego sokoła – *vespertinus*, czyli wieczorny.

Tegoroczna jesień (w przyrodzie ożywionej zaczyna się ona w początkach sierpnia, inaczej niż w kalendarzu inspirowanym długością dnia i nocy, związaną z nachyleniem Ziemi względem Słońca) nie rozpieszcza temperaturami, a to nie sprzyja aktywności dużych owadów. W takich warunkach sokoły te często przestawiają się na zdobycz naziemną, najczęściej żaby, rzadziej drobne gryzonie. Z taką właśnie sytuacją miałem do czynienia podczas prowadzonej wycieczki. Nasz sokół w pewnym momencie zleciał na ziemię, po czym poleciał na dach pobliskiej stodoły i tam dokonał konsumpcji. Odległość nas dzieląca nie pozwalała stwierdzić, czy obiadem stał się płaz, czy ssak.

Obserwowany przez nas ptak pochodził prawdopodobnie ze Wschodu. Miał szczęście, że nie zatrzymała go straż graniczna czy inne służby mundurowe, co ostatnio przy granicy z Białorusią stało się nagminne. Kobczyki odbywają lęgi przede wszystkim w Rosji, gdzie jest ich najwięcej, ale też na terenach Białorusi, Ukrainy, Słowacji i Węgier. Ponadto niewielka liczba tych ptaków lęgnie się w Niemczech. Skąd przybył nasz sokół, tego nie wiem na pewno, ale w okresie wędrówek często zahaczają o Polskę i wówczas możemy się nimi cieszyć również tutaj. Wspominałem, że bieżący rok jest pod tym względem dla mnie szczęśliwy, kilka dni temu miałem przyjemność podziwiania dwóch dorosłych samców na Pulwach, niedaleko mojego domu. Przesiadwały na suchym, samotnym drzewie, wśród wilgotnych łąk.

Najlepszy w ostatnim czasie był rok 2014, kiedy kobczyki odwiedziły Polskę nadzwyczaj licznie. Była to

także okazja do przeprowadzenia badań nad preferencjami siedliskowymi tego sokoła. Okazało się wówczas, że preferuje pola i łąki, z pojedynczymi drzewami lub ich szpalerami, w których odpoczywał i skąd czatował na zdobycz. W tej roli sprawdzają się też linie energetyczne. Podobne wyniki dały badania lęgowych kobczyków z Węgier, przy czym tamtejsze obserwacje pokazały, że ptaki unikały

Główną zdobyczą kobczyków są duże owady, ważki lub większe prostoskrzydłe.

miejsz z wysokimi uprawami, takimi jak kukurydza czy słoneczniki, w których łowienie owadów jest niemożliwe. Znaczna część zdobyczy nie jest łowiona w locie, ale zbierana z ziemi i niższych roślin.

Samotne drzewa i aleje są ulubionym miejscem gniazdowania kobczyków. Co więcej, kobczyki chętnie lęgną się kolonijnie. Nie jest to proste w przypadku ptaków, które same gniazd nie budują. Najczęściej zajmują gniazda po innych, takich jak wrony, sroki, gołębie, ale najbardziej w cenie są gniazda gawronów. Gawrony żyją w koloniach, ich gniazda są położone blisko siebie, niekiedy po kilkanaście na jednym drzewie, nic dziwnego, że ich opuszczone domostwa są szczególnie cenione przez kobczyki. Kobczykowa spółdzielnia mieszkaniowa ma zalety w sytuacji zagrożenia, wspólnym wysiłkiem łatwiej odpędzić zagrożenie ze strony krukowatych czy większych ptaków drapieżnych. Niestety, gawronów szybko ubywa, głównie z powodu intensyfikacji rolnictwa, zwłaszcza zabiegów zwalczających owady. Liczba tych ostatnich szybko maleje, co dekadę tracimy 2,5-5% ogółu owadów, nie tylko uznawanych za szkodniki, a nawet przede wszystkim nie ich. Do tego dochodzi zubażanie krajobrazu rolniczego, z którego szybko giną łąki i rosnące na nich drzewa. Piły łańcuchowe kładą pokotem małe, śródpolne lasy. To sprawia, że gawrony nie mają co jeść ani gdzie mieszkać. Coraz powszechniejsze uprawy kukurydzy z kolei uniemożliwiają im żerowanie.

Jak widzimy, problemy gawronów i kobczyków są tożsame, przy czym kobczyki dodatkowo tracą swoich

ulubionych deweloperów. Wszystko to sprawiło, że kobczyki w skali światowej są uznawane za gatunek bliski zagrożenia, a w Polsce stały się gatunkiem wymarłym. Wprawdzie nigdy nie był to u nas gatunek licznie lęgowy, niemniej ostatnie pewne lęgi odnotowano w 1942 r., pod Makowem Mazowieckim. Później widywano ptaki w sezonie lęgowym, ale nie potwierdzono obecności gniazd. Warto

tu wspomnieć, że gatunki o podobnych wymaganiach siedliskowych, takie jak dzierzby rudogłowa i czarnoczelna czy inny mały sokół, zwany pustuleczką, również w Polsce wyginęły. Kraska, także związana z eksten-sywnymi środowiskami rolniczymi, znajduje się na skraju wymarcia. Liczebność jeszcze innych, do niedawna pospolitych ptaków, np. turkawek, szybko się zmniejsza. Dzieje się tak, mimo że zachodzące zmiany klimatu hipotetycznie są dla tych ptaków korzystne. Oznacza to, że czas zrewidować politykę rolną i gospodarkę, do której ta polityka doprowadziła. Bo chyba nikt nie ma wątpliwości, że obecny model nie służy ani przyrodzie, ani ludziom. Z wyjątkiem latyfundystów rzecz jasna. ■



Paula Leśniewska

Do Uniwersytetu Ludowego w Woli Sękowej nie doprowadziły mnie ani mapa, ani GPS. Jadąc ubitą drogą, na skraju pastwiska zobaczyłam nagle grupę egzotycznych ptaków. Ni to tukany, ni pingwiny, na pewno nie kruk. Bajkowa ferajna pośrodku gór i łąk Beskidu Niskiego. Wokół niezmacona cisza. Od razu wiedziałam, że jestem blisko celu. Przystanęłam, zrobiłam zdjęcie, zachwycona niespodziewanym spotkaniem.

Właśnie takim kolorowym ptakiem na tle szarych wsi Podkarpacia jest Uniwersytet Ludowy Rzemiosła Artystycznego w Woli Sękowej. Przyjechałam tam bez większych nadziei, że kogoś zastanę, a wpadłam w sam środek zajęć warsztatowych



UL inspiracji

Uniwersytet Ludowy Rzemiosła Artystycznego w Woli Sękowej jest jak kolorowy ptak na tle szarych wsi Podkarpacia

z witrażu. W niedużej sali siedziało kilka osób z lutownicami i kolorowym szkłem. – Robimy witraże metodą Tiffany’ego – powiedziała prowadząca, Katarzyna Onacko. – To sposób łączenia szkła za pomocą taśmy miedzianej i cyny. Pozwala uzyskać niezwykle detal, inaczej niż w klasycznych ołownianych witrażach.

Rzeczywiście, prace są nadzwyczaj szczegółowe. Wiszą na ścianach pracowni obok tkanych obrazów, ikon i drewnianych rzeźb. – To wszystko prace dyplomowe naszych słuchaczy. Jedną robią dla siebie, a drugą zostawiają nam – uśmiecha się Katarzyna Onacko.

Jak sama nazwa uniwersytetu wskazuje, w jego ofercie edukacyjnej najważniejszy jest dwuletni kurs rzemiosła artystycznego. – Każdy, kto przychodzi na kurs rękodzielniczy, musi spróbować wszystkich dziedzin, których nauczamy. A jest tego naprawdę sporo! Haft, koronka, tkactwo, rzeźba w drewnie, witraż, ceramika, wiklina, pisanie ikon, grafika

warsztatowa – żeby wymienić kilka. Pani Maria, nasza długoletnia wykładowczyni, zawsze mówi: „Próbuję wszystkiego, a robię to, co lubię”. I jest w tym dużo racji: czasami możemy odkryć w sobie pasję do czegoś, co wcześniej wydawało nam się nudne lub trudne. Kiedyś przyszedł do nas słuchacz i powiedział, że chętnie nauczy się ceramiki, rzeźby w drewnie i wikliny, ale kompletnie nie wie, jak sobie poradzić z, cytuję, „tymi nitkami”. Po jednym semestrze okazało się, że jest najlepszy z haftu, a po dwóch latach zrobił pracę dyplomową z koronki frywolitkowej – jednej z najtrudniejszych technik koronkarskich. Ja też jestem absolwentką uniwersytetu. Przyszłam tutaj, bo chciałam się nauczyć tkactwa, a wyszło na to, że zajmuję się ceramiką. Cudowne, że dzięki sztuce można odkryć siebie na nowo – mówi dyrektorka uniwersytetu Monika Wolańska.

– Czego można u nas się nauczyć? Długo by wymieniać. Od różnych rodzajów koronki i hafu, przez



Galeria rzeźb na ścianie pracowni.

wikliniarstwo, rzeźbę, malarstwo, historię sztuki, etnografię, po witraż, ceramikę czy formy użytkowe w drewnie wymagające posłużenia się narzędziami stolarskimi – np. piłą i wyrzynarką. Szczególnie dziewczyny zawsze są zachwycone, gdy biorą je do ręki. Dzięki umiejętności posługiwania się nawet tak prostymi narzędziami można stworzyć naprawdę oryginalne przedmioty i uniezależnić się od konsumpcyjnych historii – dodaje Beata Woroniec, prezeska uniwersytetu, jak sama mówi, od „spraw formalnych, bo artyści nie mają do tego głowy”.

– Jesteśmy organizacją pozarządową, sami się utrzymujemy

z działalności pożytku publicznego i z projektów – tłumaczy Beata Woroniec. – Uniwersytety ludowe bardzo się różnią od tych spotykanych w miastach. Słuchacze przyjeżdżają tutaj na cztery dni w miesiącu, razem mieszkają, sprzątają, uczą się i tworzą. Dla nas mniej istotna jest sama edukacja i tzw. papierek, bardziej liczy się budowanie wspólnoty, twórczego środowiska, z którego czerpie każdy, nawet długo po ukończeniu UL.

Szkoła dla ludzi

Historia uniwersytetów ludowych sięga XIX w. Wtedy na terenie Danii zaczęły powstawać pierwsze „szkoły dla ludu”. Miały edukować chłopów świeżo po uwłaszczeniu, zainteresować ich sprawami społecznymi, kształcić holistycznie. Jak tłumaczy Monika Wolańska, dzisiaj byśmy powiedzieli, że były to szkoły ruchu obywatelskiego: – Niewiele osób w Polsce zna idee uniwersytetów ludowych, a ponieważ my zajmujemy się rzemiosłem artystycznym, wszyscy myślą, że po prostu kultywujemy sztukę ludową. Owszem, nawiązujemy do sztuki tradycyjnej, ale słowo ludowy w nazwie naszego uniwersytetu niekoniecznie jej dotyczy.

Czy dzisiaj UL ma taką samą misję jak kiedyś w Danii? – Okoliczni mieszkańcy przychodzą na niektóre nasze działania. Natomiast na kurs rękodzieła artystycznego przyjeżdżają osoby z całej Polski i z różnych krajów Europy, osób z regionu jest raczej mało – przyznaje Monika Wolańska. – W wakacje organizujemy różne aktywności dla dzieci ze wsi i zawsze mamy mnóstwo chętnych. Chcemy zaszczepiać w nich regionalizm, pokazywać im piękno rękodzielnictwa, sztuki, teatru. W naszej gminie (Bukowsko – przyp. red.) nie ma żadnego domu kultury, w którym mogłyby się odbywać zajęcia plastyczne. Staramy się uzupełnić tę lukę, bo w szkole z przedmiotów artystycznych zostały już tylko szczątki.

– Bardzo ważne jest dla nas podtrzymywanie wspólnoty lokalnej. Nie chcemy być enklawą. Jesteśmy stworzeni dla ludzi, więc wychodzimy w teren. Co roku w Domu Ludowym organizujemy dużą wigilię z mieszkańcami. Przychodzi mnóstwo ludzi, wspólnie muzykujemy, przygotowujemy potrawy – dodaje Beata Woroniec.



Na skraju pastwiska stoją ni to tukany, ni pingwiny.

„Exodus” przypomina o tragicznych losach mieszkańców Woli Sękowej.



Uniwersytet prowadzi też projekt „Eko-szansa” dla mieszkańców gminy Bukowsko i Zarszyn. – Głównym wątkiem kursu jest agroekologia, czyli nauka prowadzenia ogrodu ekologicznego. Wiadomo, że większość mieszkańców wsi zakłada ogródki przydomowe, żeby mieć swoje warzywa, niepryskane, świeże. Razem uczymy się, jak to robić, żeby mieć dobre plony. Ale w tym kursie pojawiają się także warsztaty z rzemiosła, ze sztuki, są zajęcia z psychologiem, doradcą zawodowym, informatykiem. To kurs ogólnorozwojowy, doskonale wpisujący się w pierwotne idee uniwersytetów ludowych. Projekt trwa od początku maja do końca września, to sezon, w którym większość ludzi z tego rejonu nie ma czasu na jakiegokolwiek dodatkowe aktywności, a mimo to przychodzą, ta grupa znakomicie się zgrała, zawiązały się nowe przyjaźnie – mówi z błyskiem w oku Monika Wolańska.

Efekt oddziaływania uniwersytetu na wieś widać już na pierwszy rzut oka. Spacerując między domami

w Woli Sękowej, raz po raz napotykamy drewniane rzeźby, które doskonale wpisują się w górski krajobraz. Jak tłumaczy mi Beata Woroniec, tworzy je nieformalna grupa artystów Exodus, którą zainicjował jej mąż, Piotr Woroniec. Spotykają się na corocznych zjazdach, za każdym razem wykonują nowy projekt artystyczny.

Sztuka, która pamięta

W ogrodzie wokół siedziby uniwersytetu próżno szukać mieszczkańskich skalniaków, są za to zastawiające rzeźby i instalacje, które wyszły spod dłuta artystów Exodusu. Najbardziej intryguje mnie długi korowód ciemnych, zdeformowanych postaci, które zdają się zmierzać w kierunku otwartej bramy.

– To „Exodus”, nasz pierwszy projekt artystyczny po przeniesieniu uniwersytetu ze Wzdowa do Woli Sękowej w 2006 r. Niesamowicie zasmuciła mnie historia tego miejsca. Cały region ucierpiał trzykrotnie w ciągu kilku lat. Najpierw, gdy Niemcy szli



W Woli Sękowej raz po raz napotykam drewniane rzeźby.



▶ na wschód, potem – gdy Rosjanie szli na zachód, a w końcu podczas akcji „Wisła”. Przed tymi wydarzeniami we wsi było ponad 500 gospodarstw – niemal wszystkie zostały zrujnowane. Ocalały dwa domy, dzwonnica i cerkiew. Ludność częściowo zabito, a częściowo wysiedlono. Chcieliśmy pokazać, jak straszliwa jest utrata domu, swoich korzeni, bezpieczeństwa i spokoju. „Exodus” to pomnik wygnanych. Równie dobrze mógłby stać na Wołyniu, Bałkanach czy w Afganistanie – miejsce nie ma znaczenia, wszyscy ludzie cierpią tak samo. W momencie odślonięcia w korowodzie stało ok. 140 figur. Teraz jest już tylko połowa. Rzeźby stworzyliśmy w lipie, a to nietrwałe drewno, rozpada się, co dla mnie też jest symboliczne – opowiada ze smutkiem Piotr Woroniec, pomysłodawca instalacji.

Pytam, jak na sztukę tworzoną przez ich grupę reagują okoliczni mieszkańcy. – Ciągłe dają nam dowody sympatii. Rzeźby do „Exodusu” wykonywaliśmy bezpłatnie, a uniwersytet miał długi, więc było krucho z jedzeniem. Nadleśnictwo

zorganizowało nam materiał do pracy, a ludzie ze wsi przynosili weki, kapustę. Jakiś pan przyjechał polonezem, otworzył bagażnik pełen przetworów – śmieje się Piotr.

Pamięć o dorobku kulturalnym Podkarpacia przechowuje też sam uniwersytet. – Staramy się kultywować tradycyjną, gasnącą na Podkarpaciu sztukę ludową, która niestety nie ma już naturalnych spadkobierców. Kiedyś tereny Beskidu Niskiego zamieszkiwali Łemkowie, którzy wytwarzali zjawiskowo piękną biżuterię koralikową. Dzisiaj mało kto się nią interesuje, ale my nauczyliśmy się robić ją w taki sam sposób jak Łemkowie i będziemy przekazywać tę tradycję. Podobnie stało się z jaworowymi łyżkami. To wyroby rzemieślnicze charakterystyczne właśnie dla naszego regionu. Zrobiliśmy dokumentację, zaprosiliśmy łyżkarzy, opisaliśmy ich prace, powstała wystawa. Teraz ci twórcy już nie żyją. Oprócz tego uczymy budowy pieców z polepą glinianą – ta tradycja już prawie zniknęła, a piece są świetne, sama mam taki w domu. Warto ratować sztukę

ludową od zapomnienia, nie tylko dlatego, że jest piękna, ale też dlatego, że świadczy o naszych korzeniach – mówi Beata Woroniec.

Uniwersytet inspiracji

– Jak pierwszy raz weszłam do tej szkoły, to pomyślałam, że nawet drzwi od starej szafy wyglądają wspólnie. Były wymalowane kolorową farbą. Od razu zakochałam się w tym miejscu – mówi jedna z uczestniczek kursu, tak pochłonięta pracą nad ceramicznym dzbankiem, że zapomniała się przedstawić.

Przyjeżdżają ludzie z różnych miejsc i w różnym wieku. Niektórzy są dopiero po liceum, inni już na emeryturze albo właśnie rzucili korpo i wyjechali w Bieszczady szukać swoich prawdziwych pasji. Zapaść się może każdy i każdy jest mile widziany.

Wielu absolwentów uniwersytetu zostało rzemieślnikami na pełny etat. W Woli Sękowej poznałam Katarzynę Ziomek vel Pepe, która sama prowadzi pracownię PePesza Ceramik. Kubek, który u niej kupiłam, natychmiast stał się moim ulubionym, bo ma duszę. Każdy, kto go zobaczy, chce mieć własny. – Nie jestem artystą, jestem rzemieślnikiem – uśmiecha się Pepe.

Nie tylko ona tworzy niepowtarzalne przedmioty. W Krakowie od 10 lat działa ŻyWa Pracownia, którą założyły Magdalena Żyłka i Małgorzata Warchoł, absolwentki Uniwersytetu Ludowego w Woli Sękowej. „Naszą specjalnością są warsztaty rzemieślnicze oraz twórcze działania z zakresu edukacji regionalnej, kulturowej, przyrodniczej i ekologicznej, do których zapraszamy lokalną społeczność i grupy marginalizowane – dzieci ulicy, seniorów, migrantów, mamy z dziećmi, osoby w kryzysie bezdomności, z niepełnosprawnościami, ubogich i samotnych”, przedstawiają pracownię założycielki. To one stoją m.in. za inicjatywą społeczną Zupa na Plantach, której celem jest nakarmienie osób dotkniętych kryzysem bezdomności. „Wspólnie spędzając czas, doświadczając i tworząc, staramy się budować bardziej wrażliwy na drugiego człowieka świat”, pisze ŻyWa. I to jest właśnie główna idea Uniwersytetu Ludowego w Woli Sękowej.

Paula Leśniewska
p.lesniewska@tygodnikprzeгляд.pl

STODOLA

more
than
live
music

KLUB STODOŁA ZAPRASZA NA KONCERTY

A black and white portrait of Edyta Bartosiewicz, a Polish singer. She is wearing a dark suit jacket over a light-colored shirt and a dark tie. Her hair is dark and wavy, and she is looking directly at the camera with a slight smile. The background is dark and textured.

EDYTA BARTOSIEWICZ

14 / 11 / 2021
KLUB STODOŁA / WARSZAWA

BILETY DOSTĘPNE NA: WWW.STODOLA.PL, WWW.TICKETCLUB.PL

Zielone kołowanie na lotniskach

Polski system elektrycznych robotów holujących samoloty może przynieść ogromne oszczędności i korzyści dla środowiska



Port lotniczy O'Hare w Chicago.

Andrzej J. Szymyst

Branża lotnicza jest jedną z najbardziej poszkodowanych przez pandemię COVID-19. Dzisiaj widać już jakieś światło w tunelu: pasażerowie latają na wakacje, biznesmeni na spotkania, ale powrót do sytuacji sprzed pandemii może potrwać nawet kilka lat, o ile nie nastąpią kolejne fale zachorowań. Tych znaków zapytania jest sporo, więc cała lotnicza machina, dzięki której świat tak bardzo się zmniejszył, siedzi dosłownie na wulkanie, niepewna dnia ani godziny. To producenci samolotów, linie lotnicze i lotniska z całą infrastrukturą techniczną i organizacyjną – miliony miejsc pracy, miliardowe inwestycje i trudna do wyobrażenia nowoczesna technologia.

Samoloty zużywają gigantyczne ilości paliwa – szykujący się do skoku przez Atlantyk dreamliner zabiera ok. 90 ton ropy lotniczej JET A – ponad jedną trzecią całkowitej masy startowej. Część tego paliwa, ok. 6-7%, zużywana jest na ziemi podczas kołowania do terminalu i z powrotem na start, tzw. *taxiing*. Lotniska są bardzo duże i zatłoczone. W Warszawie na lotnisku Chopina średni czas naziemnej operacji lotniczej (LTO – *landing*

and take-off) przyjmuje się jako 2 x 18 minut, ale na wielkich hubach, takich jak Londyn, Frankfurt czy Paryż, bywa, że trwa to ponad godzinę. Linie lotnicze wykupują za wiele milionów tzw. sloty, aby zapewnić możliwość obsługi samolotów w czasie najdogodniejszego dla pasażerów. Wartość zużytego na ziemi paliwa przekracza 20 mld dol./euro w skali globalnej. To niewyobrażalna skala marnotrawstwa!

Doliczmy do tego zanieczyszczenie atmosfery w rejonie lotnisk toksycznymi składnikami spalin, tysiące ton dwutlenku węgla emitowane do atmosfery – tylko na Okęciu ok. 155 tys. ton rocznie! Niebawem prawa do emisji bardzo zdrożeją, co budzi wielkie obawy menedżerów lotnisk. Uwzględnijmy jeszcze uciążliwy hałas, a łatwiej zdamy sobie sprawę z powagi problemu. Z fotela przez małe okienko trudno też dostrzec taki „drobiazg”, że kosztujące po 8-10 mln dol. silniki Rolls-Royce'a lub General Electric N-Genx ochoczo zasysają z lotniska wszelkie zanieczyszczenia, pyły, drobiny startych okładzin hamulcowych i inne śmieci, co nie służy bynajmniej ich żywotności. Eksperci są zgodni, że gdyby silniki nie musiały pracować na ziemi, ich resurs wydłużyłby się

o 25-30%. Naprawy i przeglądy silników mają bardzo ścisły związek z bezpiecznym lotem, kosztują krocie i wymagają wyłączenia samolotów z eksploatacji, co generuje dodatkowe wysokie koszty.

Gdzie szukać oszczędności?

W tej sytuacji uwaga wielu konstruktorów koncentruje się na opracowaniu urządzeń umożliwiających kołowanie „na prądzie”. Producenci samolotów, szczególnie liderzy, tacy jak Boeing i Airbus, tracą miliardowe zamówienia, liczą straty i ograniczają produkcję. Na przykład europejski koncern Airbus był zmuszony przerwać produkcję supergiganta A380, bo z dużych zamówień wycofali się majętni przewoźnicy bliskowschodni, Katar i Emirates. I teraz pracuje intensywnie nad tym, jak uniknąć grupowych zwolnień pracowników o wysokich kwalifikacjach, a ma ich setki tysięcy... Skąd ich wziąć później, gdy pandemiczny kryzys przemienie, na co wszyscy liczą?

Linie lotnicze są w podobnej sytuacji – zwalniać pilotów z wieloma tysiącami godzin na koncie? Z tego zawodu, podobnie jak np. z neurochirurgii, nie da się odejść na rok-dwa. Powrotów nie będzie. Również

porty lotnicze pracują na pół gwizdka. Lata mniej pasażerów, bo nigdy nie wiadomo, czy powrót do domu nie wymusi konieczności kwarantanny w drogim hotelu.

Rodzi to poważny problem ze znajdowaniem środków na konieczne badania, opracowania i wdrożenia różnorodnych pomysłów i patentów. Firmy lotnicze w obliczu zapaści finansowej nie są zbyt skłonne do inwestowania, choć perspektywy ogromnych oszczędności widać gołym okiem. W Unii Europejskiej szeroko zakrojony program Clean Aviation przewiduje 140 mln euro na proekologiczne innowacje w lotnictwie cywilnym.

Pozorne rozwiązania

Wiele pomysłów jest prezentowanych w taki sposób, że robią znakomite wrażenie, szczególnie na niespecjalistach. Ich realność jest jednak mocno dyskusyjna.

Przyjrzyjmy się niektórym, ale najpierw kilka uwag. Samoloty to dość ciężkie maszyny: np. model Boeing 787 Dreamliner ma ok. 230 ton masy startowej. 85% tego ciężaru spoczywa na ośmiu kołach podwozia głównego, na każde z nich wypada ponad 25 ton. Nie wytrzyma tego standardowa nawierzchnia, dlatego drogi kołowania są zbrojne prawie metrową żelbetową „podkładką”. Pasy startowe również, tylko jeszcze mocniej, gdyż muszą sprostać niezwykle dynamicznym uderzeniom kół podczas lądowania.

Jeden z pomysłów, patent polskiego wynalazcy Sławomira Malickiego, nazwany ATS (Aircraft Towing System), jest już ponoć testowany w USA. Przewiduje on wykonanie w osi dróg kołowania tuneli, w których mają się poruszać elektryczne ciągniki, wysuwające przez szczelinę specjalne zaczepy do holowania samolotu za przednie podwozie. Podano nawet moc tych ciągników – ok. 400 KM. Pomijając już taki drobiazg jak podawanie mocy napędu elektrycznego w koniach mechanicznych zamiast w kilowatach – jest to przynajmniej trzykrotnie za mało. Do rozpędzenia masy ponad 200 ton do prędkości 23 węzłów (ok. 40 km/godz.), czyli dopuszczalnej prędkości taxiingu, potrzeba ok. 960 kW, co odpowiada ok. 1300 KM.

Koszt 1 km takiego systemu szacowany jest na ok. 3 mln dol. Gdyby nawet rozkuć żelbetowy podkład drogi kołowania, wymagałoby to zamknięcia lotniska wraz z płytami postojowymi na wiele miesięcy. Reasumując – projekt mało realny zarówno na pierwszy, jak i na drugi rzut oka.

Inny projekt, realizowany wspólnie przez Safran Group (producenta podwozi lotniczych) i firmę Honeywell (producenta agregatów pomocniczych w ogonach samolotów), przewidywał napędzanie kół głównych przez silniki elektryczne w piastach kół i przekładnie łańcuchowe. Tylko że największe agregaty APU (Auxiliary Power Unit) mają moce rzędu 350-400 kW i są przeznaczone do uzupełnienia innych celów – mają zapewnić uruchamianie silników głównych oraz zasilanie kokpitu i innych instalacji, gdy silniki nie pracują lub w wypadku awarii. Nie ma miejsca na układ chłodzenia ani na niezbędne skomplikowane przekładnie. Aby temu podołać, samolot zamiast pasażerów musiałby wozic na pokładzie sporą elektrownię. Nie ma do

W skali globalnej wartość zużytego na ziemi paliwa przekracza 20 mld dol./euro.

dyspozycji sieci trakcyjnej o napięciu 3000 V, jak pociągi Pendolino. Obie firmy po serii niezbyt udanych testów po cichu wycofały się z realizacji tego projektu, oczywiście tracąc kilkanaście milionów.

Popularne na lotniskach ciągniki *pushback* służące do wypychania samolotów spod gate'ów zupełnie nie nadają się do holowania samolotów na odległość kilku kilometrów, z rozsądną prędkością – są zbyt małe i zbyt powolne. W tę stronę próbowała pójść izraelska firma IAI – konstruując odpowiednio duże i ciężkie ciągniki systemu Taxibot. Wąż ok. 50 ton, kosztują ponad 1,2 mln dol. sztuka. Testy na lotnisku we Frankfurcie wykazały, że nawet nieźle sobie radziły, ale kilkaset sztuk (a tyle potrzeba do obsługi ruchu w tak wielkim porcie lotniczym) wypuszczonych na drogi kołowania z punktu zakorkowałoby wszelki ruch na płycie. Nie wspominam już o ogromnych kosztach, stawiających pod znakiem zapytania opłacalność

przedsięwzięcia, problemach logistycznych i groźbie kolizji z samolotami oraz innymi uczestnikami ruchu. Najmniejsza stłuczka kosztowałaby miliony, na pewno nie udałoby się tego uniknąć. Projekt utknął i coś o nim nie słysząc. Kolejne miliony trafiły w czarną dziurę.

Wydaje się oczywiste, że o wszelkich projektach elektrycznego taxiingu opartych na pokładowych źródłach prądu należy zapomnieć, przynajmniej w perspektywie najbliższych dziesięcioleci. Głośno ostatnio było o „superkondensatorach” pozwalających magazynować ogromne ilości energii wyzwolanej np. podczas lądowania. Takie urządzenia sporo ważą i wymagają ciężkich, skomplikowanych instalacji elektroenergetycznych. Wymagają wysokich napięć, a standardowe napięcie w instalacji samolotowej to 115 V. Żaden konstruktor nie dopuścił napięcia rzędu tysięcy woltów – choćby ze względów bezpieczeństwa, groźby zaiskrzenia i pożaru. Po kilku katastrofach zakazano przewozu baterii litowo-jonowych w samolotach

pasażerskich, a w lotach cargo wymagane są niebywale trudne zabezpieczenia, co obrazuje skalę zagrożenia. Poza tym montaż tych instalacji wymagałby daleko idących przeróbek konstrukcyjnych, wycofywania samolotów z eksploatacji oraz kosztownych i długotrwałych procedur certyfikacyjnych – nikt na to się nie zgodzi. A co z tysiącami samolotów, które już latają?

A jednak się da

Jedyną realną szansą osiągnięcia celów zielonego taxiingu wydają się urządzenia zewnętrzne, niewymuszające ingerencji w konstrukcję samolotów. Polscy konstruktorzy opracowali system samojedźnych robotów holujących i zgłosili odpowiednie wnioski patentowe. Roboty w postaci wózków, których rama ma kształt litery U, mają napęd elektryczny z własnego zestawu baterii litowo-jonowych, jak w samochodach elektrycznych czy hybrydowych. ▶

► Działają parami – są naprowadzane zdalnie przez operatora naziemnego na koła podwozia głównego, gdzie się automatycznie pozycjonują. Z obu ramion podwozia robota wysuwają się hydraulicznie tarcze i ściśle dociskają się do boków opon, zapewniając odpowiednie tarcie. Po sprężeniu robota z kołami samolotu sterowanie przekazywane jest w ręce załogi do kokpitu, gdzie piloci mają sterownik podobny do pilota samochodu zabawki. Każdy robot waży ok. 1,4 tony, plus ok. 900 kg jego baterii. Pozwalają one na napędzanie kół przez mniej

jest aż nadto – panele fotowoltaiczne są niskie i nie stanowią przeszkód nawigacyjnych.

System ten ma wiele zalet – nie wymaga żadnej ingerencji w konstrukcję samolotów, jest absolutnie bezpieczny i prosty w obsłudze. Na lotnisku Chopina 40 par robotów jest w stanie obsłużyć przeciętny ruch (sprzed pandemii, bo symulacje były robione w 2019 r.). Przewidywana cena jednego robota to ok. 150 tys. euro, co pozwoliłoby operatorowi portu na Okęciu osiągnąć ponad 10 mln euro czystego zysku rocznie. Oczywiście przy założeniu, że zysk

wirusa, a chętnych nie zabraknie. Dla walczących o przetrwanie firm z sektora lotniczego będzie to takomy kąsek, bo cnota oszczędności, szczególnie w tej branży, jest w nadzwyczajnej cenie.

Dym z kosztownych opon

Konstruktorzy opisanego systemu już pracują nad kolejnym wynalazkiem, a wniosek na patent międzynarodowy został zgłoszony. Dotyczy on rozkręcania kół samolotu do obrotów dokładnie skorelowanych z prędkością przyziemienia, czyli ok. 1,1 tys. obrotów na minutę. Pozwoliłoby to uniknąć dynamicznego uderzania nieruchomych kół w beton pasa startowego, co powoduje szybkie zużycie

kosztownych opon. Ponieważ samolot wypuszcza podwozie kilkanaście sekund przed lądowaniem (około pół minuty, często więcej) – czasu na rozprędkowanie kół jest sporo, a niezbędna moc jest relatywnie niewielka – rzędu 8-10 kW. Nowoczesne silniki da się zabudować w piastach kół przy minimalnych przeróbkach konstrukcji podwozia. Obecnie opony samolotu wytrzymują ok. 100 lądowań – zastosowanie wynalazku pozwoliłoby zwiększyć ich żywotność nawet pięciokrotnie. Łatwo policzyć, jaka jest możliwa skala oszczędności dla samolotów latających na krótkich trasach i wykonujących sześć-osiem lądowań dziennie. Jedna nowoczesna opona, zdolna wytrzymać ogromne obciążenia podczas przyziemienia, kosztuje kilka tysięcy dolarów/euro, ich wymiana pochłania czas i oznacza kolejne wydatki dla linii lotniczej. Do tego dochodzi czyszczenie pasów startowych z resztek gumy za pomocą kosztownego sprzętu, na dużych lotniskach niezbędne co tydzień. Lądujący samolot, szczególnie w trudnych warunkach, przy bocznym wietrze i śliskiej nawierzchni pasa – podlega ogromnym siłom. Rozkręcone koła delikatnie dotykające betonu byłyby ogromnym ułatwieniem i z całą pewnością mogły poprawić bezpieczeństwo tego manewru, trudnego dla pilotów i stresującego dla pasażerów.

Andrzej J. Szymyst jest inżynierem-konstrukтором, pilotem i publicystą lotniczym

Opony samolotu wytrzymują około 100 lądowań – polski wynalazek pozwoliłby zwiększyć ich żywotność nawet pięciokrotnie.

więcej półtorej godziny, co wystarcza na kilka operacji lotniczych. Po tem roboty wędrują pod silne ładowarki lub połączone z samolotem podczas postoju są ładowane specjalnym kablem. Pozwalają także na samodzielny wyjazd spod bramki na płytę (bez ciągników) i dokołowanie na miejsce startu. Po odczepieniu od samolotu są błyskawicznie ładowane na specjalną naczepę i po sześć-osiem sztuk odwołane w dowolne miejsce. Ładowanie odbywa się oczywiście z systemu solarnego, na co miejsca na każdym lotnisku

z zaoszczędzonego paliwa byłby dzielony po połowie między operatora lotniska a przewoźników. Liniom lotniczym udostępnianie robotów byłoby naliczane w systemie minutowym. Kalkulacja ta nie uwzględnia efektów ekologicznych – znacznych, ale trudnych do wyliczenia. Opisane rozwiązanie ma liczne pozytywne opinie specjalistów i ekspertów, wśród nich wielu doświadczonych pilotów liniowych.

Rzecz jasna, jak tylko system pojawiłby się na Okęciu, wieść o nim rozszłaby się po świecie z szybkością



Socjalizm realny i inne

Dwa tygodnie temu w „Gazecie Wyborczej” ukazał się artykuł Jarosława Bratkiewicza „Dyplomaci wyklęci”. W notce pod tekstem autor jest przedstawiony jako absolwent MGIMO, działacz podziemnej Solidarności, ambasador na Łotwie, dyrektor polityczny MSZ za czasów Radosława Sikorskiego. Artykuł jest długi, wyjaśnia motywy wyjazdu po ukończeniu pierwszego roku w Polsce na studia do Moskwy, jak i zaangażowania większości absolwentów tej „szkoły janczarów socjalizmu” w nasze przemiany po 1989 r., głównie w trakcie akcesji do NATO i UE. Artykuł polecamy zainteresowanym.

O niektórych sprawach Jarek nie napisał, być może nie chciał albo mu nie wypadało. Przyjechał z grupą około dziesięciu kolegów w roku 1974 na Wydział Stosunków Międzynarodowych. Język miał niełatwy – bengalski, którym mówi się w Bangladeszu i na północnym wschodzie Indii, głównie w stanie Bengal Zachodni. Nigdy nie trafił na placówkę do Dhaki czy na dłuższy czas do Bangladeszu. Podzielił zresztą pod tym względem los kilku innych absolwentów rzadkich języków. Był Bratkiewicz niewątpliwie najbardziej błyskotliwym, czytany i inteligentnym polskim absolwentem instytutu w roku akademickim 1979/1980. Jego wiedza na temat bolszewizmu czy stalinizmu również w polskiej odmianie była duża, choć innym kolegom też jej nie brakowało. Dyskusje o wojnie 1920 r. czy Katyniu były gorące, acz ciche w obu akademikach przy ulicy Nowoczeriomuszkieskiej czy Szewnika. Rozpoznanie, kto swój, a kto obcy, było podczas tych dyskusji, a może raczej przed nimi, kluczowe. Prym wodził Jarek, ze swadą i złośliwością punktując adwersarzy.

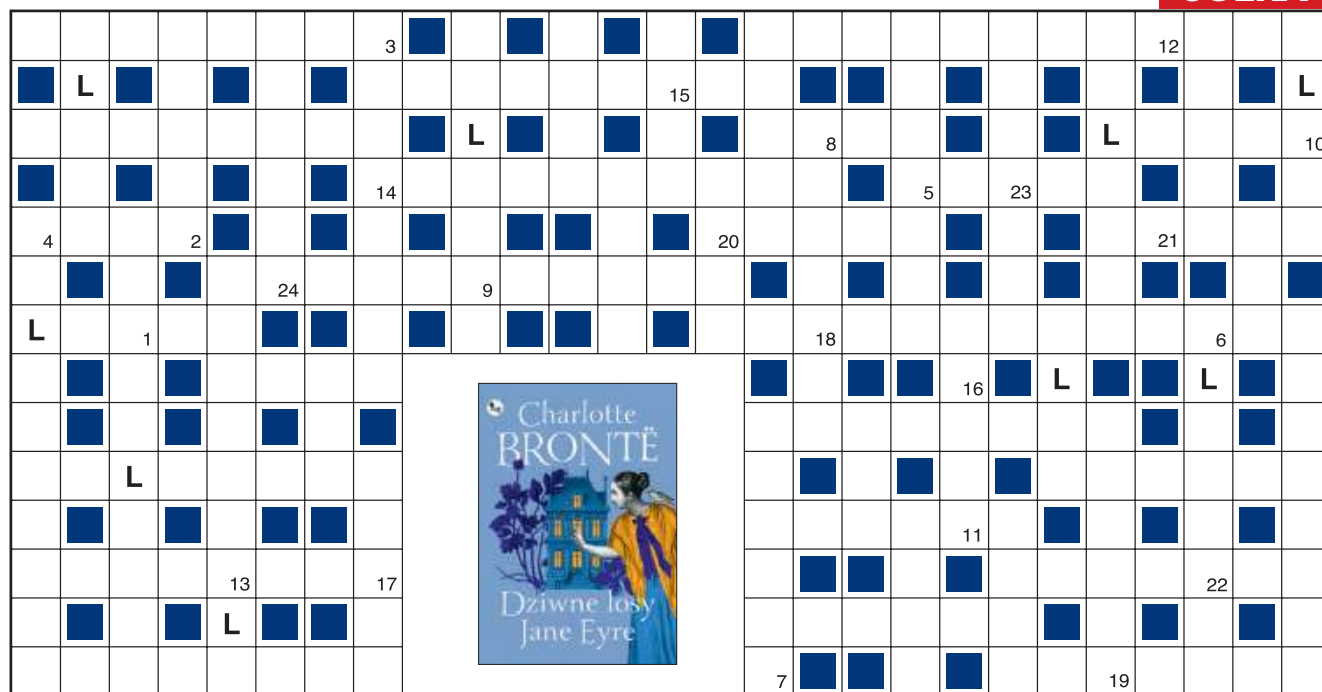
Na czwartym lub piątym roku zapisał się do PZPR, po studiach zaczął pracę w wydziale zagranicznym ZSMP. Nie popracował długo, bo 13 grudnia 1981 r. złożył legitymację partyjną i zrezygnował. Zaangażował się w podziemną Solidarność, w latach 80. napisał w PAN doktorat, chyba u Jadwigi Staniszkis, na temat socjalizmu w Bangladeszu i innych krajach regionu. Już w latach 90. napisał również pracę habilitacyjną. Z kartą opozycyjno-naukową trafił w 1992 r. do MSZ. Oprócz wymienionych już funkcji był wicedyrektorem i dyrektorem strategii, szefem grupy zadaniowej ds. Iraku, dyrektorem departamentu wschodniego. Za czasów pierwszego PiS został zdegradowany z dyrektora na wicedyrektora departamentu strategii, bo trzeba było zrobić miejsce dla Jacka Czaputowicza.

Bratkiewicz jest znawcą problemów rosyjskich. Podczas jednej z rund konsultacji polsko-chińskich w Warszawie, w pierwszej dekadzie tego wieku, zaskakiwał gości pytaniami świadczącymi o znajomości aktualnych problemów na granicy chińsko-rosyjskiej, o których goście nie chcieli mówić. W artykule w „GW” nie wspomniał o jednej z motywacji absolwentów MGIMO włączających się w przemiany po 1989 r. Oni po prostu wiedzieli, że socjalizm nie działa. Obojętne, czy realny, czy bengalski, czy w wydaniu jugosłowiańskim. Przy czym widzieli to niezależnie od miejsca pracy: w MSZ, mediach czy przedsiębiorstwach z kapitałem zagranicznym. I byli – o zgrozo – dobrze przez socjalizm przygotowani do kapitalizmu. Są beneficjentami przemian. A tego partia władzy nie wybaczła!

Attaché

Członkinie nowo utworzonej syryjskiej żeńskiej policji biorą udział w szkoleniu z bronią w kontrolowanym przez Turcję mieście Al-Bab na północ od Aleppo.





1	2	3	4	5	6	7	8	9	10
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----

11	12	13	14	15	16
----	----	----	----	----	----

17	18	19	20	21	22	23	24
----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadniętych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery L ujawniono. Litery z pół po- numerowanych od 1 do 24 utworzą końcowe hasło.

- płacone z reguły na dzieci
- francusko-niemiecki kanał kulturalny
- badacz ciał niebieskich
- łacińskie nazwisko filozofa i lekarza Ibn Siny
- zabezpieczenie tarasu, balkonu
- brać się za nie z czymś to walczyć

- nazywana też leukemią
- Ndżamena jego stolicą
- Dolittle, Strange albo Żywago
- Harold Pinter lub Tadeusz Słobodzianek
- półlegendarny grecki bajkopisarz
- kamień z wypukłą rzeźbą jaśniejszą od tła
- kolor jaskrawoczerwony

- bliny z nim jadane
- i pokrywa, i niepowodzenie
- zysk, pożytek
- czerwony... to pożar
- warszawscy piłkarze z Łazienkowskiej
- dźwięnia do podnoszenia ciężarów
- poroże łosia lub daniela
- na nim kutry z sieciami
- zdobyc wojenna lub złodzieja
- leczona chininą
- bywa rozgrywany towarzyski
- kilogramy ponad normę
- Liwa jego głównym dopływem
- bakłażan

- wolna godzina w planie lekcyjnym
- opłacone to klaka
- to drzewo kojarzy się z balladą Goethego
- tłumienie buntu, strajku z użyciem siły zbrojnej
- furia albo zamiętanie
- czerwień różu lub policzków
- banknotów albo komputerowy
- ma dwie belki i dwie gwiazdki na pagonie
- plac przy domu, między blokami na osiedlu
- widoczna... stanu zdrowia
- część boiska znajdująca się przed bramką
- zarządzana, by głosowanie wygrało PiS
- prestiż, sława

- i ta, i ta w tym samym wieku
- kraj w niej – głosiło PiS
- dystans dla Marcella Jacobsa
- zboża albo światła
- gonienie lub poszukiwanie przestępcy
- zakaz kulturowy, zakazany temat
- wideoklip
- o siedmiu latach w nim film z Bradem Pittem
- forint tam walutą
- miasto w Anglii i aktor Michael
- o przykrym wspomnieniu, urazie
- ...błyskawiczna – z proszku
- szybkość i zručność, np. kocia lub kozicy
- idzie w kondukcje
- w kartach i pod dębem

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-1030”. Do rozlosowania książki „Dziwne losy Jane Eyre” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można wysłać też z telefonem, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 19 września 2021 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1027” z nr. 35: *Mądra krytyka oświeca.*

Nagrody otrzymują: Danuta Kawińska z Łodzi, Aleksandra Kołodziej z Białowieży, Dorota Król z Poznania.

PENETRACJE

MONDE
diplomatie

**PRZEMYSŁAW
WIELGOSZ,**
REDAKTOR NACZELNY

W Polsce od dawna wszyscy oskarżają wszystkich o obce wpływy. Liberalowie i część lewicy widzą w PiS agentów Moskwy, PiS odpowiada im tym samym, dorzucając jeszcze lokajstwo wobec Angeli Merkel, Izraela i Brukseli. Tusk oskarżył rząd o zaprowadzenie Ruskiego Ładu. Ta sugestywna parafraza PiS-owskiego Polskiego Ładu wywołała oburzenie lewicowych liberałów, a nawet facebookowe apele o uświadomienie nowemu liderowi PO niestosowności retoryki pogardy wobec Rosjan.

DZIENNIK
GAZETA PRAWNA

GRZEGORZ NAWROCKI,
EMERYTOWANY PUŁKOWNIK
SŁUŻBY KONTR-
WYWIADU WOJSKOWEGO

Ludzie jechali na misję, a dojeżdżali na wojnę. Nie zmienia to tego, że niezależnie od nomenklatury w Afganistanie uczestniczyliśmy w walkach. Po prawdzie „misja stabilizacyjna” brzmi lepiej niż „wojna”. Z Afganistanu, z tej misji stabilizacyjnej, wróciłem wyżęty jak szmata. Emocjonalnie, intelektualnie i fizycznie. Kierowałem grupą prawie 30 ludzi. Narodową Komórką Kontrwywiadu. W strukturze Polskiego Kontyngentu Wojskowego Afganistan taką mieliśmy nazwę. Wielu ludzi czerpało satysfakcję z tego, że tam było. Jest coś takiego jak choroba misyjna, polegająca na tym, że chce się walczyć, chce się być daleko od domu.

Gala

KINGA DĘBSKA,
REŻYSERKA

Nie kręcę komedii romantycznych, tylko tragikomedie albo komedie. Komedie romantyczne mnie nie interesują, bo w większości nie są wiarygodne ani zabawne. Nie cierpię lukrowanego kina, przesłodzonej miłości. Mnie interesują pęknięcia, nierówności. Prawdziwe życie, nie w ujęciu komedii romantycznej, ale też nie jako dramat rodzinny. Może dlatego tak dobrze to rozumiem, bo sama miałam w życiu raczej pod górkę niż z górki. Mój dom był pełny silnych osobowości. Mama, tata, siostra, babcia – w tym chłrze każdy chciał być solistą. Nie wiem, jak udało nam się funkcjonować w zgodzie w M2 na 44 m kw.

PANI

JAKUB ŻULCZYK,
PISARZ, SCENARZYSTA

Zakładam, że odbiorca moich historii jest moim cichym przyjacielem. Na pewno jakaś część osób, które śledzą moje wpisy w mediach społecznościowych, czeka, żebym znowu kogoś nazwał debilem, ale to nie zmienia faktu, że skupiam się na porozumiewaniu. Mam świadomość, że „robię” w kulturze popularnej. Ostatnio w jednym z programów padło zdanie: „Dobra książka, ale nie jest to David Foster Wallace”. Oczywiście, że nie jest, to Jakub Żulczyk. Ale poza tym, że opowiadam coś, co jest rozrywką, zawsze chcę komuś coś podarować. Zawsze.

Aby język giętki...

MAREK BELKA
O JAROSŁAWIE KACZYŃSKIM

To jest bardzo sprawny operator polityczny, który traktuje politykę niezmiernie poważnie i w sposób... nowoczesny. Sporo pieniędzy PiS wydaje na badania, spin doktorów i specjalistów.

JAN KLATA O SMOLEŃSKU

Można o nim opowiadać jako o bardzo głupiej decyzji podjętej przez człowieka, który z całą pewnością do końca swojego życia będzie tego żałował i za tę decyzję będzie mścił się na narodzie.

DANIEL PASSENT
O MIECZYSLAWIE F. RAKOWSKIM

Im bardziej był rozczarowany systemem, tym wyżej w nim awansował. Im wyżej awansował, tym bardziej był rozczarowany.

MARIA PESZEK O MĘŻCZYZNACH

Co z wami jest nie tak, że tylko jedna kobieta w historii, która dała życie, jest niepokalana, a wszystkie inne są dla was skalane, bo miały seks z mężczyzną?

MAŁGORZATA SOCHA O FEMINIZMIE

Jestem feministką. Ale raczej feministką powściągliwą, a nie radykalną. Nie wojuję z mężczyznami, bo jestem szczęśliwą żoną.

ANDRZEJ ROZENEK
O ANDRZEJU RZEPIŃSKIM

Pierwsza ustawa represyjna, w 2009 r., to niechlubny wyrok tego sędziego, który dzisiaj mieni się obrońcą demokracji, a wtedy uznał, że odpowiedzialność zbiorowa jest czymś normalnym.

JOANNA LISZOWSKA
O OPINIACH NA INSTAGRAMIE

Opinie niepytanych o zdanie, czyli osób bez twarzy, bez nazwiska, przestają mnie zajmować.

AGATA KULESZA O SERIALACH

Jestem dobrym widzem, bo wciąż się i reaguję jak dziecko.

JERZY HOFFMAN O NOWYM FILMIE

Zbyt intensywnie żyłem, i to nie tylko na planie filmowym, i wyeksplowałem organizm, by móc zrealizować dobry film.



Brazylijczyk Neymar i Argentyńczyk Lionel Messi przed meczem kwalifikacyjnym do Mistrzostw Świata w Katarze 2022. Mecz został przerwany po dwóch minutach z powodu złamania przez argentyńskich piłkarzy przepisów covidowych. Czterech złożyło fałszywe oświadczenia, by uniknąć kwarantanny.

Pan nie jest jego pasterzem

Kapelani związani z Uniwersytetem Harvarda na swojego przewodniczącego jednogłośnie wybrali... ateistę. – Wierzę, że koncepcja nadprzyrodzonego Boga została stworzona przez ludzi, a nie odwrotnie. Dla mnie i myślę, że dla wielu niereligijnych ludzi – prawdopodobnie milionów czy wręcz setek milionów – ważniejsze jest to, że staramy się prowadzić życie wypełnione sensem i celem. Staramy się być dobrzy i budować lepszy świat. Słowem na to jest humanizm. Dobrze jest bez Boga – zapewnia nowy główny kapelan prestiżowej uczelni Greg Epstein. Wierzmy!

Przywitaj bliźniego swego

Proboszcz z podbydgoskich Białych Błot zapoczątkował akcję mówienia sobie nawzajem „dzień dobry”, w której popularyzację licznie włączyli się mieszkańcy. – Za „dzień dobry” może iść zachęta do uśmiechu, zagadnięcia, życzliwego spojrzenia, zapytania o samopoczucie. To bardzo ważne, zwłaszcza dla osób starszych i samotnych, które podczas pandemii miały najtrudniejszą sytuację i często przez wiele dni właściwie nie miały żadnych kontaktów społecznych. Chcielibyśmy, aby codzienne „dzień dobry” stało się początkiem tworzenia nowych więzi w naszej lokalnej społeczności – wyjaśnił „Gazecie Wyborczej” ks. Edward Wasilewski. A jak już wytworzą się te więzi, to wszystko między sąsiadami będzie możliwe. Nawet „przepraszam”!

Monachomachia 2021

Przegląd aktualności z życia kleru zakończymy informacją o zatrzymaniu 57-letniego Artura F., który w sierpniu



opuścił szeregi jezuitów, a następnie wziął ślub z 91-latką. W Prokuraturze Rejonowej Warszawa-Mokotów wspólnie z sublokaterem, 42-letnim bezrobotnym, usłyszał on zarzut podwędzenia współbraciom zabytkowych dzieł sztuki wartych prawie 100 tys. zł. Kumoter ekszakonnika, Piotr N., będzie ponadto rozliczany z okradzenia wspomnianej staruszki i podstępного przepisania na siebie jej majątku. Krasicki by tego lepiej nie wymyślił!

Przez plagiaty do gwiazd

Dron przeznaczony do eksploracji Marsa, zaprezentowany przez Chińskie Narodowe Centrum Nauki Kosmicznej, okazał się podróbką maszyny stworzonej przez NASA. „Wynalazek” Chińczyków to w zasadzie mniejsza wersja wiroplatu Ingenuity, który od kilku miesięcy bada powierzchnię Czerwonej Planety. Pikanterii sprawie dodaje fakt, że nazwa oryginalnej maszyny, nad którą prace trwały wiele lat, oznacza pomysłowość. Nie wiemy, jak ochrzczono nowe urządzenie, ale Cudza Pomysłowość byłaby w sam raz.

Zobaczyć kupon i uciec

Niepowszednia kradzież miała miejsce w Neapolu. 70-letnia nabywczyni dwóch zdrapek postanowiła upewnić się, czy wygrała nagrodę. Poszła do sklepu z tytoniem, w którym znajduje się kolektura, by skonsultować się ze sprzedawcą. Ten po sprawdzeniu losów pokazał jej szefowi, który, widząc wygraną w wysokości 500 tys. euro,

MEMY BEZ ŚCIEMY





Japońska skrzy-
paczka i była
pływaczka para-
olimpijska Manami
Ito oraz bocian
z nogą wydruko-
waną na drukarce
3D, w rezerwacie
w pobliżu miasta
Franciszkowe łążnie
w Czechach.

wybiegł z trafiki i odjechał na skuterze. Po ponad dobie poszukiwań karabinierzy zatrzymali mężczyznę na rzymskim lotnisku Fiumicino, bez zdrapki. Masz ci los...

Co tu jest grane (i śpiewane)?

Stacja telewizyjna FOX szykuje premierę konkursu wokalnego, w którym kandydatów na gwiazdy zastąpią ich cyfrowi dublerzy. Jurorzy „Alter Ego” będą obserwować występy awatarów, a prawdziwe głosy uczestników będą dochodzić do nich jedynie z głośników. „Oryginały” będą śpiewać, tańczyć i przemawiać za kulisami, ubrane w specjalne kombinezony pozwalające odzwierciedlić ich mimikę i ruchy. Czytelników, którzy w odróżnieniu od nas rozumieją sens całego przedsięwzięcia, prosimy o pilny kontakt z redakcją.

Nieprawdziwe prawdziwsze od prawdziwego

Tymczasem w Chinach rośnie popularność niejakiej Angie – wirtualnej influencerki, która podważa tamtejsze kanony piękna. Jej cera jest pełna niedoskonałości, a zęby – lekko krzywe. Co więcej, nie pozuje do zdjęć w markowych ubraniach, gdyż woli nosić prostą białą koszulkę. Zajmujący się animacją komputerową Jesse Zhang tłumaczy, że stworzył Angie, by pomóc młodym ludziom w zaakceptowaniu ich wyglądu. Bo gdy celebryci z krwi i kości wyglądają jak z komputera, naturalności musi uczyć młodzież celebrytka cyfrowa.



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego:
Paweł Dybicz e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępcy redaktora naczelnego:
Roman Kurkiewicz e-mail: r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Robert Walenciak e-mail: r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji:
Joanna Wielgat e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl

Sekretarz redakcji: Agata Gogońkiewicz
e-mail: a.gogonkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków),
Anna Brzeska, Marek Czarkowski, Regina Dachówna
(Zielona Góra), Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń),
Beata Igielska, Leszek Konarski (Kraków),
Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork),
Paula Leśniewska, Maja Markowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini,
Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogdowski,
Jan Ordyński, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski,
Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk,
Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz),
Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski,
Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan,
Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski,
Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczek,
Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski,
Andrzej Szahaj, Jan Widacki,
Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burzelka,

Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotoredaktorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyszyn
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl

Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych
Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl

Koordynator ds. komunikacji i PR

Piotr Ciszewski e-mail: p.ciszewski@tygodnikprzeglad.pl

Sekretariat fundacji i redakcji:

Izabela Strupiechowska

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGŁADZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy. Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszaków, ul. Pułtуска 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL

NR konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





Strzelec



Wodnik

CHORYSKOP

Martyna Czech horoskop traktuje z przymrużeniem oka. Niezainteresowana „magicznym” przepowiadaniem przyszłości, skupia się bardziej na jego psychologicznych aspektach. Stawia malarski choryskop – chory horoskop. Każdy znak zodiaku ma przecież swoje przywary. Artystka, malując nieraz intymne, przesycone erotyzmem kadry, innym razem ukazując jedynie fragmenty

ludzkiego ciała, takie jak mózg, serce, usta, świetnie bawi się konwencją. Nie ocenia, pozwalając odbiorcy na rozstrzygnięcie znaczenia całości.

Galeria Konkluzja w Krakowie
ul. Krakowska 30
do 30 września

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Skorpion



Koziorożec

teatr powszechny

Teatr, który się wtrąca

homework | Córka, Skokun

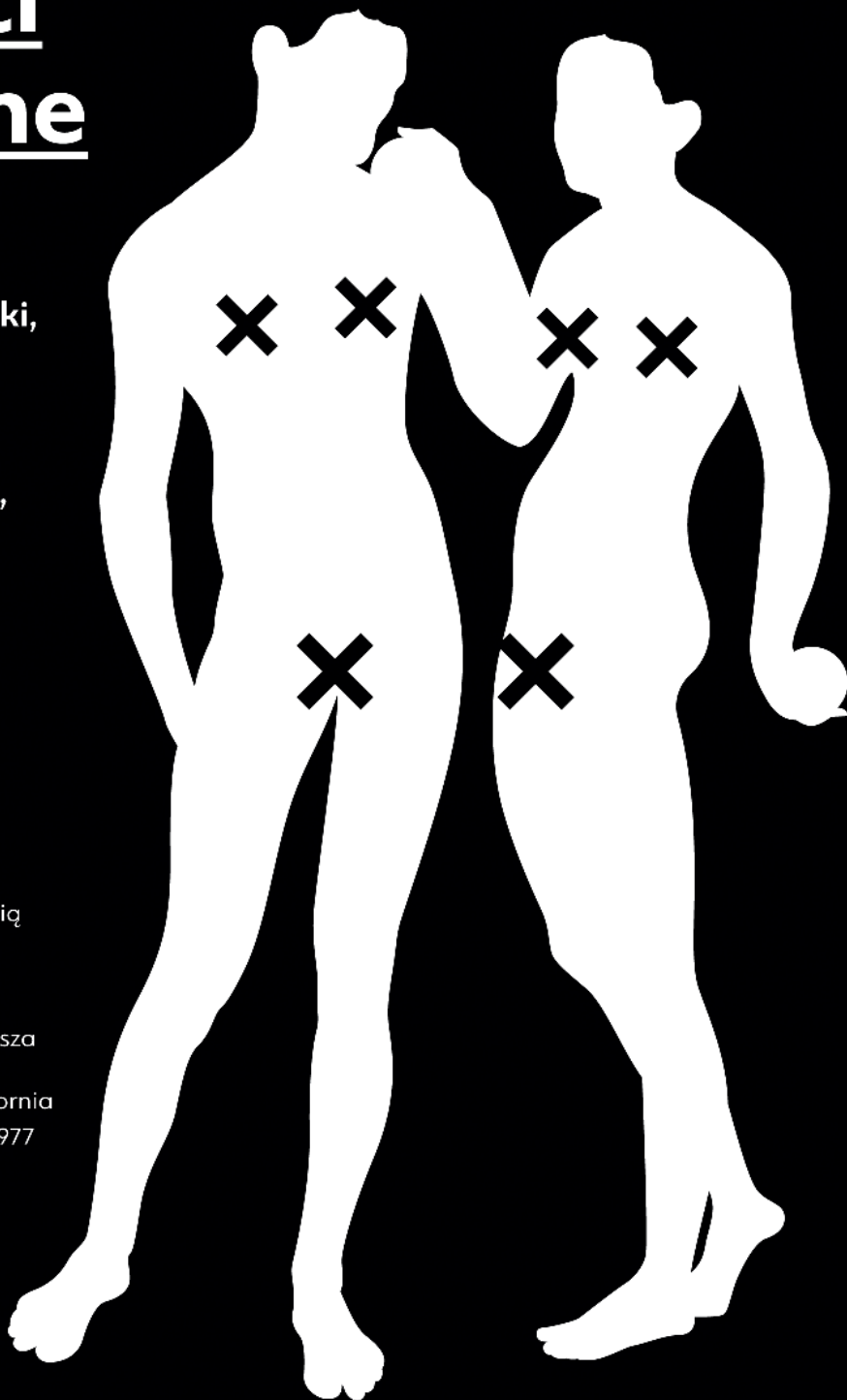
Opowieści niemoralne

Aleksandrowa, Bożek,
Brykalski, Czachor, Falkowski,
Hawrot, Kłak, Kowalczyk,
Kryst, Lange, Ioann Maria,
Murek, Robaszkiewicz, Róż,
Skrzywanek, Skwarczyńska,
Stolarska, Sulej, Usenko

premiera 25 września
kolejne pokazy:
26, 28, 29.09 i 14–17.10

Współczesny traktat stawiający pytanie
o to, czy seksualność jest dziś przestrzenią
wolności czy zniewolenia.

Opowieść o domu i rodzinie, o kinie,
teatrze i naturze. Inspiracje dla scenariusza
stanowiły filmy Waleriana Borowczyka,
transkrypt rozprawy sądowej Stan Kalifornia
vs. Roman Raymond Polański z marca 1977
roku oraz materiały dokumentalne dot.
współczesnych fetyszy.





Poleca:





















